OLGA TOKARCZUK

Ostatnie historie

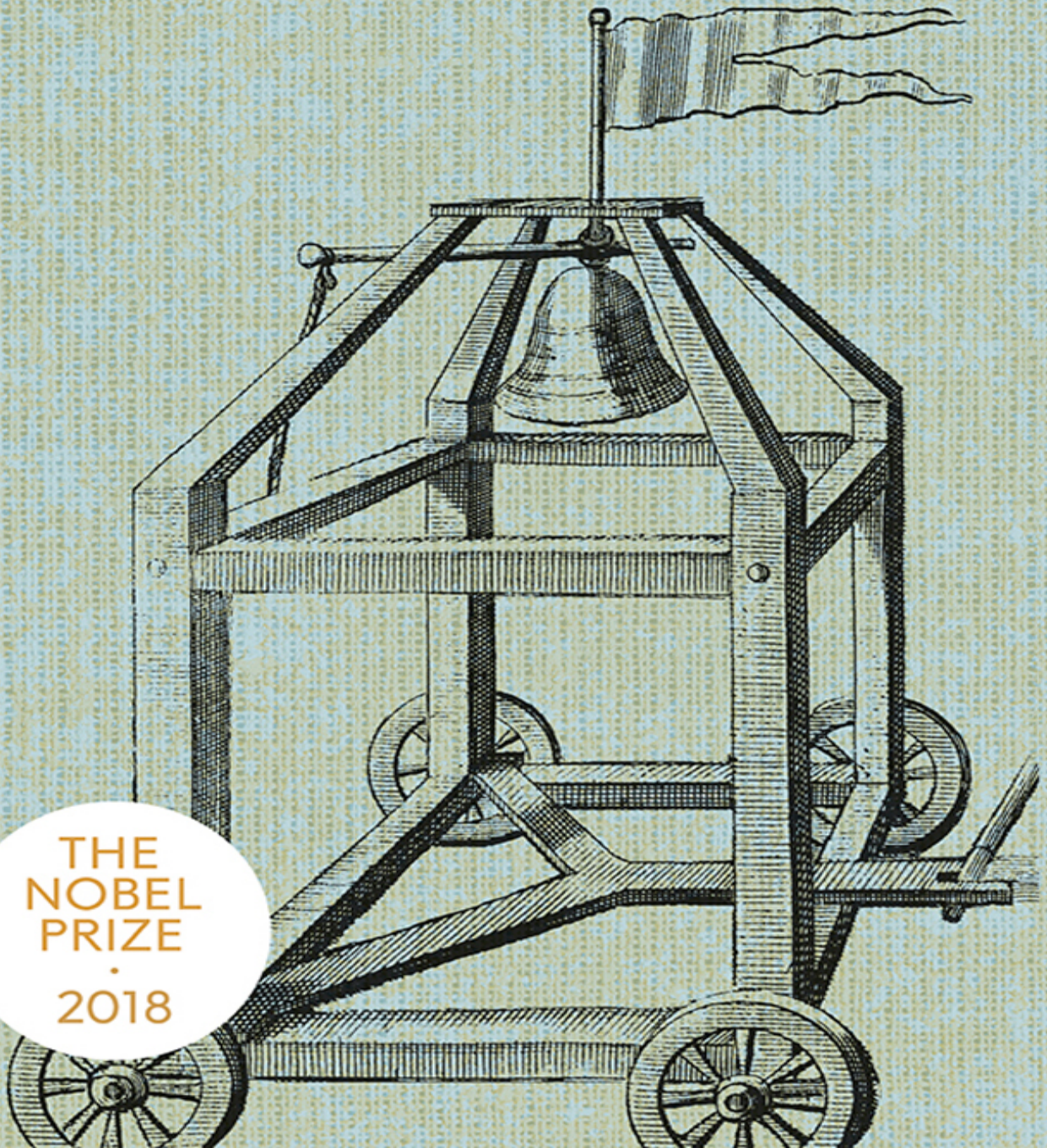

THE NOBEL PRIZE · 2018

OLGA TOKARCZUK

Ostatnie historie

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna
Część I. Czysty kraj
1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
Część II. Parka
P
E
T
R
O

U

M

A

R

Ł

!

Część III. Sztukmistrz

…

© Copyright by Olga Tokarczuk
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK
Korekta: JACEK CZARNIK, BARBARA WOJTANOWICZ, TERESA PODOLSKA
Teksty ukraińskie: JOANNA DUBROWSKA
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

Projekt okładki i stron tytułowych: manufaktura | manufaktu-ar.com
Na okładce wykorzystano rycinę z *Descrizione degl' instromenti armonici d'ogni genere* (1776) Filippa Bonanniego

ISBN 978-83-08-04988-4

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Część I

Czysty kraj

1.

Na małych bocznych drogach nie widać zimą białych linii. Tylko zepchnięte na bok góry śniegu obrysowują drogę grubym, niechlujnym konturem. Światła samochodu grzęzną w bezkształtnym poboczu, ale odsłaniają półkole ruchomej sceny, która przesuwa się wciąż w przód, z nadzieją, że gdzieś z ciemności wyłuska w końcu swojego aktora. Długie światła są bezużyteczne — wywołują z mroku tylko mleczne zimowe opary, które wiszą nad światem.

„Zamarznięty trupi oddech", myśli kobieta, która prowadzi samochód; „trupi oddech", oksymoron, jedno słowo przeczy drugiemu, ale jakimś cudem mają razem sens. Za chwilę dojedzie do większego skrzyżowania, tam skręci w prawo, na południe, i przy szosie na pewno znajdzie jakiś motel czy pensjonat. Pełno tutaj pensjonatów, cały czas wyskakują z ciemności napisy: „Freie Zimmer", „Pokoje", „Agroturystyka", wymalowane na deskach i przybite do płotów albo do drzew na poboczu. Radio szemrze, trwa tam jakaś leniwa dyskusja, ale kobieta jej nie słucha.

Wtem z mgły po prawej stronie wynurza się jakiś ciemny kształt, dobrze widoczny na śniegu. Ona zwalnia ostrożnie i odwraca głowę w tamtą stronę — widzi na poboczu psa. Leży w łagodnym, śnieżnym zagłębieniu, na boku, z nogami wyciągniętymi przed siebie, głowę ma lekko uniesioną, jakby spoczywał na poduszce. Przednia łapa jest lekko zgięta, puszysty ogon rozłożony jak pióropusz. Zdaje się, że to kundel, wilkowaty, ale trochę mniejszy, czarny podpalany, rasa „ohydek sudecki", tak tu mówią. Wygląda jakby spał, jakby go nagle przy drodze w czasie spaceru ogarnęła nieprzeparta potrzeba snu — tu, teraz, natychmiast — i nie można się jej było oprzeć. Musiał się więc zatrzymać w biegu i umościć sobie w przydrożnym śniegu szybkie legowisko, metr od kół roztargnionych samochodów.

Światła ujawniają go na chwilę, pokazują tajemnicę nagłego snu i na powrót pogrążają w ciemnościach.

Kobieta przyspiesza, ale niepotrzebnie, bo droga zaczyna teraz prowadzić w dół; samochód spływa po niej, jakby za chwilę miał wystartować z wielkiej skoczni w mglisty nocny lot. To miłe uczucie tak spadać — serce unosi się, staje się lekkie, nic nie waży. Kobieta mruży oczy, smakując tę przyjemność.

Po prawej stronie wyskakuje z ciemności drogowskaz z napisem „Bardo — Bożków", rozkładając błagalnie ramiona niczym nocny natarczywy autostopowicz, który histerycznie domaga się od podróżnych dokonania wyboru. Decyduj natychmiast, w lewo albo w prawo, wóz albo przewóz. No, już.

„Nic z tego, mój panie", myśli. Droga prowadzi prosto, kierunek najlepszy z możliwych i, według baśni, najbezpieczniejszy, po linii najmniejszego oporu, gwarantujący dotarcie do celu.

Zaraz będzie porządna szosa, czarna i twarda, przeszyta pośrodku białą fastrygą i posypana solą.

Po południu, gdy opuszczała uzdrowisko i zjeżdżała po krętych serpentynach w doliny, musiała zatrzymać się tuż przed ostrym zakrętem, śliskim i niebezpiecznym. Posolono tam obficie asfalt, żeby stopić lód. Głuche na klaksony stado krów zabarykadowało drogę — krowy zlizywały z niej sól. Były łagodne i szczęśliwe; opuściły miękkie, zamszowe powieki, skryły wzrok za kurtynami pięknych rzęs. Lizały sól niespiesznie i z powagą, obojętnie. W zimowym, metalowym zmierzchu na środku szosy przestawały być zwierzętami. Sprawiały wrażenie istot, które latami medytacji pracowały na swoją obojętność. Jakiś człowiek, zapewne ich właściciel, w panice próbował je odegnać od soli i miotał się między nimi, waląc je kijem po kościstych zadach, ale one nie bały się jego krzyków, może w ogóle ich nie słyszały. Samochody już utworzyły korek, ktoś z końca trąbił niecierpliwie, a ktoś inny wyszedł z auta i widząc, co się dzieje, zapalił papierosa. „Krowy liżą asfalt", podawał do tyłu. Ludzie ze zrozumieniem przyjmowali tę wiadomość, tak, dlaczego nie. Patrzyli na siebie z lekkim ironicznym uśmiechem — krowy liżą sól. Potem przecierali szyby, trzaskali bagażnikami, dzwonili z komórek. Trwało to jakiś czas, aż zwierzęta otrzeźwiały i nawet jakby zawstydzone tą nagłą słabością i ambarasem na drodze, truchtem ruszyły gdzieś w dół, nie czekając na pasterza.

Jazda jest przyjemna jak posolony asfalt. Samochód pędzi teraz bardzo szybko, właśnie mija największe obniżenie. Kobieta widzi wystające z kop śniegu, pomalowane odblaskową farbą słupki i dopiero po chwili rozumie, że oznaczają zakręt. Nic go nie zapowiadało. Nie było znaku albo utonął w śniegu. Obraca gwałtownie kierownicę w lewo, ale samochód wcale jej nie słucha, pędzi w przód i na chwilę — ma wrażenie — rzeczywiście odrywa się od ziemi. Czuje wtedy jego bezwładną moc i dziwi się sobie, bo zawsze myślała, że to ona nim kieruje; a było raczej tak, że ich drogi, ich zamiary poddawały się geometrycznym zbieżnościom, koincydencja interesów sprawiała, że jechali w tym samym kierunku i zatrzymywali się na tych samych stacjach benzynowych. Teraz jednak ich drogi rozchodzą się — samochód, mała srebrna honda, szybuje z wysokiego nasypu, z pyskiem zadartym w górę, zbuntowany. Radio nadaje właśnie wiadomości. Kobieta nie widzi, że leci, bardziej to czuje. Światła są wymierzone w niebo, a więc nie ujawniają nic. Trwa to dość długo, aż zaczyna się niecierpliwić, że tak leci, przecież nie było dokąd. Wie jeszcze, że uderza głową o kierownicę, słyszy nieprzyjemny dźwięk w środku głowy, podobny do trzasku usuwanego zęba. Ale trwa krótko.

Udaje jej się bez trudu odpiąć pasy i wyśliznąć wprost na śnieg — ale nie może ustać, upada na kolana. Wyciera wierzchem dłoni usta; są pełne ciepłego, gęstego płynu — musiała przegryźć sobie język przy uderzeniu, tak myśli. Samochód, wspięty na tylne koła, wygląda, jakby próbował dosięgnąć gałęzi drzewa i teraz zamarł w bezrozumnym ataku maszyny na żywą istotę. Jego oczy bezlitośnie oświetlają koronę świerka. Maska jest otwarta — bezgłośny krzyk złości, a koła kręcą się bezradnie w powietrzu, coraz wolniej. W radiu podają prognozę pogody.

Sięga za siebie do wnętrza auta i mimo zawrotu głowy wyciąga klucz ze stacyjki. Gasną rozjarzone oczy. Nagle robi się ciemno, cicho i zimno. Ma wrażenie, że gdzieś w tych ciemnościach rozciąga się bezkresna, naga równina, zimny wiatr rozpędza się na niej i nie istnieje żaden krzak, żadne drzewo, nic, co zdołałoby go zatrzymać. Czuje, jak jego podmuchy brutalnie uderzają ją w twarz. Wstaje chwiejnie i rusza w górę, do drogi.

Mgła znika, ciemność okazuje się teraz czysta, mroźna, poprzetykana dalekimi światłami gwiazd. Kobieta stoi przy ledwie widocznej szosie,

patrząc w górę — i odnajduje gwiazdozbiory, tak jak uczył ją ojciec — najpierw Wielki Wóz, pięć tylnych odległości między gwiazdami do góry — to jest Gwiazda Polarna i zarazem początek dyszla Małego Wozu. A w złamaniu dyszla, czy widzi obok dużej maleńką gwiazdkę, jak córka koło taty, czy widzi? „Tak, widzę". „Więc mogłabyś być wojownikiem — mówi ojciec — tak właśnie Arabowie sprawdzali dobry wzrok wojowników".

Znajduje Oriona i Kasjopeję — geometryczny porządek świetlistych punktów, linie wielokrotne, duże i małe, ułożone w powtarzalnych prostych rytmach i nagle powstałe dzięki nim trójkąty, wieloboki, chwiejne trapezy i romby... Czy to nie wystarczy? Czy trzeba jeszcze tłumaczyć te doskonałe figury mętnymi, niejasnymi opowieściami?

Idąc poboczem drogi w kierunku żółtych, niemrawych świateł, odnajduje swój ulubiony gwiazdozbiór — Warkocz Bereniki, malutki wianuszek z gwiazd, żaden tam warkocz, zaledwie treska, tupecik. Wydaje się bardziej oddalony od Ziemi niż inne, dziecinny latawiec, który przez nieuwagę poleciał zbyt wysoko.

Za zakrętem rosnący po obu stronach świerkowy las kończy się i kobieta widzi światła jakiegoś przedmieścia; najpierw pojedyncze plamy zagęszczają się, tworząc dalej brązowawą łunę poprzebijaną kominami, smukłymi, wysokimi ażurowymi budowlami.

Gdy wchodzi między pierwsze zabudowania — długie i niskie magazyny ciągnące się po obu stronach drogi, hurtownie o nieczytelnych szyldach, pełne ramp podjazdowych i szerokich bram — zdaje sobie sprawę, że jest bardzo cicho, jakby był środek nocy, i że nie minął jej żaden samochód.

Oto widzi boczną ulicę, która wychodzi między hurtowniami i skręca w bok, w stronę lasu. Pilnują jej wysokie lampy, które, inaczej niż wszystkie pozostałe, świecą na fioletowo. Ulica jest odśnieżona i czysta. Dalej stoi dom i jarzą się jego okna. Skręca tam bez namysłu, wciąż jeszcze myśląc o Warkoczu Bereniki, że właściwie nie wie, kim była ta Berenika i dlaczego jej warkocz znalazł się na niebie. Potem, gdy fioletowe latarnie rzucą na nią sine światło, słyszy spod tamtego oświetlonego domu szczekanie psa. Właśnie w tamtym kierunku idzie.

Dom nie przypomina wiejskiego — wygląda raczej jak porzucona, zagubiona na peryferiach mała willa, jednopiętrowa, wąska, otoczona werandami i przybudówkami. Może w planach zabudowy miał tu kiedyś powstać ciąg takich domów, osiedle dla zamożnych, ale coś przerwało realizację tego pomysłu — został jeden dom, samotny, wycofany pod wzgórze i las, dyskretnie obserwowany w swojej inności przez odległe budynki trudne do rozpoznania, karłowate i ułomne, uproszczone formy garaży, baraków, warsztatów czy czego tam jeszcze. Biegną między nimi tory kolejowe — przekracza je dwa razy, zanim wchodzi na rozległe podwórze — ale są chyba nieczynne; śnieg unieważnił ich cel i kierunek. Obecność równoległych żelaznych linii pod śniegiem wskazują tylko zwrotnice i rzadkie semafory, które sterczą tutaj jak jednoramienne rzeźby ustawione dla przywitania przychodzących.

W oknach widać słabe światło, właśnie takie, jakiego nie lubi i jakie zawsze przyprawia ją o nagły niewytłumaczalny smutek. Żarówki mają najwyżej czterdzieści watów i tkwią wysoko pod sufitem. Światło dla samobójców.

Skądś zjawia się przy niej pies, duży, biały, z kilkoma czarnymi łatami na grzbiecie — to pewnie on przedtem szczekał, ale teraz milczy, obwąchuje ją tylko uważnie i rutynowo i wzdychając, prowadzi do wejścia. Kobieta wchodzi do ciemnej sieni. Pies drapie w wewnętrzne drzwi, gdy ona ręką szuka kontaktu.

— Już wracasz? Dopiero co wyszedłeś — mówi z wyrzutem kobiecy głos.

Światło pada na podłogę cienką smugą, dotyka stopy gościa.

— Och — szepcze przestraszony głos. — Kto tu?

Kobieta próbuje wepchnąć się w szczelinę światła.

— Bardzo przepraszam, zabłądziłam, zgubiłam się. Miałam wypadek, jechałam drogą na Kłodzko i nagle wpadłam do rowu, uderzyłam się. Sądziłam, że dobrze będzie, jak znajdę kogoś...

— Proszę wejść, bo zimno.

To jest duża kuchnia ze stołem pośrodku i białym, wielkim kredensem stojącym pod ścianą. Od stołu unosi się niechętnie starszy mężczyzna w pasiastej kamizelce założonej na piżamę. Przed nim stoi mała, chuderlawa kobieta w lśniącej, wyblakłej podomce. Gość tłumaczy się

chaotycznie jeszcze raz, mówi to samo: zostawiła samochód, wpadła do rowu, jechała w stronę Kłodzka, piękna noc, a na koniec mówi o Warkoczu Bereniki. Patrzą na nią dziwnym wzrokiem — nie potrafi odczytać tego wyrazu: smutek? spokój? znużenie?

Mała kobieta stoi przed nią jak bileterka, zaraz poda jej bilet wstępu; jej drobna twarz czerwieni się od powiewu mrozu, który wpadł tutaj przez otwarte drzwi, albo przeciwnie, od ciepła bijącego od rozgrzanej do czerwoności blachy kuchni. Potem wyciąga z kieszeni chusteczkę higieniczną.

— Niech pani usiądzie — mówi — ma pani krew na ustach.

Wyciera jej tę krew delikatnie, krótkimi, pewnymi ruchami.

— Nic pani nie jest? Napije się pani herbaty? — pyta.

— Tak, oczywiście, chętnie. Herbaty, cokolwiek.

Mężczyzna pomaga jej ściągnąć kurtkę, starannie składa jej szalik w kostkę.

— Czy coś się pani stało? Coś boli?

Te proste pytania wydają jej się skomplikowane i niedorzeczne. Bierze głęboki oddech, ale on zamiast w słowa zamienia się w płacz.

— Uderzyłam się, mój samochód wpadł w śnieg. Wygrzebałam się i przyszłam tutaj. Chyba nic mi się nie stało, nie widać, żeby mi coś było, prawda? Wszystko chodzi, o, proszę spojrzeć — uśmiecha się i porusza rękami i nogami jak pajacyk.

Mała kobieta stawia przed nią szklankę w zdobionym metalowym koszyczku. Siadają naprzeciwko niej za stołem.

— To taka pogoda. Traci się orientację — mówi mężczyzna i spogląda na okno, w którym odbija się czterdziestowatowa żarówka w kulistym, białym kloszu, widmowy księżyc.

— Zima nie może się skończyć.

— Jutro przyjdzie wnuk, obejrzy panią. Mamy pokoje na górze, niech pani przenocuje u nas, dziś już za późno na cokolwiek. Trzeba tylko włączyć piecyk elektryczny, żeby się nagrzało — dodaje mała kobieta, patrząc na męża.

Mężczyzna narzuca na plecy rozpinany, gruby sweter i wychodzi bez słowa. Po chwili jego kroki słychać z góry. Szklana lampa u sufitu nieznacznie się kołysze.

Mała kobieta składa obie ręce na stole i mówi nieoczekiwanie wesoło:

— Powiem pani od razu: ja mam kłopoty z pamięcią, więc w ważnych sprawach proszę się zwracać do niego — pokazuje brodą na sufit. — Ja przypominam sobie dobrze, co zdarzyło się dawno temu, na przykład podczas wojny, czy jak tu przyjechaliśmy, pamiętam nawet, ile kosztował chleb zaraz po wyzwoleniu. Wiesz, dziecko, ile? No właśnie, a ja wiem, dwadzieścia groszy. Ale za to słabo przypominam sobie, co było wczoraj. To nie jest ta choroba na „a", no wiesz, co wszyscy ją mają. Po prostu jestem stara.

— Dobrze, będę pamiętać.

Tamta wyciąga z kredensu napoczętą butelkę wódki i wlewa trochę do szklanki z herbatą.

— Rozgrzeje panią, proszę wypić.

Potem dodaje:

— Ja jestem Olga, a on — pokazuje wzrokiem na górę — to Stefan.

Przełyka gorącą herbatę i chce odpowiedzieć; już otwiera usta, ale uświadamia sobie, że ma głowę pełną zimnej, gęstej mgły. Wskazuje na siebie palcem, wymierza go w sam środek piersi, czuje jego dotyk. Wie, że musiałaby się skoncentrować, a wtedy na pewno sobie przypomni. Myśli kłębią się tuż pod powierzchnią, niespokojne kijanki. To z pewnością uderzenie, dlatego czuje się tak nieswojo, jakby spała i lunatykowała, pewnie ma wstrząs mózgu i od niego myśli pokruszyły się i rozpadły jak lodowa figurka. Wie, że zaraz sobie przypomni, tylko musi skupić się. Tamta patrzy na nią uważnie, czeka. Ale ona jest zmęczona, zbiera myśli, i dzięki Bogu, coś odwraca uwagę Olgi od tego nie zadanego pytania, bo wstaje i podchodzi do kąta. Stoi tam płaska drewniana skrzynia wyścielona burym kocem, na którym leży czarny, kudłaty kształt. Pies. Jego długa sierść przypomina sznurki, wełniane powrozy, grube splątane kołtuny, zwłaszcza przy głowie i na zadzie. Oddycha ciężko, postękując. Razem z Olgą pochylają się nad tą splątaną czernią. Nieprzyjemny kwaśny zapach uderza ją w twarz. Pies, jakby czuł ich obecność — otwiera oko

i rzuca im krótkie spojrzenie. To spojrzenie jest nieprzeniknione, czarne, głębokie jak studnia, na której dnie można zobaczyć powierzchnię podziemnej wody.

Zatacza się na schodach. Podtrzymują ją. Prowadzą do chłodnego i pustawego pokoju. Stoi tu niska przysadzista szafa, a na niej porcelanowe popiersie dziewczynki o jasnych włosach przewiązanych błękitną wstążką; i jest także żelazne łóżko i wiklinowy, zniszczony fotel, kiedyś biały, teraz pstrokaty. Płatki farby leżą na podłodze — meblowy łupież. Pod oknem, na rozłożonych gazetach leżakują jabłka, lekko tylko pomarszczone, choć to już koniec lutego. Powietrze jest gładkie i wilgotne jak ich skórka. Elektryczny kaloryfer powoli je oswaja.

Tamci mówią coś jeszcze, otwierając szafę (pełno w niej starych, śliskich, nagich kołder), zaciągając zasłonki, przestawiając dzbanuszek, poprawiając obrus na stoliku. Już ich nie słucha. Powoli, ostrożnie kładzie się na łóżku, jakby to ona była cenną porcelanową figurką, którą należy przechowywać tylko w pakułach, w pozycji leżącej. Na chwilę mała kobieta z ręcznikiem i spraną flanelową koszulą nocną wraca.

— Łazienka jest na dole — szepcze i rozpływa się w ciemnościach, żeby potem znowu szeptać, szeleścić i skrzypieć, wymieniając z tym mężczyzną jakieś urwane zdania, przesuwając jakieś zapomniane krzesła, pstrykając przełącznikami światła, przekręcając w drzwiach klucze.

Leży na wznak, zamyka oczy. Powinna teraz wziąć tabletki nasenne. Powinna zatkać uszy korkami z wosku, położyć się na boku i czekać, aż zaczną działać pigułki, z których w wilgotną ciszę wykiełkuje sen. Ale nie ma pigułek, nie ma zatyczek do uszu. Kładzie dłoń na piersi, sprawdza, jak zwykle, czy serce bije. Ciało jest twarde, opiera się naciskowi dłoni. „Twarde jak drewno", słyszy i widzi siebie samą, jak zbiega ze zbocza, trzynastoletnia może, w kretonowej sukience w maki, którą potem, gdy się już zniszczyła, matka darła na ścierki do kurzu, i że spotyka się z innymi dziewczynkami — imiona nie chcą jej przyjść do głowy, Bożena? Jadzia? — w ruinach przy rzece.

Ktoś je tego nauczył, ale nie wiadomo kto, musiało to być bardzo dawno. Potem starsze dziewczynki uczyły młodsze. Zawsze się udawało.

Klęka się na ziemi w kręgu i trzeba milczeć tak długo, aż stanie się to obojętne i naturalne; tak długo, aż nie chce się już mówić. Potem każda z nich pokazuje na palcach jakąś liczbę. Liczą. Ta, na którą wypadło, kładzie się w kręgu i zamyka oczy.

Teraz zaczynają dotykać ją końcami palców, najpierw samymi czubkami, potem coraz mocniej i powtarzają: „Twarde jak deska, zimne jak lód, lekkie jak piórko". I od początku, aż na ciele znajdują się całe dłonie. I dociskają leżące ciało do ziemi, mówiąc i mówiąc, ciągle to samo: „jak deska, jak lód, jak piórko", a potem, nagle — to się samo dzieje — wiedzą, że trzeba to powiedzieć właśnie teraz:

Lekkie jak piórko,
Twarde jak drewno,
Nieśmy cię do grobu
Śpiąca królewno.

Twarde jak drewno,
Zimne jak lody,
Zakopmy cię w ziemi
Dla wiecznej ochłody.

Twarde jak deska,
Lekkie jak pióra,
Twoim mieszkaniem
Ta w ziemi dziura.

Na koniuszkach dziewczęcych wskazujących palców unoszą sztywne, zamarłe, śmiertelnie zdziwione ciało w górę, bez wysiłku, jakby było pustą w środku łodygą, figurą wyciętą z pumeksu, kształtem ze styropianu.

Nie, nie, lepiej nigdy nie znaleźć się w tym kręgu; lepiej jest poruszać, niż być poruszanym, lepiej czarować, niż pozwolić się owładnąć zaklęciu,

lepiej być żywym niż umarłym, choćby udawanym. A co by było, gdyby raz któraś z nich nie obudziła się z transu i została już taka sztywna i nieobecna, z zamkniętymi oczami, ni żywa, ni umarła. Gdyby nie wróciła z tej podróży i dla innych stała się przedmiotem, takim samym jak ułamana gałąź, jak kamień w strumieniu. Ale każda wraca. Siada i mruga oczami, oddalona.

Było to zabawne, więc reszta wybuchała śmiechem i tak się to kończyło. Potem ta z kręgu wracała do wsi jako ostatnia, z niejasnym poczuciem, że została wykorzystana, zupełnie jak przypadkowy widz, którego hipnotyzer wciąga na scenę i każe robić nieprzyzwoite rzeczy. Ociągała się, jeszcze naburmuszona, ale zanim razem zeszły do wsi, wszystko było już w porządku, na siłę zapominane.

Ale na nią nigdy nie wypadło odliczanie, więc nie wiedziała, jak to jest leżeć w środku i tracić ciężar. Wyobrażała to sobie jak sen. I że sen rzadko bywa samym ciemnym niczym, że zwykle dzieją się w nim różne rzeczy, tylko inne od tych z jawy. Sprawy nieprawdopodobne stają się oczywiste, a czas robi skoki i fikołki. Więc może ma się wtedy taką właśnie wiedzę, nie przystającą do niczego, niczemu niepotrzebną. Może widziane z kręgu ciało, które pozwala się unieść na kilku dziewczęcych palcach, zachowuje się zupełnie normalnie i niczemu nie przeczy. Jest jak ten trupi oddech: niemożliwe, ale sensowne. Czuje znowu jego ciężar na palcach, ciężar, który drwi z siebie samego, jest to bowiem ciężar i lekkość jednocześnie.

Rano budzi się w jednym momencie, nagle — otwiera oczy i widzi szare światło, które rozmywa zmarszczki i pęknięcia w suficie w jednolitą perłową powierzchnię. Musi być bardzo wcześnie.

Słyszy trzaśnięcie drzwi i huk zapuszczanego z trudem diesla. Silnik rzęzi przez długą chwilę, potem gaśnie. I tak kilka razy, w końcu, ku jej uldze, zaskakuje i jego dźwięk stopniowo się oddala.

Zawsze po przebudzeniu słucha bicia serca, czy wszystko w porządku, czy bije i jak bije. Dotyka ciała, czy jakimś cudem nie rozpadło się przez noc, ale teraz tak dobrze leży jej się na wznak bez ruchu, że nie unosi nawet ręki, by położyć ją na piersi. Widok jednostajnej powierzchni sufitu

sprawia jej ulgę; ręce wciąż jeszcze śpią ułożone na szorstkim, wykrochmalonym prześcieradle. Przypomina jej się.

Nazywa się Ida Marzec. Lat pięćdziesiąt cztery. Zameldowana: Warszawa, ulica Adama Pługa 89 m. 21. Pesel 50012926704. Chwała Bogu.

Drzwi skrzypią delikatnie i słyszy małe, stukające jak cykanie zegara kroki. Nie otwiera oczu i czuje na twarzy ciepły oddech. Wie, że to ten biały pies. Pewnie patrzy na nią, dysząc jej w policzek. Nie reaguje, więc pies cicho odchodzi. Ona leży jeszcze przez chwilę i powoli uświadamia sobie, gdzie jest. Dostrzega, że spała w rajstopach i bluzce, a spódnica leży rzucona na podłodze. Widok tej spódnicy z szarej, grubej wełny, spódnicy drogiej, skrojonej ze skosu, wyszczuplającej i modnej, przywołuje jakieś nieprzyjemne wspomnienie, jakaś myśl pcha się jej do głowy, a ona się broni przed nią, zasłania i chowa.

Przed domem siedzą jej rodzice. Ojciec zwija kłębki wełny, nie patrzy na nią. Matka jest młoda, przypomina Maję, jest jakby Mają dorosłą, obcą, zawsze nieobecną. „Nigdy nie zjawiasz się u nas, już prawie zapomnieliśmy o tobie", mówi matka z pretensją. Potem wstaje obrażona i wchodzi do domu. Ona idzie za nią, patrzy na jej plecy, ale ma wrażenie, że matka próbuje jej umknąć. Zaczyna kluczyć po pokojach, które nagle robią się nieskończoną wielokrotną amfiladą. Wtedy ogarnia ją strach, bo nagle przypomina sobie, że przed domem zostawiła Maję, swoją malutką córeczkę. Chce wrócić, wydostać się z tego labiryntu, ale nie bardzo wie jak. Wszystko staje się niebieskie.

2.

Słyszy skrzypnięcie drzwi i szepty, a potem ciche strofowanie psa: „nie wchodź tu, idź stąd na dół!" Ktoś ostrożnie podchodzi do jej łóżka i siada na jego skraju. Nie ma wyjścia, musi otworzyć oczy.

Mężczyzna stoi przy drzwiach, z wyrazem jakiegoś smutnego zatroskania na twarzy. Olga, która właśnie usiadła na łóżku, uśmiecha się — drobna, śniada i pomarszczona, jest jakaś niepokojąca asymetria w jej twarzy.

— Spałaś, dziecko, cały dzień, zaraz zrobi się ciemno i Adrian musi już jechać, a chciał cię zbadać. Czy na przykład nie złamałaś sobie czegoś. W takim wypadku trzeba by było zadzwonić po lekarza, bo Adrian jest weterynarzem. Ale przecież to to samo... Czy może wejść? — Nie czekając na odpowiedź, woła: — Wejdź, Ad.

Pojawia się młody mężczyzna, jasny, niewysoki, lekko spocony, jakby spieszył się albo biegł tu po schodach. Mniej więcej w wieku Mai, koło trzydziestki. Ma na sobie gruby, wełniany sweter, melanż z białej i niebieskiej wełny. Jasne włosy, znacznie przerzedzone, przykleiły mu się do czoła. Uśmiecha się zakłopotany, do nikogo niepodobny, obcy. Młody. Patrzy na nią spokojnie, z uśmiechem, badawczo. Za chwilę fachowo ogląda jej oczy i dolne powieki, porusza jej dłońmi, obmacuje brzuch. Każe jej usiąść i poruszyć nogami. Wodzić wzrokiem za jego palcem. Ida jest onieśmielona tym badaniem, jak zawsze, bo wszyscy lekarze są młodymi mężczyznami, istotami najbardziej obcymi z możliwych.

— Raczej nic pani nie jest — mówi w końcu weterynarz; jego głos jest wysoki. — Przestraszyła się pani, prawda? Niech pani nie wstaje, niech pani leży.

— Nie wiem, jak się czuję. Chyba nieswojo.

— Jasne, nie ma się czemu dziwić, to z napięcia, przejdzie samo.

— Chciałabym zadzwonić na policję, to pożyczony samochód.

— Tak, trzeba to załatwić. Może już jutro?

— A dzisiaj? Trzeba go wyciągnąć.

— Dziś już za późno. Zresztą śnieg pada cały czas. Ale to przecież nie jest pilne, prawda? Jutro też tu będę. I pojutrze też.

— Och, ale ja jestem tu tylko przejazdem.

— To zrozumiałe.

Mężczyzna patrzy na nią z uśmiechem, jak na dziecko, z którym bawi się w lekarza. Jakby jej nie wierzył. Zabawnie kiwa głową na pożegnanie i wychodzi pospiesznym krokiem. Zbiega ze schodów energicznie — jego tupanie połączone ze skrzypieniem śniegu słychać jeszcze na zewnątrz, a potem rzężenie diesla. Samochód zapala za trzecim razem. Olga podaje jej stary kraciasty szlafrok i schodzą na dół do kuchni.

— Jest weterynarzem — mówi Olga i stawia przed nią kubek gorącego mleka, z wyraźną przyjemnością wlewając do niego miód. — Prowadzi przychodnię w mieście. Masz jakieś dzieci, rodzinę.

Miód spływa cieniutką niteczką i ginie w białych odmętach.

— Córkę — odpowiada, patrząc na tę mieszaninę; nigdy by tego wcześniej nie wypiła, ale teraz ma ochotę spróbować, jak to smakuje. Miesza łyżeczką i upija łyk. — Mam córkę, a ona ma już syna.

— Och, to też jesteś babcią — cieszy się Olga.

Przychodzi Stefan, zaciera ręce, widocznie był na zewnątrz. Wyciąga z lodówki biały i żółty ser, układa je na deseczce, do tego pomidory. Wielkim nożem kroi chleb.

— Powinnam być bardzo głodna, nie jadłam całą dobę — odzywa się Ida i widzi, że kobieta nosi sztuczną szczękę, która jest za luźna; nieprzyjemny widok, gdy mówi.

Oboje kroją kanapkę z serem na kwadratowe kawałki i powoli, z namaszczeniem wkładają je do ust. Żując, patrzą na nią. „Ludzki zwierzęcy wzrok”, myśli Ida i dyskretnie odwraca oczy. Patrzy na jedzenie, ale nie czuje głodu. Idzie do kranu i pije wodę prosto z dłoni złożonej w miseczkę.

Sądzi, że zapytają ją o ten wypadek, ale oni milczą, jedząc miękki ser z pomidorem i chlebem, tylko rzucają na nią zadowolone spojrzenia.

Odłamuje kawałek sera i wkłada do ust. Nie czuje smaku.

— Nigdy w życiu nie miałam wypadku, nawet stłuczki — mówi. — Zawsze jeżdżę bardzo ostrożnie. Śnieg chyba zakleił znak drogowy, nie wiedziałam, że będzie zakręt. Pożyczyłam od przyjaciółki samochód, żeby wreszcie odwiedzić miejsce, w którym mieszkałam jako dziecko, koło Lewina.

— Lewin? Jasne — mówi Stefan z pełnymi ustami. — Wiesz? — zwraca się do żony, a ona marszczy czoło, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. — Jechaliśmy tam po tego konia, pamiętasz? To za Polanicą.

Olga kiwa głową zgodnie.

— To ty tutaj niedaleko mieszkałaś — mówi z zadumą.

— Mieszkaliśmy tam w małej wsi, w górach, ale dość szybko wyjechałam — Ida uśmiecha się, jej ręka waha się przed następnym kawałkiem sera.

— A rodzice? — pyta Olga.

Ida odpowiada chętnie. Rodzice już nie żyją. Po śmierci matki, która zmarła kilka miesięcy po ojcu, sprzedała ten dom i zapomniała o nim. Był niewygodny, w górach, stary i mały. Mówi też, że nigdy do niego nie tęskniła, ale teraz, kilka dni temu, kiedy się znalazła w tych okolicach, nagle zachciało jej się tam wpaść.

— Miałam wyjechać z Jeleniej Góry rano i wrócić wieczorem, ale nie dało się. Myślałam, że zatrzymam się po drodze w jakiejś agroturystyce i rano dotrę do tej wsi. No, a teraz kłopoty i samochód na pewno rozbity.

— Zdarza się. Zjedz coś i nie martw się — mówi Olga.

Ale Ida nie ma apetytu. Żółty tłusty ser smakuje jak wilgotny liść. Olga, jedząc, patrzy na nią pustym, zwierzęcym wzrokiem. Ma twarz kota albo lisa — czujną. Nagły szelest sprawia, że odwraca ją w kierunku skrzynki, gdzie leży pies. Jej mąż robi to samo, jak na komendę. Oboje znieruchomiali patrzą na skrzynkę.

— Chcesz wyjść, tak? Chcesz wyjść i nie dasz rady sama? Tak? — pyta staruszek.

Drobny i niepozorny, podnosi sporego psa i bierze go na ręce; nie wiadomo, jak można zwierzęciu pomóc. Czarna, kudłata psia głowa zwisa bezwładnie.

— Otwórzcie mi drzwi — mówi.

Ida podnosi się szybko, przytrzymuje drzwi i wychodzi za nimi na zewnątrz. Pies staje na śniegu i chwieje się — jest to przykry widok, Ida mimowolnie odwraca wzrok, bo ta słabość wydaje jej się czymś intymnym i wstydliwym. Mężczyzna łagodnie zachęca go, żeby zrobił kilka kroków, delikatnie popycha go do przodu: — No idź, ruszaj.

Ida poprawia poły kraciastego szlafroka i uświadamia sobie, że ma gołe nogi. Ale nie czuje zimna. Podwórko z sekundy na sekundę ciemnieje, jakby zmierzch uparł się, że musi zapaść na ich oczach. Pada śnieg i zasypał już prawie ślady samochodu. Pies rusza przed siebie na chwiejnych nogach, a potem, nie próbując nawet kucnąć, puszcza strużkę moczu. Ciemna plama na śniegu. Stoi nad nią bez ruchu, bezradnie, widocznie te kilka kroków zupełnie wyczerpało jego siły, i opuszcza głowę.

Stary bierze go na ręce i z wyraźnym trudem niesie do domu.

— Co mu jest.

— Zdycha — mówi mężczyzna. — Ma raka. To suka. Ina, tak ma na imię.

— Czy nic nie da się zrobić? Wyciąć, naświetlić?

— Już po wszystkim. Za późno.

— To co będzie? — pyta z jakimś nagłym niepokojem, paniką.

— Umrze — mówi tamten, stękając od ciężaru zwierzęcia, i znika w ciemnej plamie drzwi.

Ida nie idzie za nim do kuchni, lecz zostaje w ciemnej sieni. Chwyta za poręcz, bo czuje, że waży teraz całe tony, że jest ciężka jak cały świat. Próbuje ruszyć nogą, ale udaje jej się przesunąć stopę tylko kawałek do przodu. Ciało jej nie słucha. Chce zawołać Olgę, ale brakuje jej głosu. Ustawia gardło i język, ale powietrze płynie przez nią, nie dotykając jej. Ze strachu czuje gorąco. Myśli, że ma jakiś atak serca albo wylew, albo coś nagłego spadło na nią jak siatka i skrępowało. Powoli, słowo po słowie, myśl po myśli, musi sobie uświadomić, że to jej nogi i że ma do nich prawo. Skupia się na nogach i po chwili udaje jej się zrobić mały krok. Jakby była ciężko chora, zaczyna wspinać się po schodach. Idzie jej coraz lepiej, o tak, to straszne minęło. Maca w ciemnościach w poszukiwaniu kontaktu,

znajduje go i przekręca — to jest staroświecki, brązowy, ebonitowy przełącznik światła, palce muszą się nauczyć, że trzeba go przekręcić, nie nacisnąć. Czuje mdłości.

— Przepraszam — mówi w dół. — Położę się na chwilę.

Widzi Olgę, jak tamta stoi u podstawy schodów i patrzy za nią z niepokojem.

Robi kilka następnych kroków i udaje jej się dowlec w przerażającym ciemnym świetle żarówki do drzwi swojego pokoju. I teraz dopiero wie, że to jest tylko strach, nie żadna choroba.

Olga zjawia się w jej pokoju, siada na brzegu łóżka i bierze ją za rękę.

— Jestem tu z tobą. Wszystko w porządku.

Ida z wdzięcznością oddaje uścisk tej suchej, kościstej dłoni.

3.

Obraz pojawia się niechętnie, ociężale — najpierw prostokąt okna szarzeje na tle jednolitej ciemności pokoju, a potem świeci srebrno i zimno, jak obudzony z letargu ekran, na którym zaraz ma się zacząć projekcja. Ida nie potrafi wskazać momentu, w którym się obudziła. Ale niejasno wie, co będzie, ma wrażenie, że to powtórka innego poranka, a nawet wielu poranków.

Jawa różni się od snu natężeniem myśli — te są nieśmiertelne, rozciągliwe atomy świata, struny brzęczące, drgające, bez początku i końca, pociski, które mkną przez kosmos z szybkością światła jak nasiona Obcych. Zasiedlają głowy i łączą się ze sobą w nieskończone łańcuchy pojedynczymi szczegółami, skojarzeniami, analogiami. I właściwie nie wiadomo, jak się łączą, co je trzyma razem, jaki panuje w tym porządek, i one same tego nie wiedzą, im porządek nie jest potrzebny, one raczej podszywają się pod niego, tworzą na chwilę piękne logiczne konfiguracje, fantastyczne płatki śniegu, ustawiają się dowcipnie w ciągi, gdzie jest jakaś przyczyna, powód i jakiś wynik, żeby to nagle potem zniszczyć i rozbić, przerwać i zamienić górę z dołem, ruszyć do przodu, ale pokrętnie: kołem, spiralą, zygzakiem, albo przeciwnie: zaniknąć, zamrzeć, przejść w stan uśpienia i potem nieoczekiwanie eksplodować, runąć lawiną. Można się chwycić jednej na chybił trafił, złapać jak za linkę latawca, dać się ponieść albo przytrzymać przez chwilę, obejrzeć dokładniej i odłożyć, żeby zrobić miejsce innym, jeszcze bardziej splątanym i natarczywym. Na jawie udają porządek, zwodzą; sen uwalnia je od pozorów. W nocy wiodą hulaszcze życie.

Wraz ze światłem wpadającym przez okno robią się coraz bardziej agresywne i wyraźne, formują się w oszukańcze szyki i ruszają na podbój dnia, rozciągając go między sobą, tnąc na małe paseczki, macerując. Maszyna do myślenia rusza.

Jedna z myśli jest najmocniejsza, przepycha się przez inne i w ułamku sekundy dominuje nad pozostałymi. To obraz: jest maj, wiosna. Ida rozpoznaje zapach ziemi, która już wypuściła pierwsze pąki, a teraz przez chwilę odpoczywa. Słońce wpada przez małe, porysowane szybki okna, wyszlachetnia dom, zmienia go w inną budowlę, większą, jaśniejszą. Prawie poziome smugi światła wyświetlają na ścianach strukturę tynków, tajemnice plam i zacieków, wydobywają dla oczu poprzednie warstwy farb. Słońce jest raczej sprytnym marszandem sztuki świata niż jej twórcą.

Ida ma osiem lat, uczy się czarować, popołudniami bawi się w robienie mikstur, które dadzą jej czarodziejską moc. Jest w swoim pokoju, na górze. Podchodzi do okna i widzi, że słońce wydobyło skądś motyla. Leży na parapecie, brudny, przykurzony, pewnie z zeszłego roku. Ma rozłożone skrzydła z pięknym, symetrycznym wzorem. To nie jest zwykły paź królowej, ale jakiś rzadki okaz. Na szarobrunatnych skrzydłach rysuje się kształt dwojga oczu. Iluzja jest perfekcyjna — migdałowate oczy mają w środku szarozieloną tęczówkę i czarną źrenicę. Motyl tkwi nieruchomo, jak piękny, intrygujący przedmiot, jak delikatna, chimeryczna biżuteria. Wydaje jej się, że końcówki skrzydeł drgają. Mała Ida ostrożnie wsuwa pod niego dłoń i kładzie na samym jej środku, tam, gdzie linie papilarne się krzyżują — pionowa linia przeznaczenia przecina linię serca i zaraz dalej — linię życia. Z matką czasami bawią się we wróżenie z ręki, stąd Ida to wie. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że ze środka dłoni płynie życiodajna mgła. Lekki motyl jest w niej cały skąpany, mgła zmywa z niego zimę i kurz, przywraca mu życie. Jej podniecenie rośnie, aż w końcu czuje jakiś ruch, subtelne nerwowe drżenie i kiedy otwiera oczy, widzi, że skrzydła naprawdę poruszają się, chcą się jeszcze bardziej wyprostować, objąć całą przestrzeń. Motyl zaczyna nieporadnie wędrować po jej dłoni, drepcze do przodu i do tyłu, kołuje na lądowisku. Ida porusza się ostrożnie, wstrzymuje oddech. Otwiera okno i wyciąga dłoń z motylem przed siebie. Wpadają rześkie fale powietrza, drobne podmuchy. Motyl ożywia się, czuje słoneczną przestrzeń i ciepło dnia, zaczyna trzepotać skrzydłami. Idzie bije serce, wstrzymuje oddech. Oczy wspinają się na jej środkowy palec i chwilę badają smugi powietrza, jak lotniarz, który czeka na właściwą chwilę, żeby wystartować. „Leć, leć”, mówi do niego, ale on opiera się, skrzydła furkoczą, cienkimi nóżkami trzyma się jeszcze skóry palca,

nieposłuszny. W końcu, niechętnie, w zwolnionym tempie odrywa się od podpory i rusza w przód, najpierw opada w dół, ale po chwili szybuje w górę — Ida widzi go na wysokości krawędzi dachu — robi tam kilka kółek i wreszcie leci ku kominowi. Dziewczynka kątem oka dostrzega po lewej stronie mały cień. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Brązowy ptaszek,wielkości wróbla, z pomarańczowym ogonem, podlatuje do oszołomionego lotem motyla i miękko chwyta go, jakby to był porwany wiatrem skrawek papieru. Znika za domem.

Stoi, zaskoczona, z wyciągniętą w powietrzu ręką.

Siada na łóżku. Zbiera swoje rzeczy i zaczyna się ubierać. Zimno, jabłkowa wilgoć przywiera do skóry, teraz Ida czuje w tym zapachu zapowiedź gnicia.

To był głupi, nieprzemyślany pomysł, żeby w taką pogodę jechać oglądać stary dom. Niemądry sentymentalizm, bo domu może już przecież nie być — gdy go sprzedawała, ledwie się trzymał. A nawet jeżeli jest, to pewnie mieszkają tam jacyś obcy ludzie, którzy przyjechali z miasta na ferie i takie odwiedziny dla obu stron będą krępujące. Zobaczy sień pokłutą wiązkami nart i kijków, plecaki w kuchni, cudze skarpety suszące się nad kuchnią. Zburzyli kaflowy piec i zamiast niego postawili norweski żeliwny piecyk. Może zrobili remont i nie ma tam już nic, co mogłaby rozpoznać.

A gdyby nawet było tak samo jak przedtem, to co z tym zrobi? Gdzie umieści te obrazy, z czym je połączy, jak zagospodaruje niepotrzebną pamięć. Uśmiecha się do siebie, wciągając spódnicę — jej matka jeździła na wschód oglądać porzucone miejsca. Ojciec nie chciał. Przypomina sobie Niemców, którzy każdego lata nawiedzali okolicę i patrzyli, i robili zdjęcia, skanowali teren, upewniając się, że tamten przeszły świat, który istnieje w ich głowach, ma jakieś zakotwiczenie na zewnątrz, że nie ulegają łagodnej paranoi, karmiąc się wspomnieniami i snami, pod ironicznym spojrzeniem ich własnych dzieci. „To musi być magiczna wiara, że choć na chwilę uda się ludziom zawrócić czas i dotknąć tego, co było", myśli Ida. Istota wszystkich religii — nie zmartwychwstanie, nie wyzwolenie, ale zawrócenie czasu, sprawienie, żeby gryzł własny ogon i powtarzał bez końca to, co już kiedyś powiedział, nawet jeżeli było to bełkotliwe i nie do końca zrozumiałe. Jej matka wracała z tych wypraw ożywiona i jakby

młodsza. Czy więc udawało jej się cofnąć czas? Czy to był wschodni sabat, na którym przywoływano przeszłość, i czy to za jego sprawą pojawiał się na twarzy matki przewrotny uśmiech?

Ida próbuje powtórzyć na swojej twarzy tamten matczyny grymas. Ćwiczy delikatne mięśnie twarzy. Rozgląda się za lusterkiem, ale w pokoju go nie ma, więc podchodzi do szyby. Jednak nie widzi w niej swojej twarzy, a może widzi, tylko nie zwraca na siebie uwagi.

Z mgły wyłania się na jej oczach spore podwórko, puste, przysypane świeżym śniegiem, przykryte przed jej wzrokiem białym płótnem. Wyżej, ponad zabudowaniami, widzi górę, wysoką, chociaż jej szczyt ginie we mgle. Ma strome zbocza, gładkie, porośnięte tylko małymi drzewkami, które wyglądają stąd jak przecinki, nerwowo stawiane kreseczki na czarno-białym szkicu. Wystają ponad dachy garażów, ponad budynki i nieczynne dźwigi kopalniane. Ida, zahipnotyzowana tym widokiem, czeka, marznąc, aż mgła podniesie się jeszcze wyżej i odsłoni wreszcie szczyt. Ale mijają chwile i wygląda na to, że pokaz już się kończy — rozbielona szarość spływa łagodnymi, powolnymi kaskadami w dół i zakrywa to, co tak niechętnie pokazała.

Schodzi ostrożnie po schodach — są strome i źle oświetlone, leżą na nich resztki czerwonego chodnika. Czuje woń palonego drzewa i gdy za chwilę otwiera znajome drzwi do kuchni, uderza ją fala ciepłego, pachnącego żywicą powietrza. Unosi się jeszcze zapach gotowanych ziemniaków, które lekko parują w garnku na rozgrzanej blasze, i czuć woń kaszy, która bulgocze, prawie już gotowa — Ida podnosi pokrywkę i sprawdza. Zjadłaby sam zapach, bo gotująca się kasza nie wygląda apetycznie — szara breja.

Gospodarzy nie ma. Także legowisko psa, Iny, jest puste. Ida chce wyjrzeć przez okno, ale za szybą panuje już mglista szarość, której inwazji była świadkiem z góry. Szpital, przypomina jej się szpital z dzieciństwa, gdzie wszystkie szyby były zamalowywane na biało.

Rodzice zawieźli ją do szpitala i zostawili. Płakała całą noc i cały następny dzień, boleśnie zawiedziona, że mogli to zrobić. Drugiego dnia, słaba od płaczu i gorączki, zaczęła wyobrażać sobie, że umarła i że widzi

kondukt pogrzebowy i swoją trumnę, oczywiście widzi ich dwoje: swoją piękną, niespokojną matkę, która teraz zatacza się z żalu i żałuje, och, jak bardzo żałuje, i ojca z twarzą w dłoniach mokrych od łez, i dzieci z całej szkoły, i nauczycieli, i lekarzy, i pielęgniarki. Myśl o własnej śmierci jest dobra, cierpko-słodka jak młody agrest, jak pierwsze jabłka.

Nic nie widać przez takie okna. Siedzi więc przy stole nakrytym wytartą ceratą i rozgląda się po pomieszczeniu, czekając na wrzątek. Nie ma tu nic zbędnego, nic luksusowego — może tylko kalendarz: krzykliwe kolory ze zdjęciami wymyślnych potraw. Na marzec przypada ryba ułożona na podłużnym półmisku, jej spieczone martwe ciało ożywiają żółte plasterki cytryny i zielone gałązki pietruszki. Zieleń i żółć na kalendarzu są jedynymi plamami koloru w tej bezbarwnej kuchni, kuchni oślepłej, z bielmem na oknach. Na haczykach nad blachą wiszą fajansowe kubki: bierze jeden z nich i nalewa sobie wody z kranu. Pije łapczywie, jeden, dwa kubki i jeszcze pół trzeciego. Zerkając na czajnik, idzie szukać toalety, więc wychodzi w ciemną, zimną sień. Nie trafia, otwiera drzwi do jakiegoś składziku, pełnego tekturowych pudeł. Ale przecież była wczoraj w łazience, gdzieś tutaj musi być. Wtedy drzwi wejściowe otwierają się, najpierw wpada z impetem ten biały duży pies i za chwilę staje w nich Olga z chorą suką na rękach — lodowata mgła wlewa się do sieni, pospiesznie przeciska się obok jej drobnego ciała, tworząc ulotną, mleczną poświatę. Ida szybko otwiera jej drzwi do kuchni, mrucząc poranne pozdrowienia. Tamta dziękuje i dodaje:

— Ostatnie drzwi na lewo.

Potem znika z psem w kuchni.

Łazienka jest surowa i zimna. Na podłodze stoi elektryczna dmuchawa — wiatraczek startuje niechętnie, ciężkawo i zgrzytliwie.

W małym lusterku nad kranem Ida ogląda swoją twarz. Żadnych ran, ale jest zmieniona, może to wina mdłego światła, jak wszędzie tutaj. Twarz nie wydaje jej się obca, ale inna, jakby niegodna dłuższej uwagi, zamazana — codziennie widywany przedmiot, który znudzone oczy powoli i systematycznie przestają dostrzegać. Dotyka powierzchni lusterka, twarz

chowa się za palcami, potem wraca, dalej byle jaka, nieostra. Ida systematycznie zaczyna dotykać swoich ramion, brzucha, sprawdza twardość klatki piersiowej, miękkość szyi — czy nic nie jest złamane, czy nic nie boli, nie alarmuje. Nogi, stopy, kolana, uda, krocze, pośladki, biodra. Cisza.

Widzi siebie. Włosy do ramion, proste, siwizna ukryta pod farbą „kolor naturalny", Wella albo Schwarzkopf, numer pięć zero, zdaje się, jasny szatyn — do takiego koloru przez lata przyzwyczaiła się skóra twarzy. Szyja — cała w obrączkach, jak owinięta kilkoma cieniutkimi nićmi. Nie dało się powstrzymać tego procesu obrączkowania, nie pomogły żadne kremy ani masaże. Ramiona zrobiły się drobniejsze, kruche, tkanka, która je pokrywa, zwiotczała i teraz, z siłą ciężkości, zaczęła wędrować w dół, w bardziej zaciszne miejsca. Piersi — rzadko już zwraca na nie uwagę — przybrały kształt łzy, kropli zrobionej z miękkiego, delikatnego zamszu. I teraz to widzi: całe ciało ciąży ku ziemi, jakby już wszystkie jego części poczuły się zmęczone i rezygnowały spokojnie z codziennych utarczek z ziemską grawitacją. Tak, mówi ciało, poddaję się, idę ci na rękę, nie walczę już z tobą, wiotczeję, pochylam się, garbię, upadam na kolana i w końcu przywieram brzuchem, twarzą i udami do ziemi, rozpościeram ręce: wessij mnie, daj mi wsiąknąć, rozpuścić się, daj mi zamienić się w cząsteczki płynu, spłynąć w dół i tam pozostać.

Ida dotyka piersi, tam gdzie pod żebrami jest serce. Jest to chore serce, tak uważa, i Ida z powodu tego serca umrze. Dobrze jest przez całe życie znać powód, z którego się w końcu umrze. Od czasu do czasu, nie bardzo wiadomo, co jest tego przyczyną, odbywają się ćwiczenia.

Zaczyna się od dygotania w klatce piersiowej. Serce szamocze się tam, jakby było zamkniętą w pudełku pszczołą, która na oślep obija się o ściany, brzęczy i furkocze, aż padnie z wycieńczenia. Trwa to kilkanaście sekund, nigdy dłużej, a potem serce przestaje bić na całe minuty. Ida leży więc w ciemnościach, bo to najczęściej dzieje się w nocy. Próbna śmierć — nagła biała cisza. Strach pojawia się tylko przy szarpaniu się serca i jest skutkiem ruchu, trzepotania, porzucenia rytmu. Emocja jest zawsze wynikiem jakiegoś stanu ciała, nigdy odwrotnie, odkrywa Ida. Gdy serce nieruchomieje — strach znika. Musi wtedy zapalić lampkę — bo jest

ciekawa, czy to możliwe, że serce tym razem zatrzymało się naprawdę, że nie ma przywidzeń, że to nie histeria czy hipochondria. I czy to znaczy, że umarła. Opuszka palca w drobnym rowku wzdłuż żył odnajduje dobrze znane miejsce. Nic tam nie pulsuje, nic nie porusza gładkiej, letniej skóry. Serce naprawdę staje.

— Wie pani, że to niemożliwe, żeby serce się zatrzymało. Musiało się pani zdawać — mówi młodziutka pielęgniarka, kiedy spisuje dane do karty. W jej wzroku jest jednak mimowolny szacunek, jakim darzy się to, czego się do końca nie rozumie.

Teraz Ida siedzi w poczekalni i palcami lewej ręki obejmuje sobie nadgarstek. Istnieje idealne dopasowanie: nadgarstek mieści się dokładnie w pierścieniu, jaki tworzą kciuk i wskazujący palec. Dotyka wystającej półokrągło kości, kosteczki właściwie, która sterczy spod skóry jak kulka. „Jak nazywa się ta kość i co ma ze mną wspólnego", myśli. Jest zła, bo lekarz się spóźnia. W jakim sensie ta kość, której imienia Ida nie zna, której istoty nie rozumie, jest nią? Czy bez tej kości dalej byłaby sobą? Bez którego organu nie mogłaby być sobą? Serca? Mózgu? Musi zapytać lekarza.

Wyobraża sobie wnętrze swojego ciała, jakby było bohaterem oświatowego filmu wyświetlanego dzieciom na lekcjach biologii: „Twoja skóra" albo „Jak pracuje mózg człowieka" — zawsze widzi je w ogromnym powiększeniu, składające się z monstrualnych komórek, pulsujących drobin fragmentów czegoś większego, czego nie można by się nawet domyślić. Jej ciało składa się z tajemniczych jam i wybrzuszeń, warstw poukładanych jedna na drugiej, mięsistych tub, połyskliwych powierzchni, ukwiałopodobnych stworów. Jest tak samo obce jak dno morza, jak rafa koralowa zamieszkana przez stworzenia spotworniałe i szokujące.

Oto macica — ciemny tunel, a na jego końcu w krwistych fałdach mięsa widać małą żółtawą kroplę, która — podobna do perły — wyślizguje się na zewnątrz i spada w dół tym tunelem, i już po chwili, z żalu, jego mięsiste ściany zaczynają się łuszczyć, odpadają krwawymi płatami i zamieniają się w tysiące lepkich kropel krwi. Serce — monstrualny zlepek mięsistych tasiemek, gumowych i sprężystych. Rytm, w jakim się porusza, jest rytmem kopulacyjnym. Każdy takt rodzi jedną chwilę, która

natychmiast umiera. Mały bąbelek bez koloru, pękający, zanim zdąży się na niego popatrzeć.

Wyjść wprost ze sterylnych pomieszczeń na rozgrzaną ulicę i zawołać: „Nie ufajcie lekarzom!" Nie sądźcie, że kiedykolwiek któryś z nich powie coś naprawdę istotnego. Uważajcie, ich wiedza jest udawana i w rzeczywistości przypomina prostacką grę. Chodzi po prostu o to, żeby w odpowiednim momencie podnieść wzrok znad papierów czy słuchawki stetoskopu przytkniętej do cudzego ciała i w ciągu ułamka sekundy przejąć kontrolę: ja wiem o twoim ciele to, czego ty nie wiesz; chociaż nie jestem tobą, wiem coś, z czego ty nie zdajesz sobie sprawy. Tym, co nas różni, jest wiedza. Ja wiem, bo nie jestem tobą. Ty nie możesz nic wiedzieć o sobie, bo można poznać tylko to, co nie jest nami samymi. Tak to wygląda. Masz wprawdzie ciało, ale nic o nim nie wiesz. Ja wiem o nim wszystko, jest bowiem takie samo jak inne ciała, które już dawno poznałem, obmacując je z góry na dół, zaglądając do środka, tnąc w wyobraźni na małe kawałeczki, żeby nic nie mogło się przede mną ukryć. Nic mnie nie zaskoczy. Ciała są w istocie prostymi aparatami hydraulicznymi. Rozpoznanie i działanie — kilka wypisanych recept i skierowań na dalsze badania. Podawanie ciała dalej, ku innym, którzy też udają, że wiedzą lepiej.

Ułożona wygodnie na łóżku, czeka, aż podłączone do piersi i stóp elektrody wyczują wewnętrzne rytmy i napięcia, a potem zamienią je na kilka symbolicznych linii, które plujące atramentem rysiki wyrysują na papierze we wzruszającą panoramę serca. Lecz co Ida ma im powiedzieć w tej sprawie? Panie doktorze, moje serce przestaje bić i zatrzymuje się na długie minuty, więc jestem martwa jakimś cudem i jakimś cudem powracam do życia. Kiedy moje serce nie bije, zapada straszna cisza. Nigdy pan czegoś takiego nie słyszał. Jest potężna, musi brać się z głębi ziemi, wyłania się na powierzchnię jak głowa przedpotopowego potwora, rozgląda się wokół, a potem spływa tam, skąd przyszła. Serce rusza szarpnięciem, skurczem, kilkusekundowym drżeniem i — jakby to ująć technicznie — silnik zaskakuje. Mała śmierć.

Doktor oświadcza:

— Ma pani tachykardię, to nic groźnego, pewnie chorowała pani na anginy w dzieciństwie.

— Rosjanie zdrabniają słowo „śmierć” — mówi Olga, kiedy Ida wraca do kuchni. — Smierťka. Małe zwierzęta umierają na małe śmierćki.

Uśmiecha się i klęczy przy skrzyni z Iną. Jej milczący mąż podłożył pod kuchnię, a potem cichutko wyszedł. Ida dopiero teraz uświadamia sobie, że Olga mówi ze wschodnim akcentem, lwowskim czy wileńskim — nie umie tego rozpoznać. Jak jej rodzice, ale trochę inaczej.

— Po polsku to nie brzmi dobrze: „śmierćki” — Ida widzi, jak staruszka sękatymi palcami rozgarnia czarną sierść Iny i szuka miejsca, żeby wkłuć tam igłę.

— Niech pani tak nie patrzy — odzywa się Olga. — Muszę jej dać ten zastrzyk, bo cierpi. Adrian mówi, żeby nie żałować im leków przeciwbólowych.

— Czy to widać, że cierpi, skąd pani wie, że ją boli?

— Po oddechu — mówi Olga. — Niech pani patrzy, jaki jest szybki i nieregularny. Jak lek przestaje działać, suka stęka. To tak samo jak człowiek, dlaczego miałoby być inaczej? Proszę sobie zalać kawę, woda dawno się zagotowała.

Ida wlewa do kubka gorącą wodę. Na powierzchni tworzy się brunatny kożuch.

— Nie myśleliście, żeby ją uśpić? — pyta.

Olga nie odpowiada. Jej kościste, artretyczne palce naciskają tłok strzykawki, żeby usunąć stamtąd powietrze. Potem igła znika w czarnej sierści. Biały pies stoi nad koszem i patrzy na zastrzyk, jakby był specjalistą w białym lekarskim fartuchu i sprawdzał jakość wykonania. Kobieta z trudem podnosi się z klęczek, odkłada strzykawkę na parapet okna i patrzy na Idę.

— Jak się pani czuje? Czy lepiej?

— Och, tak, bez porównania. Już w porządku. Muszę teraz zadzwonić na policję i do przyjaciół, że nic mi nie jest, i już idę. Dziękuję za wszystko. Czy mogę zadzwonić?

Ida patrzy na telefon, który wisi na ścianie przy kredensie i nagle zdaje sobie sprawę, że może nikt nie zauważył jej zniknięcia. Co najwyżej Ingrid mogła nagrać jej się na komórkę — och, pewnie zostawiła ją w samochodzie.

— Jasne, niech pani dzwoni — mówi Olga i bierze się do mieszania kaszy w jednym z garnków.

Ida wsypuje do szklanki czubatą łyżeczkę cukru i zastyga nad nią z uniesioną ręką — przecież nie słodzi od lat. Uśmiecha się do siebie i staje z kawą przy telefonie. Aparat wygląda anachronicznie: czerwony, plastikowy, z okrągłą tarczą. Zastanawia się, co ma powiedzieć. To samo. Że zakręt, że wypadła z niego, że to gdzieś za drogowskazem na Bożków i Bardo, to pamięta dobrze. Samochód spadł z nasypu tuż za tym zakrętem. Zresztą może go już znaleźli. Dotyka dłonią rączki telefonu i cofa ją.

Olga ugniata kaszę i dodaje do niej jajko i jakiś proszek, wlewa olej.

— Dla kogo to jedzenie? — pyta Ida.

— Mamy tu inne zwierzęta. Adrian je zwozi.

Po chwili:

— Nie zadzwoni pani do córki?

Ida parzy sobie wargi kawą.

— Ona podróżuje, właściwie nie wiem, gdzie jest.

— Z dzieckiem?

— Tak, z dzieckiem. Taką ma pracę, że podróżuje — pisze przewodniki.

Ida przypomina sobie kartkę od córki, leży na bufecie w jej małej warszawskiej kuchni, pismem do góry. Bajecznie kolorową rafę ogląda gładki blat. Maja napisała swoim niestałym, dziecinnym pismem, że ściskają ją oboje, że wszystko jest w najlepszym porządku, że są zdrowi i cali i że w marcu zaczną się monsuny, więc powoli będą myśleć o powrocie. Każde zdanie zaczyna się od myślników. Na dole pod podpisem jest coś, co przypomina kleks. Kiedy patrzy się na to dość długo, można rozpoznać nieudolnie lub pospiesznie narysowany kształt serca. Narysowała serce. I jeszcze coś: udany rysunek żółwia — to pewnie rysował chłopiec. Szkoda, że nie wzięła tej kartki ze sobą, pokazałaby Oldze.

Olga nie zadaje więcej pytań. Lecz gdy Ida myśli o kartce na bufecie w kuchni, nagle przypomina jej się, że ma być jutro na badaniach w szpitalu. Mówi o tym Oldze, a ta rzuca:

— Serce?

— Skąd pani wie?

— Strzeliłam i zgadłam. Wszyscy mają kłopoty z sercem — Olga wygląda na ucieszoną.

— Lekarz mówi, że nic mi nie jest.

Idzie wydaje się, że Olga chce coś powiedzieć, ale tylko energicznie miesza kaszę i odstawia ją z ognia.

Milczą chwilę obydwie, a potem Ida pyta, patrząc przez okno:

— Co to za góra, ta za domem?

Olga mówi, że to hałda górnicza i że kiedyś były tu kopalnie.

— Pod nami są kilometry podziemnych chodników, całe miasto. — Pieści białego psa za uchem. — Latem można zwiedzać.

— Wygląda na bardzo potężną, jak jakiś zikkurat.

Olga patrzy na nią pytająco, widocznie nie zrozumiała słowa, ale w tej samej chwili w drzwiach pojawia się głowa Stefana.

— Chodź, jest Ad — mówi do żony, a ona wstaje z wyraźnym trudem.

— Niech pani coś zje. Kanapkę. Masło w lodówce.

4.

Mgła za oknem poruszyła się znowu i teraz można dostrzec, z czego się składa — z miękkich falujących pasm, płynących warstwami i meandrami jak dym, z drobnych, nieostrych wirów, z gładkich fal o różnych amplitudach, fal, które nawijają się na przeszkody, tworząc pętle, kręgi i spirale. Ida patrzy na ten ruch za oknem i wydaje jej się, że widzi za tym falowaniem jakieś ciemniejsze, bardziej oddalone kształty. Odkłada słuchawkę, którą bezwiednie cały czas trzymała w dłoni, i bierze z garnka parującego ziemniaka w łupinie. Jest gorący, skóra schodzi z niego płatami.

Takie ziemniaki gotowała jej matka, dla kur; gniotła je i dodawała do nich zmielonego żyta. Był taki czas, kiedy mieli sporo kur, zanim ich nie wyniósł lis. Był pracowity, co noc jedna kura — tak to trwało przez miesiąc. W końcu została tylko jedna, odważna, waleczna. Całe dnie spędzała siedząc na schodach przed domem, ciągnęło ją do ludzi, może z powodu samotności, może z powodu lisa. Matka przeganiała ją stamtąd, nie lubiła kur ani żadnych ptaków, brzydziła się piór, jaj i mięsa. Zabite, sparzone wrzątkiem skubał ojciec. Matka szła wtedy do ogródka pielić albo po prostu wychodziła. Nosiła pończochy — w domu grube, przytrzymywane podwiązkami, na wyjście zakładała cienkie i śliskie, wtedy jej noga przypominała nogę plastikowej lalki. Do tych cienkich pończoch zakładała pas, a gumowe pyszczki żabek chwytały mocno skrzypiący nylon i utrzymywały go napiętym na baczność, w ciągłej gotowości. Potem którejś nocy zniknęła i ta odważna kura.

Ida gryzie ziemniak; jest dobry, pulchny i zaraz przyjemnym ciepłem rozpływa się w ustach.

Kiedy matka wychodziła i oboje z ojcem widzieli jej sylwetkę w którejś z kwiecistych sukienek, prawie biegnącą w dół do wsi, ojciec rzucał córce przelotne spojrzenie, w którym była prośba o wyrozumiałość dla niej, coś

w rodzaju: „To nie jej wina, że taka jest", a potem wracał do swych cichych prac.

Badania nie wykazały nic szczególnego. Miała niewielką arytmię, prawdopodobnie od urodzenia albo z powodu angin w dzieciństwie.

— Nic groźnego. Jest pani zdrowa — powiedział lekarz i rzucił okiem na dwie cyfry wypisane na górze jej karty: 54. — Jak na swój wiek, jest pani w dobrej kondycji.

Potem pisał w milczeniu na receptach — delikatne środki uspokajające, na sen, na wzmocnienie.

Na początku grudnia, w jakąś sobotę pojechała do czystej, sterylnej, prywatnej kliniki. Dostała numerek, kawę i coś w rodzaju menu: na eleganckim kartonie ozdobionym logo szpitala wypisano wszystkie możliwe badania. Obok dyskretnie podano ceny. Siedziała z ołówkiem w ręku i zakreślała — toksoplazmoza, żółtaczka B, HIV, cholesterol HDL i LDL, TG/TGC, BUN, OB/ESR, WBC... Większości nazw nie rozumiała. Podkreślała tylko dlatego, że wydawały się jej groźne, jak imiona prehistorycznych drapieżnych zwierząt — trombocyty, hematokryt, monocyty, urobilinogen, bilirubina. Potem elegancka młoda kobieta w recepcji przyjęła od niej kartę jak zamówienie, wyznaczyła jej termin i kazała przyjść na czczo. Wręczyła jej dyskretny, zabawny pojemnik na mocz i życzyła dobrego dnia. To nowa moda — życzyć sobie „miłego dnia". Ida, wychodząc stamtąd, kupiła w szpitalnej aptece mały termometr w plastikowym futerale i postanowiła mierzyć sobie temperaturę codziennie, systematycznie, zaraz po przebudzeniu. Udawało jej się to robić przez kilka dni. Wyniki zapisywała na kartce przypiętej do lodówki magnesem. 36,7; 36,4; 36,6; 36,6 — wykres byłby zupełnie nieciekawy, ale dopiero teraz, dzięki tej łagodnej monotonii, zdała sobie sprawę, że już przecież nie jajeczkuje, że to morze, wewnętrzny ciemny ocean ucichł i zapada nad nim jeszcze czarniejsza noc. Spokojny bezmiar wody. Fale, które nie poruszą już żadnej muszli.

Przedtem mierzyła w taki sposób temperaturę trzydzieści kilka lat temu, na studiach. Wszystkie miały w pokoju termometry, kalendarzyki pełne cyfr i wykrzyknik postawiony w tym miejscu, gdzie ciepłota ciała nagle podnosiła się o kilka kresek w miarę regularnie, co miesiąc. Senne dziewczęce ręce sięgające po szkło termometru, rozespane ciało przekłute słupkiem rtęci.

To było żenujące doświadczenie — samą siebie badać chłodnym narzędziem, szklanym prętem, wskazującym na odpowiedniej skali proces, który dzieje się w zamkniętym, ciemnym wnętrzu ciała. Że potrzebne jest narzędzie, którym zbada się własne ciało, bo z jakichś oburzających względów, z powodu jakiegoś skandalicznego błędu w naturze istota ludzka nie wie nic o własnym ciele. Niby stanowi jedno z tym ciałem i jest tym ciałem, wskazuje palcem w pierś i mówi o nim „ja", a jednak nie ma pojęcia, co się w nim dzieje. Niby coś tam czuje, jakieś mrowienia, zawroty głowy i ból, przede wszystkim ból, ale nie ma żadnej wiedzy, która przecież, jeżeli byłoby to logiczne, musiałaby być wrodzona. Dopiero trzeba samej dla siebie stać się przedmiotem, wetknąć w siebie szklaną rurkę, żeby dowiedzieć się o tym, co się dzieje we własnym środku.

Milczące, lepkie zakamarki, mięsisty, bezkształtny zegarek, z którego zamiast tykania dobywają się kulki materii precyzyjnie odmierzające czas. Nabrzmiewanie tkanki i ulga. Krągłe „o" ześlizguje się wąskimi labiryntami w przyszłość. Ciało nic o sobie nie wie, musi przeprowadzić na sobie test, żeby dowiedzieć się, jak funkcjonuje jego mechanizm.

Ida myśli, że ona i jej ciało nie mają wspólnych korzeni. Pochodzą z różnych krain. To dlatego muszą się porozumiewać za pomocą termometrów, tomografów i rentgenów.

Kazano jej się rozebrać do badań. Dostała mały pokoik bez okna, z umywalką i wieszakami. Włożyła biały strój — coś w rodzaju piżamy czy płóciennego garnituru, i plastikowe jednorazowe klapki. Dwa razy pobrano jej krew — z żyły i z palca. Potem przeszła z jakąś młodą kobietą do prześwietlenia — nie rozmawiały ze sobą, nie zamieniły nawet zdania, jakby to było zrozumiałe, że teraz są zajęte ważniejszymi rzeczami i nie obowiązują ich towarzyskie normy. Piersi rozpłaszczyły się przytulone do metalowej ścianki, gdy pielęgniarka w pośpiechu zostawiła ją sam na sam z maszyną, na którą przez ułamek sekundy zstąpił duch boży, tak

że mogła widzieć to, co zakryte, co schowane, co zawsze w ciemnościach. Inna pielęgniarka wzięła od niej pojemnik z moczem, ten wstydliwy dowód chemicznych procesów, które zachodzą same z siebie, zapoczątkowane ponad pięćdziesiąt lat temu z niewiadomych przyczyn. Pojemnik dostał jej imię i nazwisko i stanął razem z innymi nazwanymi w podobny sposób. I data. 8 grudnia 2003 roku. Tu była i zostawiła po sobie ślad, z którego da się wyczytać, czym jest.

Potem zaprowadzono ją do małej kafejki w podziemiach tego prywatnego przybytku. Dostała kawę i francuskie rogaliki. Przy sąsiednim stoliku jadła ta druga kobieta, odwrócona do niej bokiem. Widziała z profilu jej wąskie zacięte usta, które otwierały się jak pyszczek jaszczurki przed każdym kęsem. To też pamięta. Spojrzały na siebie z niewyraźnym uśmiechem i w milczeniu jadły dalej.

Kilka dni potem znowu się tam zjawiła. Młoda lekarka, dziewczyna jeszcze, przeglądała plik kartek z wynikami i powiedziała to samo, co poprzedni lekarz — że Ida jest zdrowa.

— Może hemoglobina mogłaby jeszcze budzić wątpliwości, to jedyne, do czego można by się przyczepić — mówiła — ale poza tym pani ciało jest w należytym porządku, można pozazdrościć.

Oczekiwała zapewne, że pacjentka się ucieszy, że odetchnie z ulgą i radośnie wyjdzie w wilgotne miasto robić świąteczne zakupy. Myślała, że sprawia jej ulgę tym oświadczeniem, ale oczywiście myliła się. Ida podziękowała i wyszła. Młoda lekarka pozostała w swoim gabinecie, czekając zapewne, jak Pytia, na kolejną osobę, której — być może — miała do powiedzenia to samo. Albo wręcz przeciwnie — teraz przygotowywała się do wyroku i tej kobiecie o jaszczurczym pyszczku powie: jest pani śmiertelnie chora i pani umrze. Nic nie da się dla pani zrobić. Byłoby zgodne z prawdą, gdyby po prostu mówiła każdemu, kto siadał przed nią: pani umrze i pan umrze, i ty umrzesz, drogie dziecko, i ja też umrę. Wszyscy umrzemy i powinniśmy się na to przygotować, powinniśmy powołać stowarzyszenia wspierające umieranie i ufundować szkoły, aby się tego nauczyć, żeby chociaż ten ostatni raz w życiu nie popełnić już błędu. Należałoby to ćwiczyć na lekcjach wuefu, jak umierać, jak osuwać się łagodnie w ciemność, jak tracić przytomność i jak schludnie wyglądać

w trumnie. Powinny być lekcje pokazowe, na pewno ktoś zgodziłby się oddać swoją śmierć kamerom, żeby nakręciły szkoleniowe filmy. I na tym kursie powinien być także przedmiot etnograficzny, wszystko o śmierci, co o niej myślano, jak ją rozumiano, dlaczego raz jest kobietą, a innym razem mężczyzną, gdzie się idzie po śmierci i czy w ogóle gdzieś się chodzi. Podobnie jak jest biologia, którą zdaje się na maturze, powinna być też tanatologia i testy na zaliczenie semestru, i stopnie na świadectwie. „Grozi mi pała z tanata", mówiliby uczniowie, popalając w ubikacji zakazane, śmiercionośne papierosy, a potem do rana wkuwaliby wszystkie możliwe definicje, wykresy i liczby. I wszyscy byliby wdzięczni za to przypomnienie i naukę.

Serce Idy nie przejmuje się wynikami badań. Od czasu do czasu urządza w nocy małe awantury. Staje na moment, jakby w geście buntu — ma dość tego bicia piany.

Ida słyszy na podwórku jakieś hałasy, skrzypią wielkie drzwi stodoły. „To tam podziewają się zapewne gospodarze", myśli Ida. Podejrzewa, że tam, w tych stodołach mają jakąś hodowlę, może lisy na futra, może norki albo po prostu kury. To dla nich gotują tę kaszę. Olga ma pewnie tyle lat, ile miałaby matka Idy. Nie, młodsza, może trochę młodsza. Dom jest pusty. Ida stoi nad rozgrzaną blachą i grzeje ręce — taka kuchnia to skarb. Pamięta, żeby podłożyć drzewa i dolać wody do czajnika. Pies, ta suka, unosi lekko głowę i śledzi jej ruchy.

Ida podchodzi do okna i czuje na sobie wzrok psa.

— Czegoś chcesz? — pyta.

Pies patrzy na czajnik, a potem na miskę. Jest pusta. Chce mu się pić.

— Zachowujesz się jak niemowa — mówi do niego i uśmiecha się do siebie: powiedziała głupotę. Nalewa wody do miski i podsuwa ją psu. Ale on nie reaguje — patrzy na miskę, jakby chciał poruszyć ją wzrokiem, więc Ida ostrożnie unosi jego głowę. Czuje pod palcami, jak jego szyja leciutko drży i jak ciężka jest głowa psa. Pies tkwi bez ruchu z nosem przy powierzchni wody, jakby zbierał siły, potem robi kilka niezbornych mlaśnięć, rozpryskuje wodę i znowu zastyga w tej samej pozycji z nosem przy wodzie. Ida jedną ręką zabiera miskę, drugą kładzie kudłatą głowę

na posłaniu. Suka wzdycha. Wtedy Ida gładzi ją po — można powiedzieć — policzku.

Wracają gospodarze. Tupią butami, osypując śnieg, bo znowu zaczęło padać. Mgła rozpadła się na małe cząstki i zamieniła w płatki śniegu. Olga grzebie w lodówce, wyciąga stamtąd ten sam żółty ser, słoik chrzanu, majonez. Ida stara się pomóc w tych przygotowaniach do jedzenia, robi porządek na stole.

— Miałam zadzwonić i zapomniałam. Nie wiem, o czym ja myślę — mówi. — Nie mogłam dzisiaj spać. Obudziłam się, kiedy świtało, i już nie mogłam zasnąć.

— Wtedy jest dziwne światło, dlatego było ci nieswojo — mówi powoli Stefan.

Ida patrzy w jego twarz uważnie, doszukując się tam wyjaśnienia: uśmiech będzie znaczył, że to taki żart, poważna mina, iż jest po prostu ekscentryczny, może też ma kłopoty z pamięcią, może z powodu wieku, choć nie wygląda na zniedołężniałego staruszka. Napotyka wzrok Olgi. Robi maleńki ruch brwiami, który może znaczyć tylko cudzysłów: bierz wszystko, co on mówi, w cudzysłów.

Mężczyzna dodaje do garnka z kaszą zawartość puszek z psim jedzeniem i miesza drewnianą łyżką.

— Według mnie wygląda pani bardzo dobrze. My tu mamy dobre powietrze i dobrą wodę. Ludzie młodnieją. — Stefan bierze gar z kaszą w obie dłonie i szurając, idzie do wyjścia.

Ida otwiera mu drzwi.

— Przyjdź zaraz na śniadanie i włóż czapkę — krzyczy za nim żona.

Obie kroją plastry żółtego sera i układają na talerzu. Potem ogórek kiszony.

Olga pyta:

— Skąd się tu wzięłaś? Chyba mi już to mówiłaś, ale nie pamiętam. Z Wrocławia?

Ida odpowiada:

— Z Warszawy.

— Aha, ale jak?

Ida opowiada jeszcze raz cierpliwie.

— A rodzice, czy twoi rodzice jeszcze żyją? — pyta Olga.

— Nie, nie żyją. Dom został sprzedany — odpowiada Ida i ma nagłą, paniczną potrzebę ucieczki. W myślach sprawdza, czy wszystko ma: klucze, dokumenty, gdzie powiesili jej płaszcz. Rzuca okiem na telefon — musi teraz zadzwonić. Rusza stąd, doszła już do siebie. Ma już dość tych ludzi — plątają jej myśli. Energicznie podchodzi do kalendarza z rybą, więc dzisiaj jest sobota. Sobota czy piątek? W poniedziałek w Warszawie ma wizytę u lekarza. W środę musi być w pracy.

Olga zalewa herbatę w szklankach, z jednej torebki robi dwie.

— A mnie się wydaje, że mieszkamy tu od zawsze — odzywa się. — Tyle ludzi przewinęło się już przez ten dom. Mówiłam mu — pokazuje brodą na drzwi — żeby zrobić taki szyld: „agroturystyka", i postawić przy drodze, bo samego domu z drogi nie widać. Ale i bez szyldu tu trafiają. A ty, co tam robisz w tej Warszawie? Masz rodzinę? Wyglądasz mi na mądrą kobietę.

Ida uśmiecha się do siebie, zadowolona z tego nieoczekiwanego i staroświeckiego komplementu, i każe sobie zapamiętać, żeby zapłacić im za nocleg i wyżywienie, widocznie zarabiają na takich zabłąkanych podróżnych jak ona. Ignoruje drugą część pytania Olgi. Postanawia napić się jeszcze herbaty przed wyjściem. Olga patrzy na nią z zaciekawieniem i pochłania jedną kromkę za drugą; jej szczęki są ruchliwe, jakby nie miały żadnego przymocowania do reszty głowy.

— Oprowadzam wycieczki.

— To jest taki zawód? — dziwi się Olga.

Wtedy wchodzi Stefan, właściwie tylko wkłada głowę i mówi do żony: „chodź". Brzmi to przynaglająco i poważnie, jakby stało się coś ważnego. Ida zastyga z otwartymi ustami — ma wrażenie, że już tak samo zdarzyło się dzisiaj albo wczoraj, że bierze udział w dziwacznym, rozciągniętym w czasie i dziurawym déjà vu. Potrząsa głową, to poczucie jest jak woda w uchu — zniekształca dźwięki, dodaje od siebie wszechobecny szum, trzeba ją koniecznie wytrząsnąć.

Olga posłusznie wstaje od stołu, wkłada futrzany serdak, włóczkową czapkę i wychodzi. Ich zajęcie musi być z tych nie cierpiących zwłoki.

Nie ma na co czekać. Ida wykręca numer policji — 997, zna go z telewizji, z tych programów, w których nieudolnie rekonstruuje się zbrodnie. Słyszy długi sygnał, jak przejmujący sygnał pustki. Nikt nie podnosi słuchawki. Próbuje jeszcze raz. Dźwięk jest długi, smutny, jakiś gwizd dalekiej lokomotywy. Stąd wszędzie musi być daleko, nawet dla telefonu. Nagle wydaje jej się, że tam po drugiej stronie podniesie słuchawkę Nikolin i powie swoim słabym, zmęczonym głosem: „słucham?".

Tak myśli o swoim mężu, zawsze po nazwisku: Nikolin — kiedyś brzmiało to swojsko, kiedyś, to znaczy wtedy, gdy byli młodzi i mieli takie same dżinsy, taką samą fryzurę. Teraz „Nikolin" brzmi tak, jak powinno, zgodnie z prawdą — nazwisko znajomego. Gdy trzeba, spotykają się w kawiarni, gdzie on i tak przesiaduje całe przedpołudnia. Wchodzi się tam z głównej ulicy, z tłumu, z hałasu samochodów, przez ciemnawą bramę w świat nagle zamilkły, uspokojony, lekko pachnący wilgocią, i zapach ten zapowiada obecność skweru czy ogródka, który w rzeczywistości sprowadza się do wystawionych latem kilku donic z pnączami oddzielającymi od siebie stoliki.

Nikolin — siaduje zawsze w kącie, wewnątrz, gdzie jest najduszniej i najciemniej, i tylko mały kinkiet wiszący nad głową umożliwia mu czytanie.

Ida z daleka dostrzega jego bladą, lekko już obwisłą twarz i jasnopopielate, przerzedzone włosy. On zawsze skądś wie, że ona, była żona, właśnie wchodzi, i śledzi ją z mroku swojego kąta. Jest przekonany, że ona go jeszcze nie widzi, a przynajmniej jest tak daleko, iż nie rozpoznaje wyrazu jego twarzy. Zawsze popełnia więc ten sam błąd, bo w istocie Ida spostrzega ten jego pełen niechęci grymas, zanim on jeszcze zrobi z nim porządek i rozciągnie usta w uśmiechu, nie za serdecznym, nie przesadzonym, całkiem przyjacielskim, zwyczajnym. Widzi jego twarz, gdy nie jest jeszcze do oglądania, i wie, co wyraża: niesmak, cień złości, obrzydzenie — niekoniecznie do niej, lecz do wszystkiego, co nie jest nim samym.

Nikolin nosi wiele rzeczy nie dobranych do siebie czy dobranych ze złością przeciw wszelkiej formie: koszulę, wełnianą kamizelkę, jakąś apaszkę, która udaje fular, i na to marynarkę z łatami na łokciach, i workowate sztruksowe spodnie, a w butonierce marynarki jeszcze chusteczkę. Wszystkiego za dużo, dziwaczna elegancja kogoś, kto ubiera się mechanicznie. Nikolin odkłada książkę i patrzy na nią z uśmiechem, teraz już przyjaznym, sięgając po piwo sączone od godziny.

Zwykle to on dzwoni pierwszy, zwykle chodzi o jakąś drobną pomoc: polecenie lekarza, pożyczkę; jakieś wydarzenie — spektakl, kolację, wykład — na które koniecznie nie chce iść sam. Ona zjawia się niechętnie, zmęczona, między wyjazdami, często z zakupami w siatce. W gruncie rzeczy chodzi mu zawsze o to samo: jestem bezradny — mówi jego kraciasta marynarka, łysiejąca głowa, chusteczka w butonierce, fałd zmęczonej skóry koło ust, popielate powieki, drobne delikatne ręce z odciskiem od długopisu na palcu — jestem zagubiony i bezradny, nie wiem, jak mam sobie poradzić z tym wszystkim, sąsiad zalał mi łazienkę, zgubiłem umowę o ubezpieczenie, mam podwyższony cukier we krwi, nie śpię w nocy, mam myśli samobójcze, jestem stary, zmarnowałem życie; zabierz mnie do domu, zaopiekuj się, jestem chory, słabnę.

Ale jego usta donoszą tylko fakty konkretne: popsuła mi się ciepła woda, czy nie znasz jakiegoś speca, czy mogłabyś zadzwonić, żeby przyszedł do mnie, będę teraz w domu przez cały czas. „Dam ci numer", mówi Ida. „No, jasne, sam zadzwonię", mityguje się i dodaje: „Czy mogę wpaść do ciebie na kawę?" Ida wzrusza ramionami. „Znowu wyjeżdżam", mówi. „A kiedy wracasz?", dopytuje.

Przychodzi z gazetą, zajmuje swoje stare miejsce w kuchni przy stole, ona coś tam kroi, pitrasi. Siedzi w jej kuchni nad rozłożonym na stole „Tygodnikiem", wielkie strony pisma spływają ku ziemi. Kuchnia jest mała, Nikolin zajmuje sobą i tą rozłożoną gazetą całą przestrzeń, wdycha całe powietrze, zabiera światło. Rozmawiają cicho, bez energii. Tego się niechcąco nauczyli — na widok siebie czują się zmęczeni. Ida daje mu coś do jedzenia, podstawia pod nos miseczkę z zupą, na tę gazetę. Nikolin uśmiecha się z wdzięcznością i je w milczeniu. Jest jak pisklę, które urosło do niebywałych rozmiarów, ale jednak straciło zdolność opuszczenia gniazda. A im więcej wdzięczności jest w tym uśmiechu i im bardziej

smakuje mu zupa, tym Idę ogarnia większy gniew. To jest ten gniew, kiedy cię unieruchomiono i nie możesz się ruszyć. To jest szał. Ida stara się panować nad sobą: czeka, aż tamten skończy, i zabiera mu pustą miseczkę. Wkłada ją do zlewu i mówi, żeby już sobie szedł. On bez słowa, bez najmniejszego westchnienia, bierze z wieszaka kurtkę i wychodzi. Pada tylko coś jakby: „do zobaczenia" albo „trzymaj się". Ale mamrotliwe, niewyraźne.

Kiedy Maja poszła na studia, podzielili mieszkanie na dwa mniejsze. Przez pierwszy rok przychodził po swoje książki, które stały u niej w kartonach, zabierał po trzy, cztery, żeby zawsze mógł mieć pretekst do przyjścia. Mówił, że u siebie brakuje mu półek. Zaglądał do lodówki, jedli coś razem, a potem wychodził. Ociągał się w drzwiach, marudził.

Nikolin od wieków zajmuje się kiczem, dwadzieścia lat temu miał napisać o tym pracę doktorską. Teraz uczy historii, ale to mu nie przeszkadza — tropi kicz we wszystkim, z czym się spotyka. Analizuje kicz, prześwietla go, nienawidzi i adoruje zarazem. Nigdy nie ma dość tej gry — badania wszystkich zjawisk jako potencjalnych nosicieli kiczu. Robi to łagodnie, z uporem, systematycznie zapisując spostrzeżenia swymi drobnymi kobiecymi dłońmi w notesach, i jako aforyzmy rzuca swoim gimnazjalistom.

Kicz jest pustym, bezrefleksyjnym naśladowaniem tego, co zostało naprawdę przeżyte, co zostało odkryte po raz pierwszy i jedyny. Kicz jest wtórnością, powieleniem, mimikrą, która usiłuje wykorzystać raz stworzoną formę. Kicz jest imitowaniem wzruszenia, grzebaniem przy podstawowym, pierwotnym afekcie i ubieraniem go w treści, które są za ciasne. Każda rzecz, która udaje inną, by tym samym wywołać uczucia, jest kiczem.

Każda imitacja jest moralnie zła — dlatego kicz jest groźny. Nic nie jest tak groźne dla człowieka, jak kicz, nawet śmierć.

Ida podejrzewa, że ten temat ma drugie dno, symboliczne, i Nikolin, tkwiąc w nim beznadziejnie, odprawia misteria, zbliża się do głębokiej, mrocznej tajemnicy, w której kicz jest tylko pretekstem, kluczykiem.

Ludzie spotykają się jedynie po to, żeby zobaczyć, jak bardzo różnią się od siebie. Z tymi, którzy różnią się od nich najbardziej, zostają na dłużej. Jakby życie chciało pokazać im wszystko, co nie jest nimi. Każdy kolejny dzień z Nikolinem udowadnia, że te różnice są nielikwidowalne. Żyją ze sobą osiemnaście lat.

Patrzyła na niego, jak robił swoje małe notatki na fiszkach, składające się co najwyżej z dwóch słów; wyglądały jak szyfr. Najbardziej niebezpieczne są emocje, ponieważ one obsesyjnie szukają jakiejkolwiek formy ekspresji, są niecierpliwe, nie mogą czekać, żeby stworzyć coś nowego, swoistego — wpadają więc z rozpędu w utarte formy. Im silniejsza emocja, tym większa pokusa użycia formy zużytej — im bardziej bolą stopy, tym łatwiej im znaleźć stary rozdeptany kapeć. „Kicz to wymuszenie emocji", zapisuje Nikolin swoim małym, rozstrzelonym pismem, które wygląda jak sekwencja chromosomów.

Kiedyś stoją naprzeciwko siebie w kuchni. Trwa to bardzo długo. Mierzą się wzrokiem — stać ich tylko na taki rodzaj walki. Widzi grymas, który zaraz znika pod uniesionymi ze zdziwieniem brwiami. Ale pamięta też krótki wyraz twarzy, który pojawia się jak mgnienie i zostaje skrupulatnie ukryty. To jest pusta, obca twarz. Wszelka miłość jest kiczem, nie ma nowych form dla miłości, ponieważ wszystkie po tysiąckroć zostały już zużyte. Nie ma formy, więc nie ma i miłości. Ida czuje ból gdzieś w okolicy serca, bo Nikolin jest martwy.

„Niektórzy zajmują się tym, czym nie powinni", myśli. Gdyby zaczęli ten drugi temat, ten, z którego istnienia nawet nie zdają sobie sprawy, a który dotyczy ich naprawdę, mogliby powiedzieć coś ważnego. Tymczasem oni nie rozpoznają swojego tematu i całkowicie oddają się innemu. W ten sposób umierają za życia.

Słuchawka zawodzi monotonnym, długim sygnałem. Nikt nie odbiera. Czy to możliwe.

Suka nagle wzdycha, a potem siada, lekko chwiejąc się na boki. Patrzy przed siebie obojętnie. Dyszy.

— Chcesz wyjść? Co chcesz?

Pies nie reaguje. Ida znowu podstawia mu miskę z wodą. Suka najpierw wącha wodę bez zainteresowania, a potem, nagle, jakby sobie wszystko przypomniała, zaczyna pić łapczywie, rozpryskując ją na swoje posłanie i na spódnicę Idy. Przestaje tak samo nagle, jak zaczęła, i nieporadnie kładzie się w tej samej pozycji, co przedtem. Leży na boku i oddycha szybko, płytko. Przymknięte oczy — Ida nie jest pewna, czy zwierzę widzi, czy jego oczy już są ślepe i co najwyżej śledzą tylko jakieś wewnętrzne psie obrazy. Wydaje jej się, że to niedobrze tak leżeć cały czas na jednym boku, ostrożnie więc porusza ciałem psa, słyszy jęk, prawie ludzki.

— Tylko chcę cię przewrócić, czy to aż tak boli? — szepcze.

Delikatnie stawia psa na nogi i powoli odwraca go na drugi bok; ciało poddaje się temu bez sprzeciwu, nie ma też reakcji, żadnej próby poprawienia pozycji, ułożenia się wygodniej. Głaska go po głowie i uszach, jego oko drga, powieka lekko unosi się i Ida wie, że suka dostrzegła ją.

Wraca do stołu i rozkłada przed sobą książkę telefoniczną, która od wczoraj tutaj leży, jakby przygotowali ją specjalnie dla niej. Będzie dzwonić jeszcze raz, najpierw na policję, potem do pomocy drogowej. Do pracy. Zadzwoni też do Mai, nagra się na sekretarkę. I zadzwoni do Ingrid. Powie im: wiecie, co mi się przydarzyło? Miałam wypadek. Wpadłam na drzewo, rozbiłam samochód. Bęc. Ha, ha, ha. Nic mi nie jest, no, czuję się najwyżej trochę oszołomiona i znalazłam pokój u jednych starszych ludzi, zostanę tu, póki wszystkiego nie załatwię, najwyżej do jutra. Są bardzo mili, mają fermę kur czy coś w tym rodzaju. Poza tym wszystko w porządku. Tra ta ta ta. Ida czuje nagły, miły przypływ euforycznej energii, jakby wreszcie ocknęła się z męczącego półsnu.

Właśnie zajeżdża samochód, ten diesel, niebieski van ich wnuka. Trzaskają drzwi. Ida słyszy głosy całej trójki. Wygląda przez okno i widzi Adriana — otwiera tylne drzwi półciężarówki i wyciąga z niej skrzynki, duże, z dziurkami w pokrywie, takie, w jakich przewozi się kury. Ostrożnie wnoszą jedną po drugiej do stodoły. Potem giną w środku.

Mgła zniknęła, świeci miękkie, szczodre i wielkoduszne słońce. Na rynnach potworzyły się już małe sople, które lśnią jak noże. Będzie

ciepło, może wiosna wystartuje na dobre. Ida podchodzi do drugiego okna. Góra wyrasta z szarych zarośli, pogniecionych śniegiem, wznosi się symetrycznie, doskonale; jest prawie naga, ma tylko białe, nakrapiane kreski brzózek. Jej kształt przecinają ukośnie dwie proste linie drogi, która wspina się do szczytu po spirali. Tak, teraz widać, że to jest hałda, po prawej stronie wystają jeszcze metalowe części dawnej linii, po której wjeżdżały wózki i usypywały górę z tego, co wydobyto z ziemi, a co okazało się nieprzydatne. Ta góra musi więc mieć swój odpowiednik pod ziemią, swoje przeciwieństwo, górę ujemną, pustą przestrzeń. Ida wyobraża sobie ją jako taki sam kształt stożka oplecionego spiralną drogą — tylko tam, pod ziemią, szczyt jego skierowany jest w dół i droga schodzi, a nie wspina się do góry. Ta podziemna antygóra zbudowana jest z pustki i celuje ku środkowi Ziemi, wisi uczepiona od spodu jej powierzchni jak kropla nicości, jak stalagmit pustki. Ten, kto się wspina po zboczach hałdy, jednocześnie schodzi w dół, jest w dwóch osobach. Ten cielesny idzie zboczem pozytywu w górę, ku niebu; ten bezcielesny, zbudowany z pustki, posuwa się w dół, ku środkowi Ziemi.

5.

Automatycznie wykręca warszawski numer — kierunkowy dwadzieścia dwa i potem siedem cyfr, które zna na pamięć. Długi sygnał. Nikt nie odpowiada. Widzi długopisy, pakiet folderów, przewodnik po Wiedniu w języku niemieckim — przeglądała go przed wyjazdem, i nagle rozumie ciszę po tamtej stronie — zadzwoniła do siebie samej. Odkłada słuchawkę, ale uporczywy drażniący dźwięk nie milknie — czajnik. Ściąga go z rozgrzanego blatu kuchni. Robi się nagle cicho. Nie słychać żadnych dźwięków z podwórka, jakby biała mgła weszła do wewnątrz, zamortyzowała wszystkie dźwięki, rozmyła kontury przedmiotów — biała, miękka wata. Ida nachyla się nad suką, bo nagle domyśla się, że ona umarła i stąd ta cisza. Ale nie, oddech zwierzęcia jest słaby, lecz słyszalny, więc uderza łyżeczką o krawędź metalowego zlewu, domagając się zwykłego hałasu. Zgrzytliwy odgłos, jak zwykle, ale w tej ciszy wydaje się jej teatralny, jakby specjalnie spreparowany. Powietrze jest pełne szczegółów, nawet cisza jest dźwiękiem: im bardziej zwraca się na nią uwagę, tym bardziej wydaje się skomplikowana, złożona z wibracji, które dotykają się i znoszą wzajemnie. Jeszcze raz, bum, bum, dźwięk jest głęboki jak dzwon, którego odgłos rozpada się na miliony drobnych zgrzytów.

Gdy była mała i gdy jeździła z ojcem pociągiem do miasta po przędzę na jego kilimy, siadywała zawsze przy oknie i udawała, że jej wzrok jest czymś materialnym — powiedzmy, jak pędzel, jak miękki wysięgnik, który może dotknąć każdą widzianą rzecz i nawet zostawić na niej swój ślad — rodzaj znaku czy pieczęci, żeby oznaczyć raz na zawsze to, co się zobaczyło.

Takie patrzenie jest ciężką pracą, trzeba być przecież świadomym każdego detalu, uwaga musi być skoncentrowana i napięta jak struna, i na dodatek trzeba to poświadczyć słowem, najkrótszym z możliwych, ale i najmocniejszym: trzeba powiedzieć „tak” wszystkiemu, co się widzi. Tak — słup telegraficzny, tak — biały szlaban przy przejeździe i dwa

samochody, tak, tak, domek dróżnika, czerwona czapka z pomponem, pies, rów, samotne drzewo w polu, stara opona, wszystkiemu tak. Nie można oszukiwać. Jeżeli przerwie się niespodziewanie ten proces, świat na zewnątrz, krajobraz widziany z pociągu, może się popsuć i zawalić. To jest bardzo odpowiedzialne. Inni ludzie, oczywiście, nawet się nie domyślają, że mała dziewczynka siedząca przy oknie utrzymuje porządek świata. Myślą, że porządek jest i już, jest dany przez Boga, i nic mu nie grozi. I nigdy nie przyszłoby im do głowy, że zawdzięczają swój spokój temu dziecku.

Ciężko pracowała w czasie każdej podróży, sunąc pociągiem najpierw przez górskie doliny, a potem przez pustą, płaską, monotonną równinę — pieczętowała każde drzewo, każdy dom, mostek, kępę trzcin, opuszczone ruiny i odległą wieżę ciśnień, wszystko. Znaczyła i umieszczała w swojej pamięci, szepcząc przy tym „tak, tak, tak", jakby była zegarkiem i szczegółami musiała odmierzać czas świata. Ojciec spoglądał na nią trochę zdziwiony, bo widział ruch jej warg, ale nigdy nie zapytał jej, co robi.

Kapitulowała na dworcu we Wrocławiu. Ten bowiem był już szaleństwem szczegółów, tutaj jej „tak" nie miało szans. „Tak", świata jest za dużo. Potem, gdy próbowała sobie przypomnieć, co tam widziała, pamiętała tylko gołębie i ich tupot na przeszklonym dachu dworca.

Jej dorosła praca, jej zawód polega na patrzeniu i pokazywaniu innym. I oczywiście na mówieniu, bo mówienie pieczętuje wszystko, co zobaczone.

Słowa — układa je sobie w głowie każdego ranka, zaokrągla, poleruje. Mimowolnie uczy się ich na pamięć. Są jak wirus komputerowy, wnikają do mózgu i replikują się, przyczepiając do innych słów, atakując jako nachalne piosenki, wierszyki. Ale zdania muszą być bez zarzutu. Pracuje w ten sposób, że mówi do innych i wyjaśnia im to, na co patrzą. Gdyby nie ona, nie rozumieliby tego, co widzą, przechodziliby nad wszystkim nieuważni, byliby zahaczeni gdzieś w sobie, bo przecież tam, wewnątrz nich, wszystko się zaczyna i wszystko kończy. Oczywiście, nie mówi w swoim imieniu, nie opowiada od siebie, to byłoby za trudne; wyraża raczej wiedzę zebraną dla innych w książkach, których nie przeczytają, w pracach, na które się nigdy nie natkną. Jest pośrednikiem. Mówi w imieniu czegoś wielkiego, rozrośniętego, zbiorowego, co właściwie nie

ma granic. Stara się formułować proste oznajmujące zdanie, nawet wtedy, gdy powinna powiedzieć coś, co musi pozostać niejasne i nie rozstrzygnięte. Czasami, gdy jest zmęczona i widzi, że i jej słuchacze zaczynają rozpraszać się jak stado kurcząt, dekoncentrować i marudzić o jedzeniu i o sjeście — wtedy zmyśla. Wtedy udaje jej się utrzymać ich uwagę jeszcze przez jakiś czas. Zdania, które lepi w głowie, są jak kulki miękkiego ciasta. Zdania, które turla w swojej głowie, nie należą do niej, produkuje je na zamówienie.

Jest przewodnikiem wycieczek. Pracuje dla wielkiego biura podróży o nazwie „Serce Europy". „The Heart of Europe", jak kto woli. Nazwa jest pretensjonalna i na wyrost, jak wiele rzeczy w tym mieście. Biuro znajduje się w wieżowcu, który nosi dumna nazwę w jakimś nieokreślonym języku — „Saski Gardens". Nikt nie wie dokładnie, gdzie miałoby być serce Europy, jeszcze tego nie ustalono, specjalnością biura zaś jest pięć miast: Warszawa, Kraków, Praga, Berlin, Wiedeń — wielki zachwiany pięciokąt, kabalistyczna pieczątka na mapie. „Serce Europy" robi wycieczki objazdowe i wtedy tych pięć miast staje się dawką nie do przełknięcia, klientom mylą się katedry, muzea i stare miasta, zapominają nazwy rzek. Dzięki Bogu, że wymyślono gadżety — dzięki kubkowi z twarzą Kafki i koszulce z Checkpoint Charlie nie pomyli im się Praga z Berlinem i prawidłowo przyporządkują kasetę z walcem wiedeńskim do Wiednia, a klezmerów do Krakowa.

Te objazdowe wycieczki do pięciu miast trwają osiem dni i reklamowane są na barwnych folderach, których plik leży na biurku w mieszkaniu Idy. Czerwonymi jaskrawymi literami napisano na nich slogan firmy: „Posłuchaj, jak bije serce Europy!".

Wyjeżdżają z Warszawy rano pierwszego dnia i na obiad docierają do Krakowa. Następnego dnia wieczorem wyruszają do Wiednia, czwartego dnia zostawiają Wiedeń za sobą i suną do Pragi, dwa dni później są w Berlinie i po wszystkim, prostą drogą wracają do Warszawy. Właścicielowi firmy udało się namówić do współpracy biura podróży z odwiedzanych miast i teraz podróż może zacząć się w dowolnym mieście, zawsze jednak zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i w ten sposób interes kręci się dosłownie i w przenośni.

Zawsze wygląda to tak samo — ciągną za nią. Kobiety są bardziej energiczne i dziarskie, od rana gotowe do podboju świata. W drodze do muzeum oglądają wystawy zamkniętych sklepów. Mężczyźni, oszołomieni, najchętniej pewnie zostaliby w hotelu i sprawdzili liczbę kanałów w hotelowej telewizji. Nie udaje im się przejść razem przez zielone światła na ulicy. Trzeba czekać na resztę. Ida trzyma w górze zieloną parasolkę, oni zbiegają się do niej jak kurczęta. Prowadź ich, zielona parasolko.

Wielkie dwa budynki muzeów ustawione naprzeciwko siebie, jak dwoje głuchych ludzi, którzy muszą wpatrywać się nawzajem we własne usta. Jedno muzeum natury, drugie kultury. W jednym szkielet dinozaura i zbiory tysięcy, milionów muszli wygrzebanych z plaż na całym świecie. Minerały dobyte z głębi ziemi, ułożone w gablotach i opisane mikroskopijnym pismem. Niektóre z nich uznane za cenne, szlachetne — obdarzone zwartymi, konkretnymi imionami: nefryt, malachit, selenit. Inne, przeciwnie — ciekawostka, nie wzięłoby się za nie wielkich pieniędzy, zaledwie ilustrują jakiś błahy fakt: oto liść paproci odbił się w kamieniu, źdźbło trawy utonęło w bursztynie. Sala wypchanych zwierząt. Oczy ze szkła odbijające prostokąty okien, jakby te puste trupy wciąż jeszcze marzyły o ucieczce. Ich sierść jest bez połysku, gdzieniegdzie widać wyleniałe miejsca albo i szwy, którymi połączono części wypatroszonych ciał. Starannie rozłożone motyle skrzydła, do których maleńki odwłok wydaje się tylko kłopotliwym dodatkiem, miejsce na wbitą szpilkę. Mamucie kły. Łapa goryla. Tasiemiec w formalinie. Skóra pytona. Węgiel i mika.

Drugie muzeum obwiązano wielkim, niebieskim bannerem — nowa wystawa. Większość zwiedzających nudzi natura i wolą kulturę. Nie chcą zasuszonych, wypchanych, spreparowanych strzępków natury. Od czego jest telewizja — tam można zobaczyć to wszystko lepiej, na żywo. Nefryty, malachity na wystawach jubilera. Zwierzęta w zoo. Muszle można kupić w poręcznych pakiecikach, które sprzedają teraz kwiaciarnie i sklepy z wyposażeniem łazienek.

Wchodzą po szerokich schodach i chwilę na nią czekają — musi załatwić grupowy bilet. Chyba są jednymi z pierwszych, budynek jest wciąż pusty, ich kroki niosą się gdzieś po piętrach pełnych obrazów. Z muzealnej restauracji dochodzi zapach świeżo parzonej kawy.

Tego, co chce im pokazać, nie można obejrzeć od razu. Trzeba przejść przez sale pełne hieroglifów i sarkofagów, kamieni nagrobnych. Potem obrazy na deskach, kolorowe i śliskie — wzrok przemyka po nich, niezdolny do utrzymania uwagi. Matki Boskie są zawsze takie same — łagodne i gładkie, brzydkie lub piękne, ale pozbawione nóg. Święte popiersia wyrastają z fałdów materii. Dzieciątka wydają się niepodobne do współczesnych niemowląt.

Nie ma sposobu, żeby zobaczyć wszystko, na to już ich przygotowała. Można wybrać trzy, cztery obrazy. Jest ich za dużo, za dużo. Wszystkiego jest wiele i wszystko dzieje się za szybko. Kroczą w skupieniu i Ida czuje, że już wzbiera w nich odwieczna potrzeba, żeby wyrobić sobie choć skrawek własnego zdania, bo patrzenie bez oceny jest przecież tylko ćwiczeniem wzroku, jak u okulisty, kiedy trzeba rozpoznać litery. Ich twarze błagają o to, żeby jakoś delikatnie podsunąć im skrawek sądu. Bez tego są niepewni i bezradni.

Ida włącza swoje wewnętrzne nagranie dopiero w sali z Breughlami. Ściąga grupę do siebie ruchem parasolki — dzięki niej koncentrują wreszcie rozbiegany wzrok. Mówi im, jak mają widzieć. W powietrzu zakreśla linie kompozycji, palcem wskazuje ukryte symetrie. Skupiają się, jakby zbliżali się do finału trudnego zadania matematycznego, kiedy właściwie już się wie, ale jeszcze nie można wyartykułować wyniku. Już są tuż-tuż, niektórzy zbliżają twarz do płótna, wierząc, że w niewidocznej fakturze farb może kryć się ostatnia wskazówka potrzebna do rozwiązania. Odchodzą na kilka metrów i wracają.

— Czy widzicie coś dziwnego? — pyta Ida i zawiesza głos.

Skanują obraz z uwagą. Coś widzą, coś, czego nie znają: czapka, drewniana chochla, obcisłe skarpety, wszystko tam jest dziwne, świat uproszczony, ale pełen szczegółów, trochę jak w telewizji, ale nie są pewni,

czy właśnie o to jej chodzi. Kręcą powoli głową, patrzą na nią z oczekiwaniem.

— Tu jest dodatkowa noga — mówi Ida spokojnie i wskazuje ją palcem.

Stopa. Och, tak, rzeczywiście. Uśmiechają się, jakby przyłapali nauczyciela na sikaniu do zlewu. Tak, przeliczają postacie, z których każda powinna mieć przecież dwie nogi, a tu jest dodatkowa stopa wystająca spod stołu, stopa w czarnej pończosze, niewinna, zagubiona, absurdalna. Uśmiechają się z ulgą: więc o to chodziło. To proste. Rozwiązaliśmy trudne zadanie — chodziło o żart czy pomyłkę. Mistrz przeliczył się ze stopami, zapomniał się, ludzki mistrz, swój chłop.

I teraz prowadzi ich w boczny korytarzyk — idą za nią trochę pewnie zawiedzeni, że nie przystają przed wszystkimi mijanymi płótnami, ale ufają jej przecież. „Gdybym mogła zabrać z tego muzeum tylko jeden obraz, to wzięłabym ten", mówi Ida i wskazuje parasolką Vermeera. Ustawiają się kręgiem i badawczo podążają za szpicem parasola. Ostatnim razem, innej wycieczce, powiedziała to samo o Velázquezie, a jeszcze przedtem o małej martwej naturze przekłutej rybim wzrokiem wśród krabów, homarów.

Nie tylko martwa natura jest martwa, wszystko tu jest martwe, zatrzymane w jakimś momencie, przyszpilone, wypreparowane. Właściciele twarzy na portretach wsiąknęli w ziemię, rozpłynęli się, nie ma już drzew przy drodze ani tego małego pieska łypiącego ciekawie z rogu obrazu. Zetlały jedwabne królewskie materie, przepadły drobne dłonie, zsunęły się z nich pierścionki, przestały istnieć chłodne, pachnące kwiaty piwonii, nie pozostał po nich ślad, zmieniły się w grudki kurzu, woda wyparowała, kolor rozpadł się na związki żelaza, tlenki, zapach poszybował w górę w postaci długich ogoniastych cząsteczek przechwyconych potem przez krople wody, które utworzyły strumień, i woda przemieniła się w kilka pokoleń owadów, zjadanych przez ryby, a ryby trafiły do stawów hodowlanych i stamtąd do szklarni holenderskich jako nawóz, gdzie przeszły w truskawki czy w brzoskwinie, i dostały się do lodów, które jadła kiedyś z córką, i poszła spać nieświadoma, że nosi w sobie cząstki zapachu uwiecznionych na obrazie piwonii.

I teraz widać, że ten obraz jest tylko płochą wirtuozerią, popisową umiejętnością ludzkiej ręki, która potrafi odtworzyć miraż, powielić

słodką, różową iluzję i przekonać widza, wędrującego po świecie autokarami łachudrę, że patrzy nie na to, na co powinien, i przeżywa to, co najmniej ważne — formę, kształt, pozór. I niczego się nie uczy, nie odkrywa oczywistej prawdy, od której powinna się zaczynać pierwsza lekcja chemii, biologii, fizyki: fizycznie składamy się z tego, co umarło, z tamtych zaprzeszłych światów, jesteśmy pięknym skutkiem rozpadu.

— Patrzcie — mówi Ida — patrzcie, jak delikatna jest ta linia, jakby mgiełka, światło, które roztapia krawędzie, wydaje się, że dzięki niej obraz jest wielowymiarowy.

Już widzą to, o czym mówi, czuje to. Ich wzrok szeleści, słychać, jak patrzą, jak rozpoznają najmniejsze szczegóły, jak zapatrzają się nagle w jej słowa. Hipnotycznie. Ida hipnotyzuje. Gdyby mogli mieć jeden obraz z tego muzeum, tak, chcieliby ten właśnie. Potem wykupują z muzealnego sklepu wszystkie widokówki z Vermeerem.

Siedzą teraz przy stole w kuchni i jedzą wczesną kolację: Olga, Stefan, Adrian i Ida. Ida zwija plastry żółtego sera w rulony i kroi je w cienkie paseczki, podnosi do ust i odkłada.

— To widziała pani kawał świata. Też tak chciałbym — mówi Adrian z podziwem.

Przed chwilą fachowo zrobił zastrzyk psu, nie trwało to nawet sekundy.

— Taka praca — mówi Ida — nic z tego jeżdżenia nie wynika. Nie ma nic nowego.

— Moja praca to też powtarzanie tego samego. Dni są takie same. Dobrze, że istnieją jeszcze pory roku — mówi Adrian.

— A pani, jak się u nas znalazła? — pyta nagle Olga.

Ida jest zaskoczona, ale Adrian pochyla się ku babce i mówi:

— Nie pamiętasz, babciu, pani jest z Warszawy, miała wypadek.

— Ach, tak — przypomina sobie Olga. — Przepraszam.

Jedzą obgotowane we wrzątku uszka z barszczem. Ida chce wiedzieć, co hodują, jakie zwierzęta. Ale Adrian wybucha śmiechem na to pytanie i patrzy porozumiewawczo na Stefana.

— Nie, wcale nie hodujemy, wręcz przeciwnie.

Mówi, że ludzie często chcą usypiać swoje zwierzęta niepotrzebnie, bo choroba jeszcze potrwa i one mają szansę pożyć dłużej. Ale ludzie są niecierpliwi. Nawet jeżeli godzą się ze śmiercią, to jednak nie podoba im się samo umieranie. A jemu jest żal usypiać te chore koty i psy, i nawet konie, skoro ich śmierć będzie łagodna i lekka. Jakoś mu żal. Więc bierze od ludzi te zwierzęta na umieranie, ale ponieważ u siebie w lecznicy nie ma wiele miejsca, poprosił dziadków, którzy są już na emeryturze i mają dużo czasu, żeby mu pomogli. No i pomagają. Więc im tu przywozi takie eksponaty. Mówi „eksponaty" i teraz uśmiecha się do Olgi.

— Jest pan przeciwnikiem eutanazji — stwierdza Ida rzeczowo.

— Ach, nie, nie jestem. Przecież je usypiam. Ale czasem mi żal i jeżeli można przewieźć, to przywożę. Zresztą ludzie tak wolą, sami proszą, żeby zabrać — żywe czy martwe. Co zrobić z chorym koniem i potem z ciałem? To kłopot. A tu jest taka kompleksowa usługa.

— A wy, co robicie z tym kłopotem?

— Zakopujemy za ogrodem, tuż przy hałdach — odzywa się Stefan z pełnymi ustami.

— Chce pani zobaczyć? — pyta Adrian.

Nie, Ida nie chce. Mówi, że już doszła do siebie i musi ruszać. I że dziękuje.

Gdyby nie mieli nic przeciwko temu, zostałaby jeszcze do jutra i rano zamówi taksówkę, żeby podwiozła ją do miasta.

— Numer policji nie odpowiadał. Czy to możliwe? Jak pan myśli? Może źle wykręciłam?

Po kolacji Ida pomaga Adrianowi wynieść chorą sukę na śnieg przed domem. Powtarza się to samo co dziś rano — suka chwieje się na nogach i długo stoi bez ruchu, zanim zdecyduje się wypuścić ciemną strużkę moczu. Potem jej tylne nogi uginają się i siada na śniegu, jakby chciała się położyć. Adrian bierze ją na ręce.

— Już o to pytałam pana babcię: dlaczego jej nie uśpicie? Dlaczego ma się tak męczyć, skoro sprawa jest przesądzona?

Adrian układa ją sobie jak dziecko na ramieniu:

— Potrzeba czasu, żeby umrzeć.

— To wasz pies?

— Nie, zostawił mi ją właściciel, gdy okazało się, że sprawa jest beznadziejna. Ale sam powiedziałem mu, że to potrwa dwa, trzy dni, a trwa prawie miesiąc. Widzi pani?

— Ale cierpi bez sensu. Jaki jest sens tego cierpienia, skoro i tak umrze?

— Dostaje leki przeciwbólowe. — Adrian wchodzi w jasne drzwi domu.

Ida czuje się poirytowana. Każde z nich powtarza swoje; nie rozumieją się. Mówią jak magnetofony. Wypowiedziane zdania nie popychają rozmowy do przodu.

— Nie wydaje się to panu okrutne? Że tak długo to trwa?

— Babcia mówi, że one wcale nie zauważają śmierci, wie pani? Zwierzęta. Nie wiedzą, że umierają ani że się urodziły — Adrian ostrożnie kładzie sukę w kojcu. — Ale ja myślę, że to nieprawda.

Przed wyjściem zostawia na stole fiolki i lekarstwa, dużo tego. Potem żegna się i wychodzi. Za chwilę słychać z podwórka rzężenie silnika. Ida pomaga Oldze sprzątać ze stołu. Olga opowiada rozwlekłą historię o kobiecie, która kilka lat była w ciąży. Że nosiła ją z przyjemnością i podobno nie chciała urodzić. I płód w jej ciele też był zadowolony, osiągnął swoje wymiary i przestał rosnąć.

Ida łapie pogodne spojrzenie Stefana, które znaczy: „starość nie radość".

Idzie na górę i siada na brzegu zaścielonego łóżka. Jest jej nieprzyjemnie, że stara Olga musiała je zaścielić, że ruszała tę pościel. Przypomina jej się uporczywa scena z jakiejś wycieczki, nie chce o tym myśleć. Ogrody z fontannami. Gdy kładzie się spać, wie już, że ta para staruszków w jakiś sposób przypomina jej rodziców. Jutro, obiecuje sobie, jutro ruszy stąd dalej, zadzwoni na policję i wszystko załatwi z samochodem. Nie pojedzie już do domu. Minęły dwa albo trzy dni od wypadku, musi wracać do Warszawy. Jutro — albo już wczoraj — miała mieć badania i na pewno martwią się o nią w pracy. Zawija się w kołdrę jak w kokon, bo w pokoju jest zimno. Drobny ruch wyzwala obraz miasta — też zziębniętego i obcego. Obraz jest jak uderzenie; nie chce tam wracać.

Miasto jest szorstkie i nieprzyjazne, jego ulice oszukują — nie wiodą do żadnego centrum, ale wyprowadzają na wietrzne, nie kończące się, chłodne peryferia. Przecina je melancholijna rzeka, od której ono odwraca się ze wstydem. Niska zabudowa kryje się za płaszczyznami ordynarnych reklam wzniesionych na metalowych rusztowaniach. Podkreślają je ogromne lodowe prostopadłościany wieżowców, pojedynczo wrzucone w przestrzeń miasta. Parki, wciśnięte między szare domy, przypominają pustawe skwery. Szerokimi ulicami zawsze wieje lodowaty wiatr, nawet latem hula tu chłodne, rozpędzone na nizinach powietrze, to znak, że miasto otwiera nieskończone, olbrzymie równiny Wschodu. Ludzie nie patrzą na siebie, udają, że się nie widzą. Poszturchują się w tramwajach i odwracają potem wzrok, wiecznie źli, zziębnięci, spieszący do jakichś domów na obrzeżach. Tłumiona agresja spowalnia ich ruchy, tak że na pierwszy rzut oka wydają się rozluźnieni i spokojni — bardzo zwodnicza iluzja. Bo w gruncie rzeczy skradają się, zawsze gotowi do walki.

To jest miasto gniewu — czuć go tutaj wszędzie, jest jak dym, który wdziera się w każdą szczelinę i kąsa oczy. Gniew tylko lekko przykryty kurzem, przylakierowany, przypudrowany; gniew, który wzbiera gdzieś na przedmieściach i podchodzi pod miasto każdego ranka z setkami tysięcy rozeźlonych ludzi sunących do pracy. Ich samochody wpadają z impetem w nowe arterie komunikacyjne i nie zwalniają, wjeżdżając w drobne uliczki. Przechodnie pryskają przed nimi, jakby byli wielkimi kroplami, miękkimi pojemnikami na krew. Poszturchują się w drodze do wind, zajmują miejsca w tych ruchomych kaplicach i podnoszą wzrok do egoistycznej modlitwy — Boże spraw, bym i dziś przetrwał, daj mi siłę, żebym umiał się bronić.

Powinna była już dawno stąd wyjechać, nawet gdyby w nieskończoność miała się kręcić z „Sercem Europy" według wskazówek zegara.

Kilka lat temu, na ostatnie święta z matką kupiła jej pierścionek. Czy to dobry pomysł kupować własnej starej matce pierścionek? Był złoty, wąski, z turkusem. Matka lubiła turkusy — to kamień dzieci. W gruncie rzeczy

nigdy nie przestała być dziewczynką. Ida pamięta, jak zdała sobie sprawę, mając z piętnaście lat, że oto przerosła własną matkę, przegoniła ją i odtąd według niepisanej umowy to ona teraz staje się matką własnej matki. Ale pierścionek zsuwa się z palców. Matka przymierza go zadowolona, siedząc na łóżku, i pierścionek pasuje tylko na palec wskazujący. Wygląda to niepoważnie, jak żart. Kręci palcem, wszystko, co robi, jest jakimś nieprzyjemnym, ironicznym wygłupem. Pierścionek traci całą wartość, wymyka się wzniosłej idei, żeby stać się symbolem pojednania, zaręczyn z nią na koniec, z własną matką.

Zawsze mieszkała daleko, mogła pojechać do niej tylko nocnym pociągiem, dziwnym, fałszywym rodzajem podróży, który nie daje dowodów na to, że prawdziwie przemieszcza się w przestrzeni. Wsiadała na Dworcu Centralnym do nocnego pociągu, wypijała piwo, żeby móc usnąć w kuszetce, i zapadała w lepki, niespokojny, rozkołysany sen. U końca podróży zawsze świtało i pociąg wjeżdżał wolno w inny, pusty, górzysty świat, pozbawiony prawdziwego miejskiego horyzontu, który został stworzony ludzka ręką, na miarę człowieka. Ten — był nieludzki: wielki, otwarty, niedookreślony. Żeby z dworca w miasteczku dojechać na wieś, trzeba było brać taksówkę, zapłacić za nią majątek, a potem długo jeszcze iść pod górę wąską ścieżką. Dlatego wszystkie prezenty musiały być małe i lekkie.

Całowały się na powitanie jak sąsiadki — muskały się policzkami. Matka cieszyła się z czekoladek i drobnych kosmetyków. Potem piły kawę i matka opowiadała jej plotki ze wsi. Zawsze złośliwa i ironiczna. Mówiła po swojemu, myląc słowa polskie i ukraińskie. Kiedyś Ida nie mogła tego znieść, teraz przyzwyczaiła się — „właściwość jej matki" to tak samo jak jej drobne ciało, jak jej nerwowe ruchy, jak jej chichot.

Już po wszystkim, po tych zamarzniętych miesiącach, po pogrzebie ojca, oświadczyła, że się natychmiast wyprowadzi.

— Dokąd, mamo? — zapytała ją.

— Do ciebie.

Ale nie ruszyła się z domu. Powiedziała, żeby dać jej spokój. Położyła się bokiem na łóżku z ręką pod głową, po swojej stronie; druga była gładko zaścielona zimną, śliską kapą z frędzlami. Powiedziała też: „Więził mnie na tej górze tyle lat, staruch", coś w tym rodzaju. Idzie zrobiło się przykro,

tak się nie mówi o zmarłych, zawsze tylko dobrze. Nie, nic jej nie jest, ale tak ma ochotę leżeć. Nie zatrzymywała Idy. Nie zapytała ani o Maję, ani o jej małego synka, nie spojrzała na pieniądze, które córka położyła dla niej na stole w kopercie, z ubezpieczenia ojca i trochę własnych, od córki dla matki. Ida nie wiedziała, co ma zrobić. Chodziła po domu rodziców i widziała, że śmierć rozgościła się tam na dobre. Była jak mróz, jak lepki ciepławy szron, który pokrył mikroskopijną warstewką każdy przedmiot, wniknął w fugi między kafelkami, poluzował zawiasy drzwi, odtąd skarżyły się przy każdym ruchu. Ida wzięła stary olej, już popsuty, jak większość zapasów żywności, i olejarką od maszyny do szycia powolnymi kroplami nasączała zawiasy. Niewiele pomogło. Urwała się klamka od drzwi wejściowych, przepalił się kabel lampki przy łóżku, uschły pelargonie. W fajansowych pojemnikach na kaszę i mąkę zalęgły się przędziorki, w bieliźniarce znalazła gniazdo myszy. Po północnej stronie, tam gdzie ściana wchodziła w zbocze, zakwitł wielki, brunatny grzyb — przypominał twarz Chrystusa, która ma ukazać się ludziom tuż przed końcem świata. Na początku myślała, że wszystkiemu da się zaradzić — woda z mydłem, szczotka (nawet nie mieli odkurzacza), śrubokręt i dobry proszek do czyszczenia. Była wiosna, robiło się coraz cieplej. Ale potem okazało się, że to coś więcej, coś innego — dom umierał, stracił odporność i poddał się tym wszystkim małym i dużym plagom, jak człowiek, który nosił w sobie śmiertelną chorobę i nagle zrozumiał, że nie ma już o co walczyć.

Ida nie śmiała tak po prostu wyjechać, więc najpierw sprzątała cały dzień, a potem po prostu siedziała na ławeczce przed domem. Wieczorami, gdy robiło się zimno, przenosiła się do kuchni i paliła papierosy. A matka kładła się na łóżku i leżała bez słowa. Więc Ida wyjechała.

6.

Nawet się nie rozbiera, nie będzie mogła spać. Stoi na środku ciemnego, chłodnego pokoju, w którym pachnie jabłczaną wilgocią. Męczy ją uczucie, że coś przeoczyła, że stało się coś strasznego i ważnego, o czym ona nie może pomyśleć. Wszystkie inne myśli są gotowe do pomyślenia, spadają jak dojrzałe śliwki, plum, plum. Tylko ta jedna nie da się złapać. Ma kanciasty kształt, powierzchnię szorstką, czy nawet kolczastą. Jest gorąca, nie można jej utrzymać. Pali. Coś się wydarzyło, ale Ida nie wie dokładnie co i kiedy. Rozciąga przed sobą zdarzenia jak zasypaną śniegiem szosę, szuka punktów orientacji. Musi ułożyć wszystko po kolei, wtedy się uspokoi. Słyszy z dołu głosy tamtych — to już było: szuranie nogami, kroki na drewnianych schodach, skrzypienie drzwi, spuszczana woda w łazience, jęk pompy, kiedy włącza się niespodziewanie.

Nigdy nie było tak, jak oczekiwała, że będzie.

— to jest chyba tajemnica życia, myśli teraz. Zawsze musiało się pojawić coś zaskakującego, nieprzewidywalnego. To w istocie były dwa życia. Jedno — wyobrażenie tego, co ma się zdarzyć, jak ma być, wyobrażenie wcale nie fantastyczne, nie wyssane z palca, ale wynik długiej i ciężkiej nauki: studiowanie podręczników, słuchanie opowieści ludzi, oglądanie filmów i dzienników. Tak powinno być, tak dzieje się u innych ludzi, a ponieważ niczym nie różni się od nich, ta wersja powinna dotyczyć także i mnie. Jest to wizja już zawczasu przeżyta i zinterpretowana, zrozumiana i włączona do archiwum tego, co nigdy się nie zdarzyło. To wielki magazyn, ciągnące się w nieskończoność hale, a każda z nich ma szyld: „Tak powinno było być". Tu życie układa się w sensowny ciąg, mogłoby być podręcznikiem dla innych, tych niezaawansowanych. I można by było prowadzić dyskusje — wszyscy by się rozumieli, słowa znaczyłyby to samo, byłyby czyny dobre i złe, sprzyjające i niesprzyjające okoliczności. Wszystkie, nawet drobne zdarzenia miałyby tutaj swoją klasę, byłyby ważne, brałyby udział

w logicznych ciągach przyczyn i skutków, budziłyby zaufanie i zachwyt — szklane, śliskie kulki ze wzorem w środku. Byłby tu studencki ślub z Nikolinem — skromny i podniosły; byłaby chwila, gdy przynoszą jej Maję do karmienia pierwszy raz; albo gdy rodzice przyjeżdżają do niej na studia, czekają w holu w akademiku, prowincjonalni, niepewni, siwowłosi; Maja je kakaowe ciasto, ma umorusaną buzię; długopis Nikolina zostawia na kartce papieru drobny, prawie nieczytelny wzorek układający się w zdanie o porażającej prawdzie.

Ale obok są też te inne pamięci, inne magazyny — to, co naprawdę się zdarzyło, to, co przekroczyło cieniutką błonę potencji, co można by zapisać kamerą na taśmie jako dowód. Dowód czego? Ida nie wie. Są to zdarzenia pozornie podobne do tamtych, niemal bliźniacze, choć czasami — to prawda — niektóre z nich jednak się różnią. Wszystkie mają mimo to wspólną cechę — uderza w nich bylejakość, jakby wyszły spod uszkodzonej sztancy.

Ślub jest chaotyczny, psuje się mikrofon i dlatego nie słyszą oboje, co mówi do nich odświętnie ubrany urzędnik; ślubna suknia, zbyt długa, zostaje przydepnięta obcasem i teraz falbana się pruje; ktoś się spóźnia i przepycha między rzędami; rosół podano zimny, autobusy rozpryskują kałuże i brudzą odświętne płaszcze gości. Niemowlę, zawinięte ciasno w niebieski kocyk, jest niemrawe i pomarszczone, nie pojawia się żadne zapowiadane wzruszenie. Ida odwija pospiesznie zawiniątko, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, a potem — mimo, że jest w porządku — płacze przez całą noc.

Im większy jest rozdźwięk między dwoma trakcjami wspomnień, tym bardziej są bolesne. Nic się nie udało do końca, wyszło inaczej i nie wiadomo dlaczego wyszło uszczerbione i byle jakie.

Matka umiera na wylew w warszawskim, zatłoczonym szpitalu, z tym pierścionkiem na wskazującym palcu. Ale pierścionek ginie. Na pogrzebie, mimo że Ida broni się przed tym, jak umie, przychodzi jej stare bolesne wspomnienie: ma dwanaście lat i widzi swoją matkę leżącą pod zwalistym ciałem obcego mężczyzny, wie od razu, że to ona, poznaje ją po pyszczkach podwiązek do pończoch, zanim jeszcze matka nie odwróci do niej twarzy i unicestwi ją zamknięciem oczu. Idzie wydaje się, że na zawsze.

W ciągu jednego roku traci oboje rodziców — też byle jak. Oczekiwała zawsze, że śmierć ma klasę, wszystko, co z nią związane, powinno być wzniosłe. Tymczasem okazuje się, że jest tak samo byle jaka jak życie.

Chowa matkę na strasznym, nagim cmentarzu, pospiesznie, bo są sierpniowe upały, a miasto puste. Ten cmentarz jest najbardziej obcym matce miejscem, jakie można sobie wyobrazić. Jej egzotyczne wschodnie imię przyciągnie na chwilę uwagę każdego przechodnia. I wzbudzi ironiczny uśmiech. Idzie niechcący udało się ich w końcu rozdzielić, ojca i matkę, nigdy nie pasowali do siebie.

Po odejściu matki czuje i ulgę, i winę. Te uczucia są tak ze sobą splątane i przerośnięte, że nie da się ich łatwo rozdzielić jak rodziców. Ale zna to dobrze. Tak samo się czuła, gdy wyjechała z domu do Wrocławia.

Z Wrocławia Ida pamięta tylko zimy. Dlaczego? Może jej pamięć jest biało-czarna, może nie lubi kolorów. Wrocław istnieje dla niej tylko zimą — zamarznięty bruk rynku, resztki śniegu utkwione między płytami chodników. Para oddechów poprzedzająca każdą twarz. Szkoła siedemnastoletniej Idy — poniemiecki budynek z ospowatym tynkiem, ślady kul z wojny. Stoi na pustym, rozległym placu, jakby go zbudowano nigdzie. W rzeczywistości kiedyś była tu ulica, tłoczna i gęsto zabudowana. Teraz tylko liceum plastyczne z bursą. Ida w przenicowanym beżowym płaszczu z fil à filu, płaszczu po matce, którego się wstydzi, a modne są krótkie sztuczne futerka i skajowe botki. W niedziele zostaje sama w bursie, bo nie chce wracać do domu. Czasem przyjeżdża do niej ojciec i wtedy zawsze dzień wcześniej przychodzi od niego telegram: „Będę w niedzielę rano". Z czarnej torby zasuwanej na zamek błyskawiczny wypakowuje na stół słoik miodu, swojską kiełbasę, dżem malinowy, twaróg i mówi, że matka upiekła jej ciasto. Ida odkłada je na bok, nie patrząc. Idą na mroźny spacer — Świdnicką do Rynku, a potem skręcają w stronę uniwersytetu i Odry. Ojciec opiera się o barierkę mostu i przygląda się kaczkom, które niezdarnie tupią po przybrzeżnym lodzie. Jedzą obiad w dworcowej jadłodajni, przy herbacie z cytryną Ida opowiada mu o swoich pracach. Czasem rozmawiają o kolorach przędzy, a czasem Ida ma na końcu języka coś zupełnie innego, ale wie, że ojciec ma swoją teorię na temat życia i nie warto z nią dyskutować. Że wszystko jest nauką, tylko tak można to potraktować, że każde doświadczenie i każde uczucie,

smutek, gniew, żal, każde niepowodzenie, nawet to światło dworcowej, ciemnej lampy wiszącej u sufitu, wszystko jest lekcją i ma nas czegoś nauczyć. I jeżeli się to zrozumie, życie stanie się łatwe jak przedszkole, a nawet przyjemne. Bardzo prosta filozofia życia: jesteśmy uczniami, przygotowujemy się do egzaminu. O czwartej ojciec ma pociąg powrotny. Macha jej przez okno — szczupły, pobrużdżony, w futrzanej furażerce, jaką noszą wszyscy mężczyźni w jego wieku.

Nie, nie tylko zima. Nagle stają jej przed oczami zamazane niepewne obrazy ogrodów Sępolna — idą z ojcem, przyglądając się z podziwem kwiatowym ogrodom przy ogromnych willach. Kwitną pomarańczowe smolinosy i fioletowe irysy, musi być więc maj — we Wrocławiu wszystko dojrzewa wcześniej niż gdzie indziej. Szukają właściwego numeru i w końcu trafiają do jakiejś przybudówki, gdzie ojciec w skupieniu ogląda przędzę. Jest to ostra i szorstka przędza dywanowa w ograniczonych barwach. Paleta ściśnięta nieprzyjemnie między brudną żółcią a brązem. Ojciec, rozczarowany, dotyka końcami palców wielkich szpul. Ida wie, czego by chciał — tego pomarańczu ogrodowych smolinosów, fioletu irysów, magenty, żółci, paryskiego błękitu. Ale bierze to, co dają, niepewnie. Waha się, wyciągając pieniądze ze zniszczonego portfelu (potem Ida kupiła mu pod choinkę nowy). Upychają ciężkie szpule w pustej torbie na zamek błyskawiczny, tej samej, w której przywozi jej jedzenie.

Do końca także, i kilkadziesiąt lat później, przysyła jej kartki na święta i krótkie listy. Jego pismo z roku na rok jest coraz bardziej nieporadne. Zaczyna zdania od myślników, jakby robił spis rzeczy, które wydarzyły się pod nieobecność córki. Ida lubi ten sposób porządkowania faktów, jest jej bliski. Ojciec pisze na przykład tak:

„Droga Ido,.

— u nas nic specjalnego się nie dzieje.

— Twoja matka skręciła nogę w kostce i miała ją w gipsie, ale już jej ten gips zdjęli.

— Zmarła Twoja nauczycielka polskiego, byliśmy na pogrzebie.

— Wyniosłem krosna na strych. Nie będę już tkał.

— Matka ma rację, nie ma zbytu na moje kilimy.

— Zdechł Baca; nie chcemy już innego psa".

I tak dalej. Z jego ostatniej kartki nie wynika, że jest bardzo chory.

Podchodzi do okna i widzi teraz górę: stromą i potężną, usypaną z lśniącego granitu, odlaną z wulkanicznej lawy. Niebo jest jasne, jakby jego czarna powierzchnia została wypolerowana. Odbija światło księżyca. Kolor śniegu staje się neonowy, fioletowo-szary.

Musi się stąd ruszyć, musi stąd wyjść, choć wszędzie jest zimno i nieprzyjemnie. Musi pozałatwiać te wszystkie drobne sprawy: klucze, telefony, lekarzy, pieniądze. Jutro.

Teraz wkłada płaszcz, który okazuje się nieprzyjemnie zimny i wilgotny. Stawia kołnierz i po cichu schodzi ze schodów. Biały pies badawczo przygląda się jej w cieniu i widać, że waha się, czy iść z nią, czy nie. Patrzy za siebie, jakby spodziewał się, że ktoś zawoła go z wnętrza domu, ale chyba brak reakcji uznaje za przyzwolenie, i obojętnie, jakby pełnił nudny obowiązek, rusza za nią przez podwórko w stronę góry.

Ida mija tory i ciąg brzydkich pustych budynków. Cienki lód na kałużach pęka pod jej butami, mróz jeszcze nie dokończył swojego nocnego dzieła. Z opuszczonego placu, który pełnił pewnie kiedyś rolę przeładunkowego — stoją tu puste, przerdzewiałe kontenery, zdezelowane wysięgniki — góra wygląda groźnie i stromo. Jej zbocza porastają małe, niepewne brzózki, nagie i cieniutkie, armia roślinnych dzieci, które odważyły się zaatakować zbocze, dziecinna krucjata. Na tej stromiźnie nawet śnieg nie może się utrzymać i odsłania szorstką, szarą, pooraną strumieniami deszczu powierzchnię, przeciętą skośnym stopniem nawijającym się ku szczytowi. To musi być droga, którą wjeżdżały kiedyś wózki. Oplata górę wokół dyskretną spiralą i prowadzi na szczyt, ukryty między koronami nagich drzewek.

— Idziemy — mówi Ida do psa.

Dróżka jest wąska, ale utwardzona. Nachylenie nie jest zbyt duże, więc wchodzi się łatwo. Idzie równomiernie, patrzy pod nogi, przyzwyczajona, że po lewej ręce ma zawsze zbocze, a po prawej wolną, otwartą przestrzeń. W dole widać tylko archipelagi świateł. Ida wspina się w szaroczarnych ciemnościach, ufna drodze, która ją prowadzi wciąż w górę, na szczyt tego

zikkuratu. Lecz co za sens ma wycieczka, kiedy nic nie widać, kiedy idzie się jakby wewnątrz ciemnej kuli, po spirali, zataczając wciąż te same kręgi? Woła psa, ale nawet jej głos rozchodzi się w tym ostrym, śnieżnym świetle skandowany, jakby z daleka — odbija się od czegoś i wraca.

Wyobraża sobie, że ktoś, kto schodziłby z góry, musiałby ją minąć na tej wąziutkiej drodze. Jest zaskoczona, że widzi matkę, taką, jaką zapamiętała, gdy odwiozła ją do szpitala — szczupła zgarbiona staruszka z krzywym ironicznym wyrazem twarzy, jakby musiała od lat tłumić śmiech. Ma na sobie płaszcz w pepitkę z futrzanym kołnierzem, odświętny, przekładany co roku woreczkami z lawendą. Na jej widok ogarnia Idę fala ciepła, tak jakby, macając w ciemności, dłonie natknęły się wreszcie na znajomy, bezpieczny kształt. Mówi: „mamo". Nie musi się z nią witać, wystarczy samo spojrzenie. Uruchamia się pierwotny, kosmiczny mechanizm — nakładają się na siebie dwa kontynenty, dwie ogromne płyty tektoniczne, dopasowują się do siebie wielkie kotliny i pasma górskie, morza i depresje. Przymierzają się do siebie koryta rzek. Pamięta to z bardzo dawna, z mglistego dzieciństwa, błoga świadomość bycia tym samym organizmem, znajomym, ciepłym, dobrym. Tak niewiele brakuje, ruch ku jedności jest pewny i oczywisty, za chwilę z nich dwóch powstanie jedno, wtedy wszystko się zatrzyma. Ale okazuje się, że nie, że dopasowanie nie jest dokładne. Nie pasują drobne rzeczy, i jest ich coraz więcej, aż w końcu trzeba się do tego przyznać — wszystko uwiera. Potem już ciśnie, potem boli. Odejść.

Biały pies przegania ten obraz jak smugę dymu, przybiega z góry, jakby sprawdzał, czy się nie zgubiła. Płaszcz w pepitkę Ida trzymała przez lata na wieszaku, w swoim pokoju. Do kieszeni wkładała torebki z lawendą, tak samo, jak to robiła ona. Potem, jednego dnia złożyła na pół i zawinęła w papier. Wrzuciła do pojemników na używaną odzież.

Krzywizna drogi robi się coraz bardziej wyraźna, to dobry znak — musi być blisko szczytu. Jaśnieje.

Wtedy widzi, że z góry, naprzeciw niej idzie Maja, tym swoim rozkołysanym krokiem, w dżinsach, które trzymają się na wystających kościach biodrowych i odsłaniają suchą, naciągniętą skórę wokół kropki pępka. Patrzy pod nogi, nie widzi jej. Och, Maja — Idzie rozkwita w brzuchu mięsisty pąk, zawsze tak ma, gdy po długim czasie widzi córkę.

Jest to delikatne drżenie, jeden ruch, jak przypomnienie, że jej ciało gościło drugie ciało, choćby niedługo, powiedzmy, że jedną setną część ludzkiego życia. Maja podnosi głowę i patrzy na nią odważnie, wyzywająco, ale Ida wie, widzi, jak bardzo jest drobna i zagubiona. Ma zmęczoną twarz, sińce pod oczami, pewnie znowu nie je. „Skąd się tu wzięłaś", powiedziałaby Maja. „Och, to długa historia, wszystko ci opowiem", odpowiedziałaby. „Dawno się nie widziałyśmy". „Dawno". „Kiedy wrócisz?" „Kiedy ty wrócisz" — odpowiada pytaniem na pytanie. „Miałaś co tydzień wysyłać kartki, a jedyna przyszła na święta". Maja podchodzi do niej i kładzie głowę na jej ramieniu. „Poczekaj tu na mnie, wejdę tylko na szczyt — mówi Ida — i zaraz wrócę, wtedy zejdziemy razem i wszystko ci opowiem". Maja wyciąga paczkę lekkich marlboro i kiwa głową, że poczeka.

Robi się nagle ciepło, Ida rozpina płaszcz. Droga wyraźnie się rozjaśnia, to od rozgwieżdżonego nieba. Patrzy w bliziutkie niebo — Warkocz Bereniki jest w centralnym miejscu, tuż nad jej głową. Nawet nie wie, kiedy wychodzi na płaski szczyt, nie obszerniejszy od zwykłego placyku; na środku leżą zwały ziemi i przewrócony, zardzewiały wózek. Nie można już dalej iść, jest na samej górze. Wieje lekki wiatr i widać w dole ogromną ciemną dal, podziurkowaną światełkami jak z bożonarodzeniowej choinki albo jakby resztki światła skropliły się w te odrobinki rzucone w przestrzeń, pogubione. Istnienie miast, dróg, niebezpiecznych zakrętów wydaje się z tej odległości umowne, właściwie mogłyby być złudzeniem, zimową fatamorganą. Ale im dalej od góry, tym więcej szarości, i gdzieś daleko na mlecznym horyzoncie majaczy pasmo ośnieżonych gór, wysokich, ale płaskich, ściętych u szczytów, dziecinnych. Pewnie wschodzi słońce. Ida opiera się o wózek i patrzy tam, nie widziała bowiem jeszcze dotąd niczego tak pięknego. Przed górami jest równa przestrzeń, szara i srebrna. Powoli z tej szarości wyłaniają się kontury drzew i domów, i jest kościół, jego wieża jak maszt namiotu podtrzymuje pobielone niebo. Ida widzi z daleka czystość i precyzję każdej krawędzi. Symetria jest doskonała jak w przemyślanym szkicu piórkiem. Linia szosy nawleka miasteczko jak drogocenny koral. Tam chciałaby dotrzeć, zamieszkać w tej czystej, rozświetlonej, łagodnej krainie.

Ma ochotę na papierosa; choć nie pali od dawna, to pewnie widok paczki papierosów w rękach Mai budzi w niej stare nawyki. Zapaliłaby, już nie

pamięta, jak to jest. Zachwycić się czymś i musieć natychmiast zaciągnąć się dymem, ponieważ nie można znieść samego zachwytu.

Biały pies wydeptuje na śniegu wokół niej luźne łańcuszki śladów. Ida wraca pospiesznie, nie dziwi się, że nie ma tam Mai. Ona nigdy nie czeka. Wyprzedziła ją, poszła przodem, swoimi drogami.

Maja pojawia się trzydzieści trzy lata temu. Zapowiada się bólem. W nocy ból zamienia się w rytmiczne rwanie, jak odgłosy nadciągającej burzy. Jest lato, miasto śpi, dzwonią ostatnie tramwaje, gdzieś daleko zawodzi karetka. Ogrzane mury oddają ciepło, i trudno jest wytrzymać w ciasnym, wynajętym mieszkaniu. Ida schodzi na dół, na skwer, kładzie się na parkowej ławce. Widzi, jak spadają gwiazdy. Myśli, że jedna z nich to musi być dusza dziecka, ale Nikolin, zamawiając taksówkę, tłumaczy jej, że to są leonidy, coroczny deszcz meteorów.

W szpitalnej sali cztery inne kobiety śpią, szkoda, Ida nie ma śmiałości ich obudzić. Kładzie się na wznak i przygląda się falom bólu. Widzi je, jakby były wykresem krzywej na osiach współrzędnych. Funkcja bólu jest niespokojna i poszarpana, ale jej regularność budzi ufność. Ciekawe, czy dałoby się wyprowadzić z tego jakiś wzór. Usypia. Rano zabierają ją na badania — najpierw stoi w kolejce na korytarzu z innymi kobietami w rozchełstanych koszulach. Kiedy przychodzi jej kolej, okazuje się, że w gabinecie jest kilkuosobowa grupa studentów po-łożników, samych mężczyzn, chłopców prawie. Każą jej położyć się na fotelu i Ida cała staje się rozkraczonymi nogami i wielkim brzuchem. Zaglądają w nią i mierzą rozwarcie. Zapisują wyniki. Potem musi wrócić na salę, żeby zabrać swoje rzeczy z nocnej szafki. Pakuje w dwie reklamówki: książki, tranzystorowe radio, kilka kosmetyków, bieliznę, i kładzie się na wózku, który po nią przyjechał, choć przecież może chodzić. Winda zwozi ją na niższe piętro, zamknięte dla postronnych, oddzielone od reszty szpitala, głuche. Ból powraca falami, a niektóre z nich stają się zbyt silne, żeby można było je zignorować. Jest w niej coś, co pęka, wewnętrzny trzask, rozrywanie. Jest owadem, liniejącym, kruszą się w niej chitynowe pancerze. Jej myśli rozpierzchają się na wszystkie strony, boi się. Kładą ją na innym fotelu,

mydlą krocze i starsza położna, mówiąc do niej przez cały czas, goli jej włosy łonowe. Potem jest lewatywa — szokująca — i teraz wszystko staje się jasne, jej ciało nie należy już do niej, zostali rozdzieleni. Ono ma swoje egzaminy, bardzo ważne przedmioty do zdania, a ona będzie musiała mu towarzyszyć.

Ból dochodzi do niej hipnotycznie, zatacza równe, zacieśniające się kręgi. Wykres funkcji zmienia się dramatycznie, w jego wzorze pojawiają się ułamki. Ida długo wstrzymuje w sobie krzyk — zresztą nie ma do kogo krzyczeć, pielęgniarki wchodzą i wychodzą, rozmawiając o jakimś Michale, na chwilę pojawia się młody lekarz w zielonym uniformie i rzuca na jej twarz przelotne spojrzenie. Próbuje przytrzymać go wzrokiem, ale jego oczy umykają. Zagląda w nią od dołu, od strony ciała, tam dzieją się ciekawsze rzeczy. Zaraz po jego odejściu chichoczące dziewczyny podłączają ją do kroplówki i teraz nie ma już co marzyć, żeby wstać i uciec stąd — rękę ma przypiętą do łóżka grubą parcianą taśmą, jest przywiązana. Jednak myśl o ucieczce jej nie opuszcza. Czy nie zdarzyło się jej wiele razy, że uciekła z gabinetu dentysty? Już właściwie siedziała na fotelu, już w autoklawach dezynfekowały się narzędzia, a ona zerwała się i wybiegła. Czy nie odeszła spod drzwi egzaminatora w ostatniej chwili? Do tej pory można było przecież powiedzieć: nie teraz, potem. Uznać, że jeszcze jest czas i trzeba się lepiej przygotować. Że można mieć prawo do następnej próby, gdy zawiodą nerwy. „Mogłabym urodzić jutro albo za kilka dni, jak dojdę do siebie", myśli i łapie przechodzącą położną za połę białego fartucha, powtarzając to nerwowo. Tamta uśmiecha się miło, ale jej oczy są okrutne i puste, kolorowe szkła — nic nie odpowiada, tylko klepie ją po twarzy jak niesforne dziecko. „Ta kroplówka ci pomoże, to oksytocyna, przyspieszy poród", mówią usta oszczędnie. Nic więcej, ale to Idę tak wzrusza, że ma ochotę się rozpłakać. „Niech pani nie odchodzi, proszę zostać ze mną", szepcze. Ale tamta jest zajęta, bo właśnie do sali wjeżdża druga rodząca kobieta. Patrzą na siebie z Idą przez chwilę z nadzieją, że to coś zmieni, skoro są dwie; porozumiewawczo, jakby niemo namawiały się do spisku, zanim nie zostaną rozdzielone parawanem. Odtąd będą się już tylko słyszeć. Położna znika, dłoń Idy czuje jeszcze przez chwilę dotyk szorstkiej bawełny jej fartucha. Dobry, bezpieczny dotyk kogoś z innego świata.

Kobieta za parawanem krzyczy i klnie „kurwa” i „jezu” na zmianę, nietaktownie, przykro tego słuchać, ale ośmiela to Idę, i kiedy przychodzi następny skurcz, funkcja wyskakuje ostro w górę. Ida krzyczy i ten krzyk, straszny, rozwiązuje wszystkie troki, sznurówki świata: nic nie da się już zrobić, nie da się zawrócić, jest skazana i uwięziona, ciało pociągnęło ją za sobą, spadają oboje. Wszystko do tej pory było udawaniem, odgrywaniem cudacznych gier, stukaniem koturnami, pierdu, pierdu. Teraz cała prawda wyszła na jaw — to jest śmierć, bo śmiercią jest wszystko to, co pozbawia wyboru, od czego nie ma odwrotu, czemu nie można powiedzieć „nie”. Widać cały szkielet świata — składa się z dużych i małych śmierci, tak są zbudowane najmniejsze momenty: bezwładne bryły czasu, które lecą na oślep i niszczą wszystko na swej drodze. Śmiercionośna lawina, która dzień po dniu zamienia wszystkie istoty w kaleki. To widzi Ida przez naprawdę krótki moment: śmierć jest wszechobecna i wszechwładna, ma życie na swoim łaskawym utrzymaniu, jak żądny wrażeń mecenas impotent, podgląda i żarłocznie pochłania każdą oglądaną chwilę. Ida umiera na torturach i nie wie, czy te krzątające się nagle przy niej pielęgniarki i młody lekarz to jej oprawcy, czy wspomożyciele. Teraz, gdy zbliża się skurcz wielki jak oceaniczna fala, oni nagle, cała ta trójka, rzucają się na jej brzuch — jest jasne, że chcą ją dobić; więc szarpie się i udaje jej się kopnąć lekarza tak mocno, że leci pod ścianę i chwyta się firanki, ale położne są silniejsze, chwytają się jej brzucha jak piłki, jakby grały w rugby, i leżą na nim całym swoim ciężarem. Udaje im się dopiąć celu. Ból staje się nieznośny, to jest ból pękania i rozpadania się, pożerania po kawałku, palec boży rozgniata ją jak pluskwę. Ból wybucha jak raca i gaśnie powoli. Światło jaskrawej lampy świeci w krocze — tam pojawia się dziecko.

Wyciągają Maję i unoszą, żeby pokazać matce. Widzi jej pomarszczoną czerwoną twarz i przyciśnięte do małego tułowia rączki, jej nagość, nawet więcej niż nagość, jakby była bez skóry, okruch ludzki. Podsuwają ją do twarzy i każą dotknąć. Nie śmie, waha się. Potem niepewnie muska małą stopę, piętę. Wtedy kładą ją na brzuchu, na piersiach, czuje na swoich piersiach drobny, śliski ciężar, boi się, żeby nie ześliznęła się, nie spadła, i dotyka dłonią tego małego ciała. Jest szczęśliwa, że ból minął. Zabierają

dziecko i dają jej spokój. Leży jak pusta pacynka, jest powłoczką, z której wytrzepano zawartość, furtką na zawiasach, przez którą właśnie ktoś przeszedł, ten ktoś pojawia się w fałszywej, śmiesznej i rozczulającej postaci noworodka. Lecz w istocie jest to obcy człowiek. Ogarnia ją fala współczucia. Ma wrażenie, że urodziła siostrę, nie córkę. Nie ma matek i córek, ojców i synów, rodziców i dzieci, są tylko siostry i bracia. Próbuje to powiedzieć tej drugiej kobiecie, która chwilę po niej urodziła brata i z którą leży teraz w prawie pustej sali. Ale tamta nie rozumie. Unosi się i sięga do dzwonka. Za chwilę siostra zrobi Idzie zastrzyk, żeby zatrzymać tę wiadomość w sterylnej, szpitalnej tajemnicy.

7.

Pies otwiera wejściowe drzwi jednym uderzeniem łapy. W środku jest szaro i zimno. Gospodarze jeszcze nie wstali, więc Ida zabiera się do rozpalania pod kuchnią. Wolałaby ich nie widzieć. Nie teraz. Te rozmowy, które z nimi wiedzie, są jak z papieru, rwą się i wilgotnieją. O czym z nimi rozmawia? Zadają sobie pytania, ale nie czekają na odpowiedź. Mówią coś do siebie, a potem zapominają, co powiedzieli. Zachowują się mechanicznie, jak dziad i baba z ukraińskich bajek jej matki. Drzazgi zajmują się zaraz ogniem, ale drewno nie chwyta, jest wilgotne, ogień krztusi się i zamienia w dym. Ponawia próbę i tym razem słaby języczek ognia oblizuje polano. Jest tak cicho, że słychać oddechy psów — biały położył się przy drzwiach i zasnął zmęczony. Ida nalewa do czajnika wody i stawia go na ciepłej blasze. Gdzieś na dole włącza się pompa — to musi być pompa. Najpierw wydawało jej się, że to gra włączone cicho radio, że to muzyka. Ale to dom mruczy, nuci — ten dźwięk dochodzi skądś zza ścian, z dołu, od pompy, a może radio nie jest wyłączone, może zapomnieli o nim, słuchali przecież wczoraj komunikatów pogody, szykując się do dzisiejszego wyjazdu. Czy opady śniegu powtórzą się. Widocznie uznali, że nic im nie grozi, gdyby miał znowu padać śnieg, nie zdecydowaliby się na wyjazd tym starym samochodem.

Kładzie się na wymęczonej kanapie przykrytej kraciastym kocem. Robi sobie herbatę, ale zapomina o niej, a ona natychmiast stygnie.

Ida podchodzi do telefonu tak samo jak wczoraj, ale rozgrzesza się z chęci podniesienia słuchawki — jest za wcześnie. Poza tym wraca nieprzyjemne uczucie, że zapomniała o czymś ważnym i że dopóki sobie nie przypomni, każdy telefon będzie bezowocny, niczego nie wskóra. Myśli, że powinna zrobić tak jak jej ojciec — uporządkować podróż tutaj, zdarzenie po zdarzeniu, zaczynając od myślników. Próbuje:

— Wyjazd autokarem z Wiednia. Ludzie są zmęczeni i drzemią. Pewnie mają dość muzeów, chcą do domu. Czeska autostrada usypia, potem wjeżdżają w góry, warto się wtedy obejrzeć — bo to jest wrażenie, jakby zostawiało się cały nizinny, łagodny świat za sobą. Teraz horyzont podnosi się i zapada mrok. Ida siedzi przy kierowcy i nalewa mu kawy z termosu. On jest milczek, ale Ida, nie zrażona jego milczeniem, opowiada mu, co się im zdarzyło kilka godzin temu, gdy okazało się, że muzeum sztuki współczesnej jest zamknięte.

Stoją bezradni na schodach. To nieprzyjemny żart. Czyż wszystkie muzea nie są zamknięte tylko w poniedziałki? A to jest zamknięte w środę. Dlaczego? Kto śmiał zmienić ten odwieczny porządek. Zaczyna padać mokry śnieg, który osiada drobną biżuterią na futrach wiedenek, pokrywa czarne, filcowe kapelusze wiedeńczyków. Białe pieski przestępują z nogi na nogę.

Wchodzą do kawiarni i tam rozsiadają się przy kilku stolikach. Kawiarnia przypomina wielką przeszkloną werandę. Podają tam kawę i oczywiście tort Sachera. Wtedy do ich stolika podchodzi starszy człowiek, siwy i drobny, przygarbiony, w białym siatkowym kapeluszu. Jest zdenerwowany. Pyta, czy nie widzieli jego żony. Mówi, że przed chwilą tu była i gdzieś zniknęła. „Pomóżcie mi jej szukać, prosi, taka ładna, postawna blondynka". Ma łzy w oczach, drga mu broda jak u dziecka. Ida wstaje i rozgląda się po nielicznych gościach kawiarni. Dopytuje, jak wyglądała, ale staruszek powtarza te same cechy: blondynka, przystojna, w niebieskim płaszczu. Zwraca się także do dwóch mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku. Idąc, szuka wzrokiem niebieskiej plamy. Może poszła do toalety? Nie, nie, sprawdzałem już, po prostu zniknęła. „Nikt nie umie mi pomóc", skarży się. Kilka zaniepokojonych osób z wycieczki rusza na poszukiwanie starszej pani. Ida patrzy z niepokojem na ruchliwą ulicę, wielkie połacie parku i stawy. Staruszka mogła zabłądzić, myśli. Może zasłabła. „Gdzie ją pan widział ostatni raz?" Mężczyzna pokazuje ręką na sąsiedni stolik. „Kiedy to było?" „Ach, przed dwoma kwadransami, nie więcej", mówi i z jego oczu toczą się dwie duże łzy, wsiąkają w pomarszczoną suchą twarz. Ida wychodzi na ruchliwą ulicę i rusza w stronę parku po drugiej stronie, a z nią jeszcze inne dwie kobiety, Polki. Pyta przechodzącą parę z dzieckiem w wózku, czy nie widzieli starszej

kobiety w niebieskim płaszczu. Tamci, zdziwieni, przecząco kiwają głowami. Pyta jeszcze chłopca na rowerze. Też nie potrafi nic powiedzieć. Przebiega ulicę, bez płaszcza i czapki, czuje zimne, mokre dotknięcia płatków śniegu na twarzy. Patrzy w puste alejki parku, słyszy chrzęst swoich kroków na żwirowych alejkach. Idzie niezdecydowanie kilkadziesiąt metrów, w coraz większej panice, a potem, zniechęcona, zawraca, z myślą, że trzeba zadzwonić na policję.

Przy stoliku płacze staruszek, drży. Stoi przy nim kelnerka, młoda, wysoka, ciemnoskóra. Zbiera szklanki i mówi, że on tu bywa codziennie i szuka tej swojej żony w niebieskim płaszczu. A ona umarła dwadzieścia lat temu.

— Ona umarła — mówi do starca głośno, wyraźnie i ze złością.

Ida milczy zaskoczona. Potem dotyka piegowatej, powykręcanej dłoni mężczyzny i powtarza po kelnerce: „Ona umarła". Tamten odwraca wzrok, patrzy gdzieś w dół na swoje buty, zawstydzony, i wstaje, mrucząc: „Przepraszam". Odchodzi szybkim krokiem.

Kierowca wzdycha i mówi tylko: „Biedny człowiek".

Ina nagle podnosi się chwiejnie i stoi w kojcu. Robi kilka kroków i staje. Ida rozumie, co mówi. „Chcę wyjść, ale nie mam siły, pomóż mi". Bierze ją na ręce, tak jak przedtem Olga, i wynosi na śnieg przed domem. Suka stoi zdziwiona, robi kilka kroków, zatacza się. Wygląda to tak, jakby nie mogła wytrzymać podmuchów lodowatego wiatru. „No idź, idź, zrób siku", zachęca ją. Ale Ina jakby wrosła w śnieg, jakby była z innego niż śnieg świata i nie dało się ich razem połączyć. Więc bierze ją znowu na ręce i wnosi do cieplejszej sieni, i w końcu do kuchni, układa na posłaniu, które śmierdzi czymś ostrym, słodkim i gnijącym. Dostrzega na kocu lśniące brunatne smugi i podobne na rękawach swojego swetra i na spódnicy. Suka krwawi, leci z niej cuchnąca mieszanina odchodów i starej krwi, ciało nie będzie już dłużej udawać, że jest cudownym, doskonałym, zamkniętym mechanizmem, punktualnym, cykającym zegarkiem. Jest dziurawą torebką, grudką materii pozwijanej w labirynty jelit, w kłębki czerwonych nici, w siatki przewodów, które podtrzymują spęczniałe tkanki. Och, Ina. Idzie wydaje się, jakby suka odsuwała się od siebie samej, czując smród,

jakby było jej wstyd i wzrokiem pełnym poczucia winy patrzy na szarą, poplamioną teraz spódnicę. Ida głaszcze ją po głowie i pies podnosi na nią wzrok, patrzy przez chwilę w oczy, wydaje jej się, że tamta mówi: „No widzisz, no widzisz, tak to właśnie jest".

Ale Idzie nie podoba się ta konstatacja. Rozgląda się po kuchni, bo przecież widziała, jak Olga robiła zastrzyki, musiały być jakieś uśmierzające, przeciwbólowe, przeciwkrwotoczne, witaminy, sól fizjologiczna, antybiotyki. Szuka wzrokiem strzykawki i fiolek, ale z rozpaczą myśli, że przecież nie umiałaby dać zastrzyku, przebić skóry ostrą igłą i siłą wpuścić w to małe ciało obcy płyn. Umiałaby?

Otwiera szafki, sprawdza szuflady w kredensie, zagląda do słoiczków i blaszanych pudełek. Ileż tego zgromadzili ci staruszkowie! Znajduje wyblakłe torebki z nasionami bobu, nawinięte na kawałki drewna nici, pojedyncze guziki, tasiemki na szpulkach, puste wkłady do długopisów, tekturowe bilety sprzed lat, z dziurką pośrodku. Kupa śmieci. Potem nagle zatrzymuje się w tym szukaniu, nieruchomieje i zaczyna od początku, ale teraz powoli, systematycznie otwiera szafki, szafy i kredensy i widzi, że wszystko jest stare i musi być w tym jakieś oszustwo: poza śmieciami nie ma tam nic przydatnego, nic, co byłoby używane, i że w gruncie rzeczy szafki i szuflady są puste. Otwiera puszki i na dnie znajduje pojedyncze listki herbaty, ziarenka kawy, zwietrzałe i szare, okruszki chleba pokrywa zielona, zeschła pleśń. Nóż porośnięty jest warstwą czerwonej rdzy, wyszczerbiony kubek jest czarny od osadu.

Ida zaczyna dygotać, robi jej się zimno. Ma wrażenie, że na jej skórze osiadła zimna mżawka. Wygasło w piecu. Nie podnosząc się z kolan, sunie po podłodze do kojca suki. Wkłada dłoń pod głowę zwierzęcia, czuje jej ciężar. Suka oddycha dziwnie, z przerwami, jakby jeden oddech starczał jej teraz na dłużej. Tak jest dobrze. Czy zawsze trzeba coś robić, czy nie może być tak, jak jest?

Co było potem? Przypomina sobie:

— Autokar zajeżdża pod pensjonat. Przed wojną należał do rodziny Ingrid, ona też się tu urodziła. Teraz dzierżawi dom od gminy. Jest wysoka i dobrze zbudowana, ma jasną, pastelową twarz i bladoniebieskie oczy. Dwa psy mają kolor jej skóry — jasne, kremowe, jak nie dopieczone herbatniki. Leżą w holu na kanapie. Ida dobrze je zna — nigdy nie słyszała,

żeby szczekały. Za to Ingrid krzyczy do nich „raus!", jak tylko próbują wejść do domu ubłocone. Ingrid nosi zawsze gumowce albo buty do konnej jazdy i jej kroki są dobrze słyszalne na kamiennych podłogach całego parteru. Wita ich wylewnie, a jej twarz pokrywa rumieniec, jak u małej dziewczynki. Na stole w jadalni już czeka na nich kolacja, płonie ogień w kominku. Wycieczki „Serca Europy" zawsze nocują w pensjonacie Ingrid.

Po kolacji pojawiają się termosy z herbatą i małe domowe ciasteczka. Gdy zostają same, Ingrid wyciąga wino i dwa kieliszki. Siedzą w holu, pełnym roślin, na dwóch przeciwległych kanapach. Ogień w kominku dogasa, herbatnikowe psy leżą przy nogach swojej pani.

— Czeszę szę, że znowu tu jestesz — Ingrid z roku na rok coraz lepiej mówi po polsku.

Ida opowiada jej, że ma coś z sercem, że zatrzymuje się w środku nocy, za każdym razem rusza do przodu, ale którejś nocy może się to nie udać, może nawet tej nocy. A Ingrid pyta, czy była u lekarza. I Ida mówi, że tak, że nic nie znalazł.

— Od takiej nerwiczy sze nie umiera — mówi Ingrid i zapala kolejnego papierosa.

Dym zakrywa na chwilę jej twarz. Ida chciałaby opowiedzieć Ingrid co innego, sama nie wie, jak to się stało, że zaczęła mówić o sercu. Chce jej powiedzieć, tej Niemce, którą widuje przy okazji noclegów, trzy, cztery razy do roku, kobiecie, której przecież ani dobrze nie zna, ani nawet nie wie, czy ona ją dokładnie rozumie, więc chce jej powiedzieć, że gdyby się coś stało z tym sercem albo czymkolwiek, to jest zupełnie sama. Ale się wstydzi, że nawet tak dalekiemu człowiekowi wyda się śmieszna. Właściwie już wzięła oddech, żeby zacząć, ale wtedy wpada jej do głowy ten pomysł, jakby na zmianę tematu — że pojedzie zobaczyć swój dawny dom, który jest stąd niedaleko, jakieś sto kilometrów. Kierowca już sam odstawi wycieczkę do Warszawy. A wtedy Ingrid ofiarowuje się, że pożyczy jej samochód.

Potem, dolewając wina, w coraz lepszym humorze, Ingrid zabawnie opowiada Idzie o dziwacznym przesądzie w jej dużej rodzinie. Że mają wuja w Hesji, wujecznego dziadka czy kogoś w tym rodzaju, bardzo już starego, który nie utrzymuje z nimi żadnego kontaktu, wysyła tylko kartki

na święta. Ma na imię Axel. I że ten Axel od czasu do czasu dzwoni, tak znienacka, bez powodu, z głupia frant. Raz na kilka lat. Ale tak się jakoś składa, że ten, do kogo zadzwoni wujek Axel, wkrótce potem umiera. Tak, taka dziwna symetria, koincydencja. I że oni panicznie boją się tych telefonów, ale przecież nie można mu napisać, żeby do nich nie dzwonił. Dlatego Ingrid cieszy się, że jest tutaj w Polsce i Axel nie ma do niej numeru telefonu, czyli jest tak, jakby umknęła śmierci.

Śmieje się głośno, aż oba psy podnoszą głowy i patrzą na nią badawczo.

Sierść przypomina skołtunioną starą przędzę, pakuły. Tam, gdzie długie włosy odsłaniają skórę, widać, że jest napięta i ściśle, jak czarna rajstopa, okrywa kształt kości. Ida delikatnie głaszcze tę sierść. Mówi do psa po imieniu, ale on już nie reaguje.

— Co jest? Ina, co z tobą? — powtarza, delikatnie dmucha jej w nos. — Hej, co z tobą, psie?

Oddech wraca nieregularnie co jakiś czas, ale słabszy, jeszcze bardziej płytki. Potem znowu ustaje.

Ina jest zajęta. Musi to być czynność trudna i wymagająca skupienia, jej zamknięte oczy czasem delikatnie drgają, może tam pod powiekami są wielkie przestrzenie, gdzie toczy się ważna gra, nie pozostawiająca ani odrobiny czasu, wciągająca. Ida głaszcze sukę po pysku. Ostrożnie, nie chce jej przeszkadzać. Tam jest Ina, a tu jej opuszczone ciało, którego widok ściska z żalu gardło. Ida ma w gardle szorstką, dławiącą kulkę, drga jej w przełyku, ale nie chce się ani wypluć ani połknąć. Widzi czarne poduszeczki na stopach psa, popękane i zrogowaciałe jak podeszwy butów, widzi lekko obnażone koniuszki zębów, widzi brudny od wydzielin ogon. Ciało ma pamięć. Każda część tego ciała pamięta biegi, spacery i polowania, pamięta radości, zabawy, skoki. Jakieś dni, deszcze i burze, ucieczki i gonitwy, przyjazdy i pożegnania. Taka pamięć jest jak skondensowana żywność — wydawałoby się, że można dodać do niej odrobinę czegoś, co posłuży jak woda, a życie rozkwitnie znowu, wróci i nabierze barw, zacznie się jeszcze raz. Ciało pamięta, nie żaden umysł. I ciało umiera razem z pamięcią.

Wydaje jej się, że pies mówi: „daj mi spokój”. Ida odsuwa dłonie i biegnie po schodach na górę, wołając ich po imieniu. Wpada na korytarzyk koło swojego pokoju i po kolei puka do wszystkich drzwi, ale nikt stamtąd nie

odpowiada, więc otwiera je ostrożnie, jedne po drugich, i widzi tylko pustawe pokoje, łóżka przykryte wypłowiałymi kapami i stare nakastliki z dziurawymi nicianymi serwetami i bukietem sztucznych kwiatów. Czekają na gości. W jednym z pokoi Ida znajduje włączone radio, które szemrze coś o pogodzie, i rozumie, że tamci musieli wyjechać wcześnie rano, jeszcze w nocy, kiedy ona zdobywała hałdę. I teraz przekazali jej tego umierającego psa i nie zostawili nawet zastrzyków.

Wraca na dół. Nad legowiskiem stoi biały pies — milczący świadek agonii. Ina leży na boku z głową wyciągniętą do przodu, bez ruchu. Delikatny spazm, dreszcz przebiega tylko jej ciało, porusza je rytmicznie, choć ledwie zauważalnie, jakby jakiś czas temu je rozkołysano, wprawiono w ruch i teraz ten ruch wygasał. Ida kładzie tam rękę — sierść jest szorstka i letnia.

— Ina? — mówi cicho.

Odgarnia skudloną sierść z oczu suki — są półprzymknięte, spod powiek błyska kawałek śliskiej powierzchni oka.

— Ina?

Oko otwiera się. Czarne szkło, płynna czerń, przepastna, wydaje się bez granic. Nie wiadomo, gdzie patrzy, ale na pewno widzi wszystko. Wtedy Ida ma wrażenie, że to oko patrzy spod maski, że tężejące, zwierzęce, zbolałe ciało jest tylko przebraniem, kudłatą, nieporadną i dziwaczną formą. Pod maską jest ktoś inny, swojski i bliski Idzie, właściwie krewny, niepokojąco podobny.

Oko jest wejściem do innego wszechświata złożonego z samych mechanicznych, obojętnych ruchów, powtarzalnych i wiecznych. Są tam świszczące galaktyki i ogromne przestrzenie składające się ze skupisk ciemności, wyschłej czerni.

Potem oko zamyka się łagodnie i Ida rozumie ten ruch — tam właśnie odchodzi suka. Drżenie nagle ustaje. Ida patrzy, nie wierząc, że jest to tak proste i oczywiste. Już po wszystkim. Dotyka tego, co zostało — a co przypomina teraz futrzaną zniszczoną zabawkę, martwe wyprawione futro.

Podnosi się z klęczek i trafia wzrokiem w prostokąt okna — znowu jest mgła. Kręci jej się w głowie od gwałtownego ruchu.

Wychodzi przed dom, patrzy przed siebie w stronę kominów i kopalnianych wyciągów, które rysują się miękko w szarości powietrza. Z dachu z łoskotem zsuwa się wielki płat śniegu i spada na ziemię, słychać spieszne krople z topiących się sopli, wystukują nierówny rytm, żłobią dziury w śniegu. Ida trze oczy, gniew mija.

Idzie prosto do stodoły, rozsuwa ciężkie drzwi, zapala światło. Są tam boksy i klatki, a do tego półki ogrodzone niską siatką. Na środku stoi stół, a na nim odnajdują się strzykawki i pudełka z fiolkami. Całe rulony nowych jednorazowych strzykawek, także bandaże i aerozole, buteleczki. Mimo elektrycznego światła jest tu ciemno, dopiero gdy rusza wzdłuż boksów, widzi w jednym z nich konia. Leży. Unosi łeb, gdy przystaje, żeby mu się przyjrzeć. Jest przeraźliwie chudy i chyba ślepy — wielkie oczy są prawie białe. Ida widzi w sąsiednim boksie czarną kozę — leży na boku, nie rusza się. Następne boksy są puste, wysypane świeżym sianem, ściany pobielone wapnem, jest czysto. A potem widzi te pudła z dziurkami, które tamci przedtem wnosili we trójkę. Stoją otwarte, wyłożone ligniną. Jest ich kilkanaście, a w każdym szczur. Ida cofa się odruchowo, ale ciekawość pcha ją do przodu. Widzi dobrze tylko jednego — skulony, wciśnięty w ligninę, z wygoloną sierścią na grzbiecie, z sinymi śladami po ukłuciach. Ida zamyka za sobą drzwi.

8.

Zanim wypadła z zakrętu, jechała zaśnieżoną drogą, była już gdzieś za Nową Rudą. Czy widziała coś znaczącego, coś innego, jakieś ostrzeżenie czy znak? I teraz sobie przypomina, że przecież zatrzymała się, aby coś zjeść. Zobaczyła mały bar przy drodze, z namalowanym na białym tynku Kaczorem Donaldem. Zjechała tam w ostatniej chwili.

Kelnerka w obcisłych poliestrowych spodniach przypinała w skupieniu paski papieru z nazwami potraw. Pinezki o czerwonych główkach trzymała w ustach. Wyglądało to tak, jakby miała krople krwi na wargach. Ida zamówiła pierogi i czerwony barszcz; czekała teraz na jedzenie, rozglądając się po wnętrzu. Było to nieduże pomieszczenie, całe obite plastikowymi białymi panelami. Podłoga była wy-łożona szarą, zimną terakotą. Bufet i wszystkie meble odlano z białego plastiku — ogrodowe krzesła i stoliki z dziurą w środku, w którą wstawia się parasol, wieszaki przy drzwiach, półki pod sztuczne kwiaty, doniczki. Wszystko inne było czerwone — solniczki i cukierniczki, pojemniki na serwetki, nylonowe zasłonki w oknach, obszyte białą koronką. Wszędzie nieznośny kontrast bieli i czerwieni — to zawsze kojarzyło się ze szpitalem, z krwotokiem albo nieoczekiwaną menstruacją, przykrością znalezienia na prześcieradle czerwonej plamy krwi.

Przy stoliku pod telewizorem zawieszonym na metalowym wysięgniku, w którym prawie bezgłośnie przesuwały się obrazy z MTV, siedzieli kobieta i mężczyzna, oboje odchyleni od siebie, półleżąc na niepewnych ogrodowych oparciach, zmęczeni, jakby przebyli długą podróż i jeszcze wiele drogi zostało przed nimi. Kobieta powiedziała:

— No nie, nie bądź taki...

A on odpowiedział:

— Jaki? Tylko mówię.

— Daj spokój.

— To ty daj spokój.

— Jak chcesz, żeby było dobrze, to będzie dobrze. Jak nie zechcesz, żeby było dobrze, to nie będzie dobrze.

— Chcę tylko wiedzieć.

— Mówiłam ci.

— Daj spokój, co mi mówiłaś?

— Powiedziałam ci wszystko.

— Chyba żartujesz.

— To ty żartujesz.

— Ja nie żartuję.

— Nic mi nie powiedziałaś.

— Wiesz co? Nic ci nie powiedziałam? Ale ty jesteś…

— Mam to gdzieś.

— Zrozum wreszcie, wszystko ci powiedziałam.

Wtedy kelnerka przyniosła jej jedzenie: sześć pierogów na plastikowym talerzu, polanych tłuszczem ze skwarkami. Obok położyła plastikowe sztućce na białej serwetce. I po drugiej stronie barszcz w plastikowym, miękkim od ciepła kubeczku. Barszcz był z torebki, a pierogi musiały być gotowe, takie, które na tacce podgrzewa się w mikrofali. Wzięła do ust kęs, nie miał smaku, był ciepły, to wszystko. Tych dwoje stało teraz na zewnątrz, palili papierosy, poruszając ustami. Kobieta czubkiem buta robiła dołek w żwirze, którym wysypany był podjazd, i nasunęła na głowę kaptur puchowej kurtki.

Potem zrobiło się ciemno, nagle i bez ostrzeżenia, jak to zwykle bywa przedwiośniem. Zaczął padać śnieg. Ida zapłaciła i wsiadła do pożyczonego samochodu, żeby pojechać odwiedzić swój stary dom. Więc to była ostatnia rozmowa, jaką słyszała przed wypadkiem i dotarciem tutaj. Nagrała się na taśmę, na ten magnetofon zrobiony ze zbitych komórek poprzetykanych czerwonymi nitkami. Potem było to, co powiedziała Olga: „Już wracasz? Dopiero co wyszedłeś”.

Nie palą się żadne światła na zewnątrz, żadne fioletowe lampy, jest szaro. Ida wygładza spłowiałą narzutę i zbiera ze stolika swoje rzeczy — klucz do pożyczonego auta, rękawiczki i płaszcz, i to jest wszystko, co miała ze sobą. Chce zostawić pokój tak, jakby jej tu nigdy nie było, żeby nie pozostał po niej żaden ślad. Potem cicho schodzi na dół. Znowu prószy śnieg, tak samo jak wtedy, kiedy tu przyszła; ślady, które zostawia na śniegu, na pewno zaraz znikną. Przekracza tory i wychodzi na pustą szosę. Niebo jest białe, tak samo jak ziemia, ale Ida wie, że gdyby nawet zamieniły się ze sobą miejscami, nie zrobi to na niej żadnego wrażenia. Szosa ciągnie się przed nią i powoli ginie pod śniegiem. Ciężko iść, śnieg przykleja się do butów, jest mokry i ciężki. Szare światło tężeje, staje się gęste. Płatki spadają coraz wolniej, a potem zatrzymują się na dobre i tylko leciutko drżą w powietrzu. W końcu nieruchomieją. Świat staje.

Ida jest zmęczona. Najchętniej położyłaby się tuż przy drodze, mościłaby się w pryzmie mokrego śniegu, z ręką pod głową, na boku, jak ten pies, którego niedawno minęła. Pozwoliłaby się przykryć świeżą, białą kołdrą. Ale musi być tam, gdzie powinna.

Bez trudu znajduje samochód — wspina się na drzewo, jest przysypany śniegiem; jego otwarta maska to wielkie metalowe usta, które ją przywołują. Udaje jej się wcisnąć do środka na przednie siedzenie. Pamięta, żeby zapiąć pasy i włączyć światła: strzelają w niebo, ale nie odkrywają nic. Kładzie głowę na kierownicy, przytula do niej twarz i z ulgą zamyka oczy.

Część II

Parka

P

Dwa dni zabrało mi przesunięcie łóżka na werandę. Najpierw ciągnęłam je przez cały pokój i najgorsze było zakręcenie ciężkim metalowym meblem jak dziecinnym wózkiem. To była praca na cały wieczór. Następnego dnia udało mi się je unieść nad progiem, najpierw przednie nogi, potem tylne. Musiało to wyglądać zabawnie, tak, śmiałam się pod nosem, bo wydało mi się, że przepycham przez drzwi wielkie, żelazne, nieruchawe zwierzę, na dodatek objuczone bagażem. Wreszcie udało się — przeciągnęłam łóżko na sam środek werandy i tam stoi do dzisiaj.

Petro zbudował werandę po północnej stronie domu już dawno i wtedy się o to z nim pokłóciłam. Mówiłam: „po co mi weranda tam, gdzie nigdy nie dochodzi słońce i jeszcze na dodatek wetknięta w zbocze góry. Oblezą ją ślimaki, będzie pawilonem dla winniczków i pomrowików. Zbudujesz cieplarnię dla pleśni i terrarium dla pająków". Ale on był uparty. Może wtedy już wiedział, że mu się przyda po wszystkim. I był praktyczny — nigdy nie zajmował się tym, co nie mogłoby przynieść jakichś konkretnych korzyści. Mieliśmy na przykład dwa ogródki: jego z warzywami, mój z samymi kwiatami. Nie uznawał kwiatów, chyba że to była pełna dzika róża, ta, z której robi się konfitury — tę uznawał. Inne były tylko marnowaniem dobrej, skopanej i nawiezionej ziemi. Sam miał te swoje porządne, proste grządki — zielone wiechcie marchwi, pojedyncze pióropusze kopru, poziome rozłogi ogórków i dyni, wątłe krzaki pomidorów. Całe lato siedział w pomidorach, skubał na nich wilki, podwiązywał łodygi. Co roku przynosił mi pierwszego, jeszcze nie całkiem czerwonego, ledwie zarumienionego. Kładł go na stole i odchodził. Musiałam go zjeść w milczeniu. Moje kwiaty ignorował.

A miałam piękne kwiaty. Szczególnie udawały się tutaj na stoku gladiole i piwonie. Wymieniałam cebulki z kobietami z dołu. Dostawałam wszelkie odmiany; pyłki mieszały się ze sobą, czary-mary w moim małym ogródku, czysta alchemia. Mieszały się geny, kolory pożyczały od siebie odcienie,

czerwień wymieniała się z żółcią, płodziły się wszystkie możliwe oranże i następnego roku znowu niosłam je na wymianę. Miałam kwiaty jaskrawopomarańczowe i ciemnofioletowe. Pełne i pojedyncze, podobne do egzotycznych storczyków. Miałam niskie żółte, ciężkogłowe i strzeliste różowe, bieliźniane. Jesienią wykopywałam z ziemi skłębione, twarde kłącza, obrośnięte przybyszowymi wyrostkami. Suszyłam je na strychu do pierwszych mrozów, a potem zimowały w piwnicy. Spały w ciemnościach. Niektórzy mówią o gladiolach „mieczyki". Śmieszne imię dla kwiatu. Owszem, płaskie ostre liście przypominają ostrza, lecz kwiaty je rozbrajają.

Teraz, gdy leży śnieg, gdy wszystko stało się białe i zamazane, trudno jest sobie wyobrazić, że przy domu mógł być kiedykolwiek ogród. Sama w to nie wierzę. Szukam pogrzebaczem pod śniegiem tamtych rabat. Po nocy, kiedy po raz pierwszy spada śnieg, budzimy się już w innym kraju — ten zimowy jest zatarty, nieostry, szeroki, same odcienie bieli i szarości. Nawet domy na dole tracą swoje kształty, stają się brudnymi plamami, świecą w nocy jak rachityczne, zimowe robaczki świętojańskie. Latem góry zadzierają nosa, stają się ostre i zdecydowane. Mgła, która wstaje po deszczu, drze się na ich krawędziach, na ostrych czubkach świerków. Wilgotne powietrze niesie dźwięki z dołu — coraz rzadziej ryczenie krów, a częściej łup-łup z sobotniej zabawy albo nagły wściekły warkot silników. Słyszę to z wysokości. Jestem panią na wysokościach.

Zasypuje nas prawie co roku, choć ostatnimi laty rzadziej — czasem zima pozwala odetchnąć. Ale nie tego roku. Tym razem śnieg padał bez żadnej ludzkiej miary, aż połączył dach ze stokiem, aż połamał jednoroczne gałęzie drzew owocowych. Dlatego zawsze w październiku robimy zapasy — syn sklepowej wwozi nam to wszystko na górę małym fiatem. Zostaje nam tylko rozpakowywać wiktuały i ustawiać je w spiżarni na półkach. Mąka, ryż, kasza, makaron, pszenne suchary, bułeczki, którym pozwalamy sczerstwieć na słońcu, słoiki miodu, herbata, kawa już nie, bo przestaliśmy ją pić kilka lat temu. Ciastka, puszki z mięsem, żółty ser, cukier. Cebula, ziemniaki. Inne warzywa mamy swoje, Petra.

W ciągu ostatnich dwóch lat przychodzi tutaj tylko on, syn sklepowej, i listonosz. Ten nawet nie idzie tu na górę, tylko Petro wychodzi mu naprzeciw — aż po grusze, tuż nad wsią, i tam odbiera od niego emeryturę

i listy, chociaż te drugie bardzo rzadko. I jeszcze: co dwa miesiące przychodzi inkasent z elektrowni. Zostawia samochód na samym dole i potem pnie się, klnąc i dysząc. I zawsze wita się, mrucząc w taki sposób: „Powinni zabronić mieszkać tak wysoko. Powinni wam dać krótkofalówkę". Zimą, gdy jest śnieg taki jak teraz, nikt nie przychodzi. Wiosną wyrównujemy wszystkie rachunki.

Teraz weranda wygląda pięknie jak kaplica, jak śnieżny święty przybytek. Z zewnątrz prawie cała jest obsypana śniegiem, tylko tuż pod sufitem widać mały, nierówny, wolny od śniegu pas, ale za to gęsto porośnięty mrozem. Te fantastyczne mroźne rośliny tworzą delikatną girlandę. Dawno, dawno temu próbowałam przerysować takie wzory, myślałam, że nadadzą się do wyszywania na chusteczkach, na serwetkach. Wtedy rzeczywiście sprawdziłam, że nigdy się nie powtarzają. Nie ma dwóch takich samych. Popołudniami przez ten kwiecisty biały pas przebijają się słabe czerwone promienie słońca. Jak w cerkwi, słowo daję. Chyba to mnie właśnie natchnęło, żeby śpiewać Petrowi na werandzie. Nie było widać, że słucha. Jego nos obojętnie celował w sufit. Siedziałabym przy nim dłużej, tylko szybko tam marznę, więc muszę wrócić do kuchni, podłożyć do pieca, napić się czegoś ciepłego. Marznę teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To dlatego, że jestem za chuda.

Petro umarł w niedzielę wieczorem. Dobrze, że wieczorem, bo gdyby umarł rano, całą niedzielę musiałabym siedzieć sama. A tak — wieczorem było lepiej i dla mnie, i dla niego.

On umarł, a ja poszłam spać, bo wiedziałam, że nic już nie da się zrobić, ani go ożywić, ani samej umrzeć. A sen potrafi budować łagodne granice między wydarzeniami. Nic nie może się zacząć ani skończyć naprawdę, dopóki kropki nad dniem nie postawi sen. Więc zanim się w niedzielę położyłam spać, było tak, jakby Petro nie umarł całkowicie, choć widziałam, że nie oddycha. Wiedziałam — umarł, nawet nie dlatego, że przestał oddychać, nie dlatego, że jego skóra stężała, nie po drapieżności, jaka wdała się od razu w jego rysy. Wyglądał, jakby był zły, jakby zezłościła go własna śmierć. Gdy mówiłam, odpowiadało mi echo.

Lecz wtedy ta śmierć jeszcze się nie liczyła, jeszcze nie rozgościła się na dobre w naszym domu. Można ją było ignorować. Rozebrałam się jak zwykle i położyłam przy nim. Leżeliśmy obok siebie na wznak. „Nie mogę usnąć", powiedziałam. Nie odezwał się. To nie było dziwne, bo potrafił nie odzywać się całe dnie.

Ta zima od początku była inna. Czas zwiotczał. Najpierw tak długo wiał suchy wiatr, aż oberwał wszystkie liście w sadzie. Zostały samotne jabłka. A potem przyszedł śnieg, cały, od razu. Od listopada nie zelżał ani na jeden dzień.

W ostatnią sobotę i piątek padał znowu, bez przerwy. Petro łaził po kuchni i stękał, mówił, że nie ma czym oddychać. Dwa razy próbowałam zejść na dół, ale po kilku krokach zapadałam się w śnieg. „Wyciągnę sanki ze stodoły i zjadę na nich szerokim slalomem, między drzewami na miedzach, między stertami kamieni" — powiedziałam do Petra. Ale mieliby widowisko tam na dole: stara Paraskewia z czerwonym nosem, z rozwianym szalikiem, jędza; szkoda, że na sankach, a nie na miotle. Już ich widzę, to paskudne, dolinne plemię, jak pokazują mnie palcem i nabijają się ze mnie, durnie. Ale śnieg był zbyt sypki, zbyt grząski.

Wygrzebałam je spod innych gratów i wróciłam do domu, a on już polegiwał i patrzył w sufit, nie na mnie. „Daj sobie spokój", powiedział. Chyba był na mnie zły. „Jak mam wezwać pomoc, skoro jest metr śniegu? Co mam zrobić, Petro?" — „Nie potrzebuję pomocy".

Wychodziłam jeszcze kilka razy, kręciłam się w śniegu koło domu, uwięziona w białym puchu. Jeszcze mi przychodziło do głowy, żeby może rozpalić ogień i w ten sposób zwrócić ich uwagę, zmusić ich ogniem, żeby podnieśli głowy, ale wiadomo, to wiejskie plemię nigdy nie patrzyło w góry, mieli te góry głęboko w dupie, były dla nich zawsze tylko kłopotem. Patrzyli pod nogi, żeby nie przewrócić się na psim gównie. Stałam na tle śniegu i machałam rękami, jak pojedyncza literka na białej kartce papieru.

Zawsze wiedziałam, że umrze pierwszy, od początku. Był ode mnie piętnaście lat starszy, więc musiał wziąć tę okoliczność pod uwagę, gdy się ze mną żenił. Zawsze był stary. Był stary inaczej, od środka, może urodził się stary, zawsze ze zmartwioną twarzą, zawsze przysypany popiołem,

nawet wtedy, gdy miał jeszcze całkiem czarne włosy i czesał je do góry, a rano moczył wodą i tak długo gładził, że nauczyły się, jak mają rosnąć. Strzygłam go raz w miesiącu, przed domem; dotykałam skóry, zbierałam pukielki i wyrzucałam do ogródka. To był stary człowiek, od środka i od zewnątrz. Byłam świadkiem, jak sechł, jak jego głowa stawała się coraz mniejsza. W końcu zrobiła się mała, dziecinna. O, proszę, usechł jak kolba kukurydzy, kukurydziana laleczka, która umiera z wielokrotnym, żółtozębnym uśmiechem. Teraz też powinnam go ostrzyc. Słyszałam, że włosy rosną jeszcze długo po śmierci, tak samo jak zarost i paznokcie. Muszę o niego dbać, żeby nie zarósł. Czy jego włosy, teraz, kiedy nie żyje, będą wiedziały, jak mają rosnąć.

Jest wtorek i już trzeci raz zapalam gromnicę na werandzie. Robi się odświętnie. To ta sama gromnica, która zapłonęła po raz pierwszy na nasz ślub, potem, gdy rodziły się dziewczynki, i na wszystkie święta, jego i moje. Na jego Boże Narodzenie i na moje Boże Narodzenie dwa tygodnie później. I na Wielkanoc to samo. W zeszłym roku nasze Wielkanoce wypadły w tym samym czasie, ale leżał wciąż śnieg, a Petro już wtedy ledwie chodził, więc nie zeszliśmy na dół do kościoła. Wyciągnęłam z zamrażarki kurczaka i zrobiłam rosół. „Christos woskres", powiedziałam. „Zaiste zmartwychwstał", odpowiedział obojętnie.

Nie umiem opowiadać po kolei; on by umiał. Nie mam w głowie porządku, mam śmieci, kupki wspomnień. Nawet nie wiem, co to znaczy: po kolei — według dat? Nie pamiętam dat. Zresztą, co to za porządek — daty. Życie układa się w głowie raczej według kolorów i męczących szczegółików. Petro, on by zrobił z tym porządek, on pamiętał wszystko dokładnie. Mówił na przykład, że w siedemdziesiątym czwartym było to, a w osiemdziesiątym tamto. Pamiętał nawet miesiące, nawet dni. Nie wiem, jak to się dzieje w głowie, że czas układa się równiutko, warstwami, że lata sklejają się ze sobą tajemniczo w ciągi tej jednej w roku nocy, w sylwestra. Dbał o kalendarze. Kupował na dole kalendarzowe bloczki kartek do wyrywania, wieszał je na framudze drzwi, a każdą wyrwaną kartkę, każdy dzień chował w szufladzie. Jeszcze tam są. Niektóre z nich już zupełnie zetlały. Przepisy przestały być aktualne. Notował na skrzyni

datę wysiewu selera albo tych swoich pomidorów. Teraz jest czarna od małych znaczków, od liter i liczb. Ja trzymam tam ozdoby na choinkę, bombki, uchwyty do świeczek, komplet światełek, szpic i aniołki z ciasta chlebowego. Znaczy to, że zaglądam tam dwa razy w roku — przed Wigilią i potem dopiero w lutym, gdy choinka już się sypie. Tydzień przed jego śmiercią rozebraliśmy choinkę i spaliliśmy ją pod kuchnią.

A może jest środa? Czy nie wyrwałam jednej kartki za dużo? Czy może zapomniałam wyrwać poprzednią? Skąd będę wiedziała, jaki jest dzień? Tylko niedzielę uda mi się rozpoznać — biją wtedy dzwony na dole i gdy jest wystarczająco wilgotno, ich dźwięk dochodzi tutaj pokawałkowany przez echo.

Będę wiedziała — mam przecież telewizor, choć on trzeszczy i obraz jest biały, migocze, trzeba się domyślać, co pokazuje. Czasem można się pomylić. To też wina śniegu — jakimś cudem dostał się do wewnątrz i teraz pada nieustannie w środku, zamazuje obrazy.

Sięgam na oślep do szuflady i wyciągam plik kalendarzowych kartek. Rok sześćdziesiąty drugi, 21 lutego, czyli mniej więcej tak jak teraz. Pod spodem: „środa, Eleonory, Feliksa. Międzynarodowy Dzień Walki z Rasizmem Kolonialnym. Przysłowia murzyńskie. Niewiedza jest ciemniejsza od nocy. Wytrwałość igłą wykopie studnię. Nawet najgłębsza woda ma dno".

Uważam, że to mądre przysłowia. Rozkładam kartki na ceracie. Kolor papieru jest brudnawy i żółty, ale trzymają się dobrze. Nie pamiętam z sześćdziesiątego drugiego roku ani jednego dnia. Tymczasem 24 kwietnia we wtorek: „Grzegorza. Czy wiesz, że język hawajski ma tylko sześć spółgłosek i samogłosek? Jest on bardzo prosty i dlatego niesłychanie trudny".

Kiedyś było jaśniej, więcej słońca docierało na ziemię. Niebo było bardziej niebieskie, a pod wieczór płonęło zimnym różowym światłem. Gwiazdy świeciły przenikliwiej. I księżyc — większy; w nocy trzeba było zaciągać firanki, bo jego blask świdrował powieki.

Teraz cały czas jest ciemno — kiedy wstaję rano, światło ledwie mży; muszę zapalać lampę i zanim się rozkręcę, ogrzeję, zjem, posiedzę z Petrem na werandzie, już zaczyna gasnąć. Na starość dzieje się coś z oczami, może nie są już zdolne do wyłapywania całego światła, biedne dziurawe oczy. Włożyłam okulary Petra, ale nic nie pomogły. Rozmyły tylko kontury przedmiotów jeszcze bardziej. To są zwykłe okulary do czytania, nie potrafią przeniknąć ciemności. A moje gdzieś przepadły. Chyba nie potrzebuję okularów. Dobrze widzę gwiazdy. Obserwuję ich ruch; kręcą się wokoło, ale bardzo powoli, trzeba być cierpliwym, żeby je złapać na gorącym uczynku. Mam swoje metody — tamte cztery świerki zimą pokazują wielkie rozczłapane M, a nad nimi jest ciasno zbite gniazdo, kółko z ogonkiem, latawiec z gwiazd, balonik na sznurku. Niebo kręci się nad naszym domem jak spódnica w tańcu. Podglądamy tancerza z ziemi, widzimy dziury w materiale, przez które prześwieca dalekie światło. Jego ciało musi być zbudowane z czystego światła. I dobrze widzę wieś w dole. Trzeba tylko wyjść przed dom. Gdybym miała lunetę, mogłabym śledzić ich ścieżki i interesy. Ci z dołu wyglądają jak małe punkciki, przesuwają się po asfaltowej drodze od sklepu na przystanek. Maleńki autobus zbiera ich dzieci i wywozi do szkoły w Lewinie. Od czasu do czasu, raz na dwa, trzy dni, przejeżdża powoli odśnieżarka i spycha wały szarego śniegu na pobocze. Dzieją się tam różne rzeczy, ale wszystkie są malutkie, gówniane. Siedzę przy Petrze, ile tylko wytrzymam w zimnie werandy, opowiadam mu albo śpiewam. Będę mu czytać stare kalendarze. „Kwiecień, 11, środa, Leona, Filipa. Czy wiesz, że istnieją drzewa, których liście prawie nie rzucają cienia?" Wiesz, Petro? Słuchaj dalej. „Są to eukaliptusy, których wysokość dochodzi do 150 metrów. Liście mają tak ustawione, że promienie słoneczne nie padają na ich powierzchnię". Obcięłam mu już paznokcie, bo przed śmiercią nie interesowały go już takie rzeczy jak obcinanie paznokci. A przecież powinny. Ciotka Marynka zawsze kazała myć wieczorem nogi, bo gdyby się coś stało, gdyby miało w nocy przyjechać pogotowie, to trzeba być czystym, bo wstyd. Poprawiam na nim włochatą kapę. Petro szepcze, nie poruszając wargami. Mam wrażenie, że słyszę jego głos. Nadstawiam ucha, ale nie wyłapuję żadnych słów. Trzeszczy cicho jak telewizor. Do jego wnętrza też dostał się śnieg, jego głos także śnieży.

Wczoraj przed snem wymyśliłam, jak zwrócić uwagę ludzi na dole. Wkładam na siebie drugą spódnicę, sweter Petra, jego skarpety, jego filcowe ocieplane buty, kurtkę i jeszcze opasuję się chustą, na głowę biorę króliczą czapkę uszankę i wychodzę na stok. Już zapalili światła na dole. Sprawdzam stopami jakość śniegu — ten pod spodem jest już zbity, ale na wierzchu wciąż przypomina puch. Zostają na nim moje ślady. Więc dobrze. Poruszam się po nim małymi kroczkami — tup, tup. Czuję się, jakbym wpadła w wir zapomnianego tańca pełnego przytupów i podskoków, ale ponieważ jestem stara — zamieniam je na niemrawe, łagodne posuwy. Przemieszczam się po śniegu, zwariowałam ze starości, i widzę, że zostaje po mnie wyraźny, prosty ślad.

E

Bardzo zajmuje mnie jedna sprawa: kiedy człowiek zaczyna umierać. Musi być taka chwila w życiu, pewnie jest krótka i niezauważalna, ale być musi. Pięcie się, rozwój, droga w górę osiąga punkt kulminacyjny i zaczyna się ześlizgiwanie. Byłoby to południe życia — słońce osiąga zenit i opada ku zachodowi. Byłoby to przesilenie burzy — największy wiatr, najgłośniejszy grom, od którego zaczyna się cisza. Najgorętszy ogień, który jest początkiem wygasania. Albo upicie się, najmocniejsze, ale już w tym samym momencie zaczyna się trzeźwienie.

Musi być taki moment, ale nie znamy go. Nie rozpoznajemy. Gdyby było można go dostrzec, bylibyśmy wszyscy mądrymi ludźmi. Tak, jesteśmy głupkami.

Wszystko może być wskazówką. Milionowy włos na grzebieniu, nagły atak bólu głowy i jego nieoczekiwane ustąpienie. Sen. Jakiś dziwny, niepokojący albo — wprost przeciwnie — sen, że się właśnie umiera. Oczko na pończosze, które biegnie ku górze, proste jak ostrze. Zmiana porządku; śnieżyce zakwitają nie w marcu, ale już w lutym.

Nie lubię myśleć, wcale tego nie lubię robić. Wolałabym zająć czymś głowę, sprzątać czy układać w szafie. Tylko że wcale nie ma tu już nic do robienia. Przedmioty założyły stowarzyszenia i wykluczyły mnie z tej komuny. Robią teraz, co chcą, na czym im zawsze najbardziej zależało — popadają w chaos.

Posiedziałam przy Petrze, uczesałam mu włosy. Wygładziłam fałdy na jego ubraniu. Zdjęłam białą nitkę z jego koszuli. Odmierzam na niej odległości z opuszek palców, zabawa młodych dziewcząt, a, be, ce, de… w ten sposób dowiem się pierwszej litery jego kochanki. Jak miała na imię panna Stadnicka? Sekretarka w szkole. Czy nie Basia? Nitka jest za długa na „be". Wychodzi „ka". Więc jakaś Krysia albo Kazia.

Petro nie słucha. Wygląda majestatycznie. Znowu wydaje się duży i wysoki, wygląda tak, jak powinien — emerytowany dyrektor szkoły,

członek partii, skrzypek w orkiestrze miejskiej, skarbnik Ochotniczej Straży Pożarnej. Nie wymieniałabym tego wszystkiego, gdyby to nie było konieczne. Kiedyś Petra było dużo, teraz jest mało, ot, kształt na łóżku. Ale nie ma innego wyjścia — im jestem starsza, tym wszystko za mną jest coraz większe, a coraz mniej dzieje się teraz.

Mamy mnóstwo czasu. Przyszłość znika niezauważenie, wietrzeje, topi się. Niepotrzebne są już ani listy zakupów, ani programy telewizyjne na następny tydzień, ani plany wysiewów moich kwiatów i jego warzyw. Kalendarzem można by rano rozpalić w kuchni. Wychodzi słońce i potwierdza całą prawdę: zgrzytnęło i zatrzymało się. Wcale mnie to nie niepokoi. Po tylu latach śpiewania w cerkwi nie potrzebuję nieba. To mi wystarczyło. Byłoby kłopotem, gdyby trzeba gdzieś jeszcze wędrować. Znowu musiałabym się przeprowadzać, znowu zasiedlać nowe miejsce, tęsknić. W moim wieku! Ale gdy nie będzie nieba, nie będzie i Petra. Odwracam się do okna i patrzę w biel. Białe nic powoli gasi dzień. Petro byłby jedynym uzasadnieniem dla istnienia nieba. I Lalka.

Siedzą teraz oboje na długich drewnianych ławach wśród samych świętych, tak samo jak to opowiadają ikony.

Potem, kiedy wychodzę na zewnątrz deptać trzy poziome linie, myślę całymi zdaniami, że Petro umarł. Umarł. Umarł. I odkrywam, że to niewiele znaczy. Zmieniło się na tyle, że on leży cały czas na werandzie, a nie snuje się po domu, nie stęka przy podnoszeniu wiadra, nie klnie pod nosem, gdy nie może trafić śrubokrętem w główkę śrubki. Z jakichś powodów przedłużył sobie poobiednią drzemkę. Mogłabym się nawet złościć na niego, że zostawił wszystko na mojej starej, siwej głowie.

Linie udały się, ale nie mam już siły. Zatrzymuję się w pół kroku, w pół linii, przecinając w poprzek stok.

Moje pierwsze dziecko umarło w pociągu, podczas dwutygodniowej, zimowej podróży. To była Lalka. Przydzielono nam lekarza, ale co on mógł. Teraz dałoby się antybiotyk i po krzyku. Wtedy lekarz niewiele umiał zrobić. Salicylany i zimne okłady na gorączkę. Chciałam wieźć dalej ze sobą moją Lalkę, ale nie pozwolili. Musieliśmy ją pochować w jakimś gównianym Kluczborku. Takie zostawialiśmy ślady po sobie. Na powitanie w tym kraju straciłam dziecko. Miałabym z niej prawdziwe wnuki. Każdy mijany człowiek na ulicy mógłby być moim wnukiem. Miałam w sobie setki

jajeczek, zawiązków ludzi. Nosiłam je w brzuchu jak ikrę — stłoczony mały tłumek istot czekających w kolejce do życia. Takie są nieba na ikonach: w ostatnich rzędach, daleko ponad świętymi, ponad aniołami kłębią się dusze. Jest ich tak wiele, że się rozmazują. Przy samej krawędzi obrazu trudno powiedzieć już, czy to jeszcze twarzyczki, czy faktura farby. Ty ją zabiłeś, Petro, bo gdybyśmy zostali, mówiłabym teraz do wnuków. Daj mi święty spokój, leż sobie, nieżywy.

Ale masz drugą córkę, śnieży Petro jak głos z telewizora. No dobrze, niech ci będzie. Wstaję, żeby się ubrać i wyjść, ale on mnie zatrzymuje. Tak, mam drugą córkę. Przekazałam tej drugiej część moich zbiorów. Powieliły się w niej, poniosła dalej w świat moje jajeczka — które teraz niesie jej córka. Może za jakiś czas urodzi chłopca podobnego do Petra, ale nie będzie wiedziała, skąd się taki wziął. Nikt nie rozpozna Petra.

Zniknęliśmy jednego dnia. Wszyscy stamtąd. Do naszych domów wprowadzili się obcy ludzie. Wsiedliśmy do nie ogrzewanych, powolnych pociągów. Towarowych, bo byliśmy towarem. Po drodze odbywało się gubienie dzieci, fotografii i dokumentów, tak że nie da się już odtworzyć genealogicznych drzew. Są zaledwie siewki, małe krzaczki. Ten przepadł, ten nie wrócił, ten wyjechał do Stanów, tamtego ktoś zastrzelił, gdy wracał z wojny, też pod jakimś Kluczborkiem czy Kaliszem; tamtych zabili sąsiedzi i spaliły się ich wszystkie papiery, dlatego teraz nie wiadomo, kim byli. Tamtych wywieźli, wyrzucili, wygnali. A ci, którzy przeżyli, siedzą teraz cicho przywarci do ziemi, czujni. Co kogo obchodzi moje dziecko.

Przyczyny są zawsze obiektywne, zewnętrzne, polityczne, występują w splotach. Zbierają się faceci, mają duże brzuchy i małe kutasiki, widzą świat w ogółach, na mapach; składa się dla nich z linii i plam, przesuwają po tych liniach palce i mówią: „Jedni idą na prawo, drudzy na lewo, ci zostają, a ci jadą przed siebie". Ci tam, a ci tu. Tych rozdzielić, tych wysiedlić, a tych zostawić.

A może to jest jeszcze bardziej skomplikowane — może ludzi ogarnia niepokój podróży, choć sami o tym nie wiedzą. Nie mogą spać, a kiedy już uda im się zmrużyć oczy, śnią im się obce kraje, dalekie stepy, cudaczne, nie swoje miasta; śni im się droga, która przecina horyzont na pół. Nosi ich, szczury lądowe chcą nagle wypływać na morza, śnią o wielkich górach

i przekraczaniu rzek. A ponieważ nie ma żadnego racjonalnego powodu, żeby wyruszyć z domu, wynajdują zewnętrzne powody, fałszują dane, czytają w gazetach między wierszami i wywołują wojny. Polityka to narzędzie tego pragnienia, które tkwi w genach całych pokoleń. To bardzo możliwe. Kiedyś był los, teraz są geny.

Tam było płasko i jasno. Słońce odbijało się od pszenicznych pól i raziło w twarz. Ludzie chodzili ze zmrużonymi oczami. Także rzeka była jasna, rozlana i tak wielka, że mieściła w sobie ogromne niebo, największe — nigdzie potem nie widziałam tak ogromnego nieba. Ziemia była gęsta i czarna, lepka. Trzymała się butów po deszczu, a zamieniona w kurz brudziła kołnierzyki na szaro. Drogi były proste i równe, nigdy w dół i w górę, jak tutaj. Wsie rozległe, a domy z gliny, niskie, z chłodną sienią i kryte strzechami. Były leszcze w stawach i antonówki na jabłoniach. Mieliśmy małe krowy i małe psy. Nawet wiadra na mleko były mniejsze, nawet koryta dla zwierząt. Łóżka były krótkie, tak że dotykało się piętami drewnianego rantu. Świat był tam poręczniejszy, pasował do dłoni jak dobrze wystrugany trzonek noża. Każda rzecz była dopasowana do ciała — bezpieczne znoszone ubranie, swojskie i niezmienne. Wszyscy ludzie, żyjący przed nami musieli być kroplami, które wyżłobiły dla nas w skale wygodną kołyskę. Głosy ze świata docierały tam przez zasłony mgieł, plątały się po drodze. Rozbijały na różne języki.

Jak to się stało, że trzeba było stamtąd odejść? Wszystko jest jasne. Należało ruszyć w drogę, ponieważ ani się obejrzeliśmy, a krople zrobiły w skale dziurę.

Co za bzdury opowiadasz, śnieży znowu Petro. Głaszczę go uspokajająco po ręce. „Którejś nocy — mówi on — granica ruszyła z miejsca i odnalazła się zupełnie gdzie indziej. I okazało się, że jesteśmy po niewłaściwej stronie. A ponieważ człowiek nie może żyć bez granic, musieliśmy wyruszyć na jej poszukiwanie. Granice są potrzebne ludziom jak powietrze. Bez granic, każdego rodzaju, nie wiedzielibyśmy, jak żyć; ani kim jesteśmy, ani co mamy do zrobienia. Granice są po to, aby nam pokazać, że istnieją rzeczy, których nie można przekroczyć". Och, Petro, ty znowu swoje.

Nastawiam czajnik, zapalam światła w całym domu, bo zapadły już ciemności, nawet nie wiem kiedy. Zawsze tak jest zimą. Mrugniesz, a tu już jest ciemno. Zapaliłam światło także na werandzie. Myślę, że jak się trochę rozgrzeję, poczytam mu z kalendarza. „20 maja, niedziela, Bernardyna. Pierwszym warunkiem szczęścia jest rozsądek. Sofokles".

W sam raz nadaje się na skrzynię.

Pakowałam niciane firanki i pościel. Makatki i święte obrazki. Kilim, garnki, buty, nasiona kwiatów, przyrządy do cerowania, pudełko po czekoladkach ze zdjęciami, puszkę z guzikami, lustro z toaletki, samą toaletkę, gromnicę ślubną, bombki na choinkę, deskę do krojenia chleba oraz noże i chochlę do barszczu, i barometr — prezent ślubny, i stojak pod asparagus, i asparagus owinięty papierem, i dziecinny nocnik, i drewnianą małą apteczkę, bo Petro miał na jej punkcie hopla — musiało być tam wszystko, zarówno gencjana, jak i bandaż, węgiel i proszki przeciwbólowe.

Ciotka Marynka przyszła mi pomóc, ale w sumie tylko płakała. Siedziała przy stole podparta na łokciu i płakała, a jej bratowa, Olga, z synami stali i patrzyli. Orest pożegnał się z Petrem, ale Myron nie. Splunął za nami, gdy ruszyły furmanki.

Niepokoi mnie, że to samo możemy widzieć inaczej. Że każdy ma w oczach jakiś filtr i ten filtr powoduje, iż widzi się zupełnie inne rzeczy, patrząc na to samo. To jak uzgodnić przeszłość? Gdyby nawet dać spokój przeszłości, uznać, że ona jest pogmatwana i nie da się jej poukładać w jedną wspólną opowieść, to co zrobić z teraźniejszością? Ona też podlega prawu filtrów. Patrzymy na to samo, a widzimy co innego. Dopiero gazety jutro podadzą, co widzieliśmy naprawdę. Napiszą w książkach, co znaczyło to pakowanie i żegnanie się. Myśmy tego nie wiedzieli. Gazety i telewizja ustalą dla nas, co znaczy każdy nasz ruch i każda decyzja. Posiadają patent na ustanawianie porządku.

Miałam po matce prześlik, niewiele po niej zostało. Był stary, drewno rozeschło się i popękało w szczeliny, których krawędzie ze starości zatarły się i wyglądały jak wyrzeźbiony starannie wzór. Brałam go w dwie ręce i patrzyłam przez jego otwór. I na co spojrzałam, wydawało mi się wyjątkowe — ładniejsze, niezwykłe, jak obrazek w ramkach; detale,

wyciągnięte okiem przęślika z masy szczegółów, mogłyby istnieć niezależnie: pojedynczy włochaty liść z geranium, gwóźdź wbity w ścianę i jasne miejsce po obrazie, ptaszek wyszyty krzyżykowym ściegiem na ręczniku. Przęślik robił portrety przedmiotom, sprawiał, że stawały się ważne. Nie trzeba było ich tłumaczyć, zastanawiać się, po co są, do czego służą. Były, jakie były. Najczęściej piękne. Na patrzeniu przez dziurę przęślika mogłabym spędzić resztę życia. Ale przęślik też przepadł.

Rano idę do obórki po Teklę. Prowadzę ją przez sień do kuchni. Teraz, gdy Petro całe dnie drzemie na werandzie, nie będzie mu już przeszkadzała.

Wchodzi niepewnie, zawstydzona, nieśmiała. Staje koło ciepłego pieca i patrzy na mnie swoimi prostokątnymi czarcimi źrenicami, ironicznie, jak zwykle. Jest panną z dalekiego kraju, w każdym jej ruchu czuć, że ma swoje poczucie godności. Rzuca okiem w otwarte drzwi werandy, ale nic po sobie nie pokazuje.

— Ty diablico — mówię. — Żebyś nie zapaskudziła podłogi, bo nie mam siły po tobie sprzątać. Mało mam pracy z Petrem? — Patrzy na mnie tak, jakby nigdy w życiu nie zrobiła kupy. Kiedy w przypływie czułości przytulam się do niej, gryzie lekko koniuszek mojego ucha, może chce mi coś szepnąć. Chce mnie zapytać: „Gdzie Petro, samico? Co zrobiłaś ze swoim samcem?”.

Rzucam jej na podłogę trochę siana i suchy, pokruszony chleb. Je z wdziękiem, wcale nie łapczywie. Dobrze wychowana koza. Potem kładzie się przy piecu i leży jak pies, drapiąc się od niechcenia długim rogiem po karku. Jej wzrok jest zawsze ironicznie obojętny — nawet gdyby oglądała apokalipsę, byłby identyczny. Takie oczy powinno się malować w trójkątach Opatrzności. Byłoby i ładniej, i prawdziwiej.

Teklę mam od kilku lat, od kiedy Petro już na tyle osłabł, że nie protestował. Przedtem kupowałam mleko. Mówił, że to wstyd mieć kozę, że to najgorsza bieda z nędzą, lecz on chyba w ogóle nie lubił zwierząt. Psa, kiedy jeszcze go mieliśmy, tylko karmił, ale już nigdy nie dotykał. Ja musiałam oddawać psu należne mu pieszczoty, musiałam odprawiać całe to psie gadanie, gadanie do psa. To by była następna różnica między mną

a Petrem: on był roślinny, a ja zwierzęca. A pierwsza: że on był stary, a ja młoda.

T

Ubieram się ciepło i wychodzę przed dom. Świeci lękliwe zimowe słońce. Sunę na stok, brnę przez śnieg, żeby popatrzeć na wieś. Widzę autobus, ale on zaraz znika. Potem robi się pusto, pewnie dlatego, że dzisiaj jest mróz. Ludzie siedzą w domach. Dymy z kominów obwieszczają tę zimową prawdę, że najlepiej jest rozgościć się we własnym domu, podkładać pod kuchnię, oglądać telewizor, a wieczorem otworzyć butelkę wódki i nie móc dojść do zgody z sąsiadem. Udaje mi się wydeptać tylko jedną prostą linię, potem marzną mi ręce i z zimna nie czuję warg. Petro, jemu to udało się w końcu oswoić całe zimno świata. Leży tam sobie i patrzy w głąb własnych oczu. Ignoruje zimno i mróz. Nabieram lodowatego powietrza w płuca i chcę krzyknąć, tak jak się śpiewa — głośno i z całych sił. Ale wydaję z siebie tylko słaby pisk. Płuca trzepoczą się we mnie z wysiłku jak dwie oklapłe chorągiewki. Wracam, żeby się ogrzać i z zaśnieżonego ekranu rozumiem tyle, że mówią tam znowu o pierdołach.

Ze świętami było u nas zawsze tak samo. Najpierw obchodziliśmy jedne, potem drugie. Dwa razy robiłam kutię. Dwa razy piekłam makowiec i sernik. Raz kładłam siano pod obrus, raz rzucałam na podłogę. Szłam z Petrem na jego pasterkę i dołączałam do jego śpiewu. Na początku nie znałam katolickich słów kolęd, ale melodia często bywała taka sama. Wydobywałam z siebie mój drugi głos. W śpiewaniu to jest właśnie najprzyjemniejsze — śpiewać tylko z innymi, nigdy samemu, słyszeć, jak głosy splatają się, ocierają o siebie, dotykają raz szorstko, raz gładko, zbliżają się do siebie i opuszczają. W kościele Petra nie było takiego śpiewu, nie było zabawy. Każdy śpiewał sobie, nawet ci w kościelnym chórze śpiewali sami, tylko jednocześnie. Jego kościół był bardziej ułożony, porządny, delikatny — jak wykwintna mereżka na białym obrusie — niby jest haft, ale go nie widać, trzeba się dopiero wpatrzeć, żeby dojrzeć wzór. Pachniało perfumami kobiet i naftaliną, w której całe lato leżały futra

i kożuchy. Ludzie, tak mi się wydaje, częściej patrzyli na siebie niż w stronę ołtarza. Patrzyli w kark, w twarz, a kiedy próbowało się odeprzeć ten natarczywy wzrok, uciekali nim na czubek głowy, na malowidła, na rzeźby w nawach. Po mszy staliśmy jeszcze na zewnątrz i Petro kłaniał się i odkłaniał. Kobiety całował w ręce. Druga część wsi spała.

Ale w zwykłe niedziele było inaczej. Jedliśmy śniadanie (jajecznica i chleb z masłem), a potem ubierałam małą Lalkę, wyciągałam z szafy nasze odświętne ubrania, malowałam się trochę, niewiele, bo Petro tego nie lubił, kropiłam się wodą kwiatową, którą mi kupował — zmieszany zapach fiołków i jaśminu — i wychodziliśmy przed dom. Potem brałam Lalkę i ruszałam w prawo, do cerkwi, a on sam, wysoki i prosty, utykając, na lewo, do kościoła. Tak to się między nami ustaliło i inni robili tak samo. Spotykaliśmy się na obiedzie.

W cerkwi śpiewałam już całym ciałem. Byli tam wszyscy, których znałam, ani jednej obcej twarzy. Ale przede wszystkim znałam ich głosy — wysoki i jasny głos ciotki Marynki, wibrujący gdzieś pod sufitem jak trele ptaka. I niskie, burkliwe głosy Myrona i jego braci. Piękny, czysty i wysoki zaśpiew diakona, który musiał trafiać do samego nieba, tak był lśniący, tak krystaliczny. Z boku wisiała ikona świętej Paraskewii, i to mnie zawsze wzruszało do łez: że istnieje ktoś o tym samym imieniu, a na dodatek nie jest człowiekiem, lecz samą świętością w karminowych szatach, więc wydawało mi się, że i ja mogę być dobra i łagodna, że może we mnie zamieszkać radosna tajemnica; i wskaże mnie z nieba wielki palec: oto jest Parka, Paraskewia, naczynie, w które wlewa się moja łaska, naczynie, na którego dnie leży piękna perła, a tej perły nie ima się żaden brud, żadna cząsteczka kurzu, bo Parka jest piękna i czysta. Mam w zaświatach niebieskich cudowną, karminową, starszą odwieczną siostrę. Jesteśmy związane ze sobą na zawsze, siedzimy na jednej huśtawce, z której oglądamy świat. Balansujemy na niej, dwie dziewczynki — jedna święta, druga zwyczajna. Naszą matką jest ptak. Mat'-Ptica.

Głęboka czerwień jej sukni na ikonie, na złoconych ścianach cerkwi, niepostrzeżenie także zamieniała się w głos i dołączała do naszego chóru. To ja miałam głos świętej Paraskewii Piatnicy. Śpiewałam jej bladymi, wąskimi ustami. A wszyscy przyłączali się, i mroczne, wibrujące głosy mężczyzn, i dzwoneczki dzieci. Prawie je widziałam — strzelały do nieba

i splątywały się w jedno, niczym pnie blisko rosnących drzew, dębów i brzóz. Budowle, jakie z tego powstawały, przypominały kościoły, cerkwie i świątynie zbudowane z drewnianych ażurów. A my byliśmy w środku tych łagodnych kopuł, w cieniu strzelistych stromych dachów.

Jestem Paraskewia Piatnica, męczennica. Porwał mnie Kościej Nieśmiertelny, zabrał z domu ciotek i przetoczył przez pół świata. Poświęcił moju dytynu, dał je na pożarcie pociągom. Więził mnie w miastach i na wsiach, a w końcu schował na tij sklanij hori. Win pobuduwaw zahorożu z tyczok kwasoli ta zahoniw pomidoriw. Postawyw pastky na smilczakiw, a koły wtratyw syły, lih na werandi i zasnuw. Joho pokryw inij. Teper mene stereże snih.

R

Zmiatam śmieci na kupki. Robię ich trzy, potem kucam i sprawdzam, co tam też się nazbierało. Igły z choinki, kurz w postaci sfilcowanego puchu, ziarnka ryżu, kawałek wypalonej zapałki, zakrętka od butelki, ogonek jabłka, srebrny papierek, gumka recepturka i inne rzeczy trudne do nazwania. Zmiatam wszystko na śmietniczkę i wrzucam ten efekt łuszczenia się świata do pieca.

Zawsze to sprawiało mi wielką przyjemność — wynajdowanie różnic między nami. Między mną a Petrem. Musiałam się upewniać i ćwiczyć w pamiętaniu, że powstaliśmy z innego prochu i w inny proch się obrócimy.

Mieliśmy oczy innego kalibru, jak broń. On widział tylko rzeczy duże, solidne, znaczące, skomplikowane, intrygujące. Ja — małe i niepozorne, proste, oczywiste, umykające uwadze, nieważne i drobniutkie.

On patrzył na całości, ja — na szczególiki. On widział pieniądze, ja — drobne monety noszone w kieszeni. On — pory roku. Ja — poszczególne dni. On patrzył w okna, ja drapałam na szybach czarne kropki — musze odchody. On mówił: marynarka, a ja mówiłam: guziki, splot nitek, przepis prania przyszyty pod kołnierzem. On widział sprzątanie, a ja widziałam śmieci pełne kłębków kurzu, drzazg z podłogi, muszych trucheł i piasku. On patrzył na las, a ja na pojedyncze świerki i szybko rosnące brzózki, i krzaki jagód. On widział całe lata, ja tylko wieczory. On traktaty, wojny i pokoje, a ja — twarze ludzi, omijanie się na ulicy, odwracanie wzroku. Czy coś wynika z takiej inności?

Cenił zawsze tylko to, co użyteczne. Myślę, że w gruncie rzeczy go to męczyło. Teraz spotkało go błogosławieństwo bycia całkowicie bezużytecznym. Petro, jesteś martwy i na nic się już nie przydasz.

Kiedy ja palę w kuchni, a nie Petro, ogień dziwnie szybko wygasa, popiół przesypuje się przez kratki i spada do popielnika. Natychmiast robi się zimno. Wstaję rano; wodę w wiadrze, które stoi w sieni, pokrywa cieniutka warstwa lodu. Palcem robię w nim dziurkę. Wychodzę po drewno do szopy i widzę słońce wspinające się po górach. Śnieg czerwienieje, a potem gaśnie na moich oczach. Wieś na dole umoczona we mgle, jak zaczarowana. Myślę, że skoro wyszłam, skoro już zakutałam się w te serdaki i kurtki, to pójdę dalej — może uda mi się wydeptać następną kreskę. Hej, hej, patrzcie tutaj, doliniarze! Podnieście głowy! Widzę ich, tych tępaków, jak brodzą, jak lunatykują w tej mgle, jak gubią drogę, jak wchodzą do nie swoich domów i dobierają się do cudzych żon i mężów, strącając szklanki ze stołu i przewracając nocniki. W brzuchu swędzi mnie śmiech. Owijam się kożuchem Petra i sunę w śniegu prostą linią w poprzek zbocza. Tup, tup, tup, tam i z powrotem. Praca idzie mi szybko, zostawiam za sobą prostą linię.

Gdy mgła opadnie, gdy się obudzą, i jeżeli przyjdzie im na myśl podnieść głowę i popatrzeć w górę, zobaczą tę kreskę. Ale jeszcze się nie zorientują. To głupcy, wszyscy bez wyjątku. Nie lubię ich i oni mnie też. Pieprzona zbieranina z całego świata, bezdomni tułacze. Cholerni górale i ci wałkonie z centrali, francuziki zarozumialcy.

Przyglądał mi się miesiącami, a potem poprosił ciotkę Marynkę o moją rękę. Zatrzymał mnie w biegu. Ciotka powiedziała: „wyjdź za niego i problem się rozwiąże". Bo ona wiedziała. Mówiła: „wejdź na drzewo i skacz. Pij napar z ruty. Jak nie, pójdziesz do babki. Bóg ci go zsyła, to dobra partia".

Wyjść za niego to byłoby śmieszne — widziałam go jako starego mężczyznę. Nie chciałam go. Mieszkał w dwóch pokojach nad szkołą, w której uczył. Schodził codziennie rano na podwórze i zagarniał dzieci do środka, jak kwoka. Pan od dzieci. Mnie się podobali inni mężczyźni — na motorach i koniach. A on był od dzieci. Bały się go. Posłusznie znikały w drzwiach. Teraz myślę, że bały się jego krzaczastych brwi, tyczkowatej chudości i tego, jak wymawiał najprostsze słowa; brzmiały obco.

W drugiej części szkoły mieszkała Stadnicka, stara panna, też nauczycielka. Była w wieku nieokreślonym, ale pasowaliby do siebie

ze względu na skłonność do starości, dwa truchła. Właśnie oni byliby idealni dla siebie.

Nosiła wąskie spódnice i męskie koszule z krawatem. Jej obcasy stukały po wyłożonym cegłami podwórku szkoły. Malowała usta tak, żeby wyglądały na mniejsze. Miała zawsze starannie ułożone włosy — nauszniki z warkoczy. Uczyła polskiego i śpiewu — w ciepłe dni słychać było jej piskliwy, słaby głos przez otwarte okna szkoły:

Wolności słońce pieści lazur,.
Łódź nasza płynie w świata dal.

Leciało to przez wieś tęsknie. Nigdy nie widziałam morza — i żyję. Nie wiem, co to lazur. Znam morze tylko z tej piosenki i z telewizji.

Staję przed lustrem i szczypię się w policzki, żeby żywiej krążyła w nich krew. Chcę sobie przypomnieć, jak wyglądałam wtedy, gdy Petro po raz pierwszy zaprosił mnie do miasteczka na randkę, po tym jak ciotka Marynka powiedziała za mnie „tak". Więc miałam ciemne włosy spięte w węzeł na karku, miałam ciemne brwi i smagłą twarz. Cyganicha. Piersi — zawsze za małe, potem, tutaj, za czasów Karabinowicza, wkładałam do biustonosza watę. Byłam cienka w talii, a pod nią miałam płaski brzuch i dość masywne uda, mocne, napięte. Co się z nimi teraz stało? Podnoszę spódnicę i widzę ledwie obciągnięte skórą kości. Cienkie pęciny — to pamiętam, na to zawsze Petro zwracał uwagę i nie pozwalał kupować pantofli z paskiem. Mówił, że pogrubiają kostki. I między nogami miałam zupełnie inaczej — wargi były pełne, nabrzmiałe, soczyste. Teraz, gdy się podmywam, czuję palcami nieprzyjemnie cienką skórę i zaraz potem jakieś tajemnicze wewnętrzne kości. Nie przypuszczałam, że tam mam kości. Tak wygląda starzenie się: żywa sprężysta tkanka twardnieje, człowiek zastyga od środka. Teraz to zwykła dziura do sikania, nic więcej. Także stopy są stopami innego człowieka, trudno byłoby nawet powiedzieć, czy należą do kobiety, czy do mężczyzny. Całe to zamieszanie z płciami rozmywa się z czasem. Stare kobiety i starzy mężczyźni upodobniają się do siebie.

Gdy patrzyłam na Petra tej zimy, miałam czasem wrażenie, że patrzę na siebie. Coś nas wreszcie do siebie zbliżyło — starość. Codziennie rano zmniejszaliśmy się oboje. Ostatnio z trudem sięgaliśmy stopami podłogi. Wstydziłam się tego, że macham nogami w powietrzu, jak dziecko, jak mała dziewczynka. Nic nie mówiłam. On zawsze był wysoki i chwalił się tym. Gdyby to tak trwało i trwało latami, gdyby śmierć mogła się spóźniać jak listonosz z emeryturą, dokonywałoby się na nas coś odwrotnego do wzrostu, jakiś proces w drugą stronę. W końcu, po latach, bylibyśmy wielkości lalek. Musielibyśmy obawiać się myszy, których tu pełno. Ach, może i nawet — gdyby śmierć w ogóle przestała istnieć, powpadalibyśmy jak chlebowe okruchy w szpary między deskami. Ci z dołu znaleźliby tylko pusty dom. Ale by szeptali, ależ byłoby domysłów. Starzy zniknęli, przepadli jak kamień w wodę. Kto teraz weźmie po nich dom? Czy ich córka żyje, czy przyjedzie z Warszawy? Szperaliby po szafkach. Otworzyliby wieko skrzyni i czytaliby zapiski Petra. Dowiedzieliby się wszystkiego: 2 kwietnia 1987 roku został wysiany seler, a 14 — pietruszka.

Powinni być parą: Petro i ta Stadnicka. On nauczyciel i ona nauczycielka. Podzielą się klasami. Wspólnie wpiszą do dzienników stopnie. Zgodnie ułożą podział godzin. Połączą swoje pokoje na piętrze szkoły i nawet jeżeli ona jest już za stara na dzieci, to będą przecież mieli dzieci całego miasteczka. Stadnicką potem zabrali ruscy i, jak wielu innych, przepadła.

Mówił o sobie: Piotr. Wymawiał to imię z miękka, przesadzając z polszczyzną, więc brzmiało to jak „Pjotr”. Tak mi się przedstawił tego dnia, gdy pojechaliśmy do miasta koleją. Szliśmy drogą od stacji, leciał puch z topoli, słońce lśniło na dachach i bruku, który od tego blasku wyglądał jak mokry, jakby w nocy padał deszcz. Podobało mi się wszystko. Miałam kretonową sukienkę w kwiaty, szytą ze skosu (jeszcze w nocy ciotka Marynka wykańczała dziurki), która lgnęła do moich ud. Miałam małą torebkę, a w niej grzebyk, lusterko i chusteczkę do nosa. Miałam skórzane brązowe sandałki na korkowym koturnie. A on miał letnią marynarkę i ciemne spodnie z flaneli, i tę marynarkę niósł przerzuconą przez ramię. Mężczyźni oglądali się za mną.

Jadłam lody. Kremowa masa w dwóch złożonych waflach. Nabierana prosto z termosów łyżką. Lody topnieją i spływają po ręce. Trzeba się zginać wpół, żeby nie ubrudzić sukienki. Jem jeden za drugim, aż robi mi się zimno i mam lepkie dłonie. Podaje mi swoją chustkę.

Nie ma wyjścia, napar z ruty nie pomógł.

Ślub odbył się w katolickim kościele, ale przyszedł też i pop. Przedtem co wieczór pod moim domem widziałam Myrona, opierał się łokciem o płot i żuł źdźbło trawy. Stał tak godzinami, aż ścierał go mrok jak plamę. Umykałam przed jego wzrokiem. Miałam przed oczami to, że między przednimi zębami miał przerwę, i to jest jedyne, co o nim pamiętam.

Kiedy pierwszej nocy leżeliśmy koło siebie, Petro nic nie mówił, ale cała wilgotna, letnia ciemność nabrzmiała pytaniem, więc tylko powiedziałam: „Myron". Potem urodziła się Leokadia, Lalka.

We wrześniu w szkole została tylko Stadnicka. Petro w połowie sierpnia szedł na miejsce zbiórki z małą walizką. Mówiłam: „idź już, idź", ale on siedział na ławce przed domem i nie umiał odejść od dziecka, nie zdejmował jej z kolan, tulił Lalkę do siebie, wąchał ją; domyślałam się, że płacze i jego łzy spływają dziecku po szyi za kaftanik. Plecy miał zgięte w pałąk. Walizka stała przy nodze jak pies, który tylko czeka na znak, żeby rzucić się na polowanie, bo już czuje w powietrzu krew.

Wrócił jednak po kilku miesiącach, prawie tego samego dnia, którego bez przerwy jechały na zachód zakurzone ciężarówki. Miał gorączkę, kaszlał, nie wiem, czy z przeziębienia, czy przygnębienia, czy od wszechobecnego kurzu. Na nodze czerniał stary bandaż, a pod nim paskudna rana zszyta byle jak w polowym szpitalu. Szybko, bez słowa, zdejmowaliśmy z niego mundur. Cuchnął, widać było, że nie mył się przez ten miesiąc. Schudł. Zwinęłam mundur w ciasne rolki i wcisnęłam w stodółce między belki. Zdjęłam znad łóżka portret Piłsudskiego, została jaśniejsza plama, i powiesiłam na tym miejscu ikonę.

— Petro, dlaczego nie piszesz na papierze? — pyta go ciotka Marynka.

— A widziałaś, jak papier płonie? — odpowiada.

Więc pisał na spodniej stronie wieka. Najpierw daty urodzin i nazwiska rodziców, dziadków. Potem odnotowywał tam, że była burza albo że spadł grad. Jeszcze później kopiowym ołówkiem robił listę tego, co zostawiamy — z dokumentów spisał numery działek gruntu, który kupił przed wojną. W rubryce „ruchomości", po lewej stronie, tuż przy rancie wieka, umieścił: podwójne łóżko, serwantkę, kredens, stół i sześć krzeseł, magiel ręczny, biurko dębowe. Jego pismo też uległo przemianom, na wieku jest równe i strzeliste — porządne pismo nauczyciela; dopiero potem staje się nieporadne i chwiejne, zwłaszcza tam, gdzie pisał długopisem.

Czerwiec pięćdziesiąt dziewięć — inwazja ślimaków. Sierpień sześćdziesiąt siedem — ćmy i osy. W lutym osiemdziesiątego czwartego — śnieżyczki. Wcześnie, bo w osiemdziesiątym szóstym zakwitły dopiero pod koniec marca. Wieko zapisywał do połowy pięćdziesiątych lat, na tyle starczyło miejsca. Potem smukłe litery wychodzą za krawędzie. Niewiele jest dat z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych — wtedy był bardzo zajęty, miał na głowie szkołę i mnie. Zmarnowałam ci życie, Petro.

Rok sześćdziesiąty piąty zaczyna się już na bocznej ścianie, a daty dotyczą już ukochanej córki: „30 VII 64 — wyjazd do szkoły", „5 V 68 — matura". Przepisywał całe zdania. Skąd je brał? — nie wiem, może z mądrości kalendarzy, a może je sam wymyślał. Niektóre z tych krzywych zdań są dziwaczne: „Ludzkość kroczy naprzód, jednak człowiek pozostaje ten sam. J. W. Goethe"; „Nic się nie da zrobić, więc niech będzie, jak jest"; „Dzieci dostrzegają tylko wyolbrzymione szczegóły, nie rozumieją tego, co widzą". Pismo rozprzestrzenia się jak pleśń, już zajmuje dno i drugą ścianę. W końcu Petro wychodzi z wnętrza skrzyni na jej wierzch zwięzłą informacją: „Świata jest za dużo".

Czego ci było za dużo, Petro? Innym przecież jest odwrotnie — wszystkiego za mało.

O

Co siedem lat powinny się odbywać ponowne zaślubiny, ponieważ — jak mówiła ciotka Marynka.

— co siedem lat człowiek staje się kimś innym. Należałoby więc odnawiać wszelkie umowy, zobowiązania, hipoteki, dane w rejestrach, dowody osobiste. Wszelkie dokumenty.

Jestem już jedenasta. Petro — trzynasty.

W moich snach Petro dwoi się, troi, raz jest młody, raz stary. Raz na mnie krzyczy, raz się do mnie tuli. Dziś w moim śnie pije gorącą herbatę ze swojego kubka z brzydkiego fajansu. Herbata paruje i krople pary osadzają mu się na brwiach. Potem zamarzają i zmieniają się w sople lodu. Nie może otworzyć oczu. Idzie do mnie jak ślepiec i prosi, żebym mu je zdjęła. Bezradnie rozglądam się po kuchni w poszukiwaniu specjalnych narzędzi. On mówi „lodniak", czy coś takiego, i wskazuje ręką szufladę. Znaczy to, że istnieje narzędzie do zdejmowania sopli z oczu i on je ma. Jest przygotowany na wszystko.

Istnieje jeszcze jedna różnica między Petrem a mną i z satysfakcją zapisuję ją sobie w głowie. Na początku raczej poszukuje się podobieństw. Całe dnie spędza się, pytając o wszystko i odkrywając, że „ja też", że „u mnie jest tak samo". Ale koniec jest inny. Podobieństwa były niewinnym oszustwem.

On się nie umiał bawić; może właśnie dlatego wydał mi się tak stary, choć przecież wtedy, gdy go poznałam, nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat. Nawet gdy tańczył na własnym weselu, wykonywał zadanie. Tak, taniec sprawiał mu przyjemność, bo ma on sprawiać przyjemność. Tyle że była ona automatyczna. Gdy robił coś, to robił właśnie to, nie coś innego. Gdy malował płot, to malował płot. Gdy poprawiał klasówki, poprawiał klasówki. Gdy utykał, to cały był kulawy, nikt nie mógł mieć wątpliwości. Gdy milczał, to był jak niemowa. To komiczne — być cały czas w jednym miejscu, całe miejsce w jednym czasie. Przywiązać się do siebie jak

bezdomny pies. Nie przesuwać się ani o milimetr z tego, w czym się tkwi, nie wyglądać na zewnątrz każdej chwili.

Ja — odwrotnie, nie jestem w żadnym stałym miejscu, nikt mnie nie złapie. Bawię się cały czas. Bawię się, zamiatając śmieci i obierając ziemniaki, udaję, że to zabawa. Bawię się, że Petro umarł i leży teraz zamarznięty na werandzie, czekając lepszych czasów. Nic nie jest na poważnie. Bawię się, wydeptując na śniegu litery.

Ciotka Marynka mówiła, że codziennie tuż po zachodzie słońca cały świat na trzy minuty robi się niebieski. Wtedy, gdy pomyśli się życzenie i zobaczy świat na niebiesko, ono się spełni. To właśnie widzę teraz przez okno — świat jest niebieski. I odkrywam z ulgą, że nie mam żadnych życzeń.

Rosjanie po raz pierwszy pojawili się w nocy, ukryci w monotonnym hałasie ciężarówek. Petro biadolił z uchem przyciśniętym do radia.

Pierwsze dni były dniami szeptów. Ludzie tylko szeptali i szeptali. Szepty unosiły się nad wsią i szybowały jak dym z komina, nisko nad polami pszenicy. Potem zrobiło się cicho. Radia, to było pierwsze, co zabrali. Trzeba było siedzieć w domu i czekać. Robili jakieś listy, spisywali, organizowali. Za dnia jeździli wojskowym samochodem i wzniecali tumany żółtego, wrześniowego kurzu.

Petro stracił pracę. W nocy słychać było ich ze szkoły, gdzie zrobili sobie kwaterę — strzelali do ścian, do portretów Newtona i Kopernika.

Było już jasne, że będą wywozić Polaków. Dowiedziałam się tego od Myrona. Ale stwierdzając to, powiedział w rzeczywistości co innego. Wyraził się: „Dobrze ci tak. Wyszłaś za mąż za starca, a teraz pojedziesz z nim na białe niedźwiedzie". A może tę wiadomość przyniosła ciotka Marynka. Wtedy w rzeczywistości mówiła: „Zrób coś. Jeśli dasz się stąd ruszyć, zginiecie". Na wszelki wypadek, gdy Petra nie było w domu, zdjęłam ikonę ze ściany, a na jej miejsce powiesiłam wyciętą z gazety twarz Stalina.

Potem dokwaterowali nam parę cywilnych Rosjan. Byli lekarzami. Od tego dnia dzieliliśmy kuchnię, czego Petro nie mógł znieść. Siedział całe dnie na zaścielonym łóżku w pokoju i wychodził dopiero, kiedy tamci opuszczali kuchnię. Tak żeby ich nie widzieć. A przecież to byli mili ludzie.

Nie bardzośmy się rozumiały, ale ile to trzeba znać słów, żeby porozmawiać? Była ładna, z szeroką twarzą, o pełnych ustach, drobniutka jak łasiczka. Kiedyś, gdy rozmawiałyśmy o sukienkach, gdy macałyśmy materiały swoich spódnic, gdy dotykałyśmy watowanych ramion naszych bluzek, okazało się, że owa Luba nie nosi bielizny. W czasie wojny produkuje się działa i wyrzutnie, a nie bieliznę. Przy jakichś przebierankach, przy wzajemnym przymierzaniu swoich ciuszków, ujrzałam ze wstydem jej nagie pośladki i nieoczekiwanie jawne kudłate zwierzątko.

Majtki. Do tej pory nie wydawały się czymś istotnym, nie można było brać ich na poważnie. A jednak okazało się, że mogliśmy żyć dzięki majtkom. Na mojej maszynie, którą dostałam od rodziny Petra jako prezent ślubny, szyłam żonom oficerów majtki. Zrobiłam sobie papierowe wykroje i z kwiecistych perkali, gładkich i śliskich atłasików, z białej pościelowej bawełny szyłam dziesiątki majtek dziennie. Mąż Luby, Fiodor Iwanowicz, zabierał je zapakowane w szary papier, a potem przynosił pieniądze, spirytus, herbatę. Pierwszy raz w życiu pracowałam na siebie i na rodzinę. Udało nam się pojechać z Petrem do Truskawca i teraz ja go zaprosiłam na lody, spływały nam po rękach. Sklepy jeszcze nie opustoszały, więc kupiłam sobie piękne wiosenne pantofle i flakonik perfum. Flakonik, pusty, lecz wciąż z pamięcią tamtego zapachu, miałam jeszcze w Lewinie, co znaczy, że przebył ze mną pół świata i leżał spokojnie w toaletce, podczas gdy inne, ważniejsze przedmioty przepadły. Pękata buteleczka z czarną ebonitową zakrętką przetrwała, a moje dziecko nie.

Te majtki nas uśpiły. Myślałam, że majtkami załatwi się wszystko, że powodzenie związane z interesem majtkowym będzie trwało nadal i uchroni nas przed najgorszym. Krążyły wieści, że znikają całe rodziny, że nad ranem przyjeżdżają po nie ciężarówki i wywożą na wschód. W naszej wsi jeszcze nic takiego się nie stało, może dlatego że w szkole, tuż za płotem, była kwatera, może to prawda, że najciemniej jest pod latarnią. Najpierw przyglądałam się siedzibie diabła przez płot, udając, że robię coś w ogrodzie, że rozwieszam pranie na sznurku rozciągniętym między śliwkami. Patrzyłam, jak wbiegali po schodach i znikali w budynku, żeby po jakimś czasie wypaść z niego, w pośpiechu wsiąść do gazika i odjechać. Uczyłam się ich twarzy, zapamiętywałam szarże na ramionach. Byli pewni

siebie. Przychodzi mi teraz na myśl słowo „sen". Byli więc pewni siebie, jakby spali. Jakby to wszystko działo się w ich głowach, a oni, ci mężczyźni w wyblakłych, zapiętych ciasno pod szyję mundurach, znali w tym śnie wszystko od początku do końca. Dyktowali mi, co ma się zdarzyć. Byli uczestnikami gry, którą sami wymyślili.

A jeden z nich, ten najważniejszy, z gwiazdkami na ramionach, był rodem z koszmaru. Najpierw myślałam, że to są dwie osoby, dwóch oficerów o tym samym chodzie, ze sztuczną ręką obciągniętą czarną rękawiczką. Był kim innym, kiedy wchodził po schodach szkoły, i kim innym, kiedy wychodził. Dopiero potem, gdy zobaczyłam go z przodu i nasze spojrzenia na moment się spotkały, zrozumiałam prawdę: lewa strona jego twarzy była zeszpecona, martwa, ściągnięta bliznami jak jakimś grymasem bólu. I lewa jego ręka była drewniana. I lewa noga nie nadążała za prawą, ociągała się, zostawała w tyle. Więc gdy wchodził, widziałam jego prawą stronę — młodzieńczą twarz o jasnym oku, prostym, mocnym nosie i rękę unoszącą papierosa do ust. A gdy wychodził, był kłębkiem bólu, istotą, która jakimś cudem przetrwała koniec świata i — mimo wszystko — zdecydowała się żyć dalej.

Włożyłam swoją najlepszą kwiecistą sukienkę, pociągnęłam usta krwistoczerwoną pomadką i poszłam do szkoły. Nie wiedziałam, co zrobię ani co powiem. Zaczarować podwójnego człowieka, żeby dał nam spokój.

W ten sposób znalazłam się przed Jurijem Libermanem. On siedział, ja stałam. Na stole leżał pistolet; jego lufa mierzyła w kaflowy piec. Powiedziałam mu od razu, od wejścia, że mój mąż ma może polskie nazwisko, ale Polakiem nie jest, i że oboje jesteśmy unitami, a ponieważ powodzi nam się dobrze, bo ja jestem dobrą gospodynią, a mój mąż zaradnym mężczyzną, to mogą znaleźć się ludzie, którzy nam zazdroszczą i nagadają na nas. Zdałam sobie sprawę, że mówię jak dziewczynka. Ten zlepek kłamstw był żałosny. Przecież mają papiery, a w nich rubryki, które wydają wyroki. „Ludzie muszą cię nie lubić. Jesteś taka bezczelna", powiedział po rosyjsku i uśmiechnął się zdrową połową twarzy. Druga strona pozostała nieruchoma.

Próbowałam z tej podwójności wyczytać wyrok. Ktoś zapukał i wszedł. Zadzwonił telefon. Liberman nagle przestał zwracać na mnie uwagę i zajął

się czym innym. Straciłam pewność siebie i odsunęłam się pod drzwi. Widziałam twarz lejtnanta Libermana raz z jednej, raz z drugiej strony, bo z słuchawką w ręku spacerował po pokoju. Jego wzrok nieuważnie przesuwał się po moich pantoflach, nogach i sukience.

— Przyjdź wieczorem. Teraz nie mam czasu — zwrócił się do mnie i odłożył słuchawkę.

Powiedziałam Petrowi, że idę do ciotki Marynki. Przed wyjściem ukradkiem napiłam się wódki, a on na podłodze w kuchni bawił się z Lalką.

Przemykałam pod płotami, skacząc z jednej księżycowej plamy cienia na drugą. Czułam, że się zgrzałam i sukienka pod pachami była mokra od potu. Wartownik nie chciał mnie wpuścić; wymierzył we mnie karabin i powiedział: „uchadi, żeńszczyna", więc stanęłam w cieniu drzewa i przestępowałam z nogi na nogę, patrząc w okna szkoły. Sukienka schła pod pachami i zaczęłam drżeć. „Niech cię szlag trafi, Liberman, ty bolszewiku", powtarzałam po cichu ze złością i już miałam wracać, gdy w oknie zobaczyłam martwą część jego twarzy. Nie widział mnie, patrzył w niebo na księżyc, może się w nim przeglądał jak w lustrze — obaj przecież mieli dwie twarze.

Drżąc, wyszłam z cienia. Twarz w oknie na moment odwróciła się do mnie i zniknęła. Po chwili pojawił się na schodach i czekał. Wartownik udał, że widzi mnie pierwszy raz. Liberman poprowadził mnie szkolnym korytarzem po schodach w górę, gdzie mieszkaliśmy z Petrem zaraz po ślubie. Prowadził mnie do siebie, senna wersja pana młodego. Znałam każdy kawałek podłogi, każdą rysę na ścianie. W naszej dawnej sypialni stało wciąż stare podwójne łóżko, zbyt odrapane, żeby je brać do nowego domu. Tam kazał mi usiąść. „Jak się nazywasz?", zapytał, rozbierając się powoli, metodycznie, i mundur przewiesił przez wysokie poręcze łóżka. Odpowiedziałam i podałam dane Petra, łącznie z datą urodzenia. Widziałam teraz, że cała lewa strona lejtnanta Libermana śpi — lewa ręka zakończona protezą, bezwładnie zwieszona wzdłuż tułowia, lewa noga zakuta w jakąś pobłyskującą w świetle księżyca szynę. Nie wstydził się mnie, jakbym nie była człowiekiem.

Gdy się na mnie położył, pomyślałam, że mam do czynienia tylko z tą żywą połową. Jego ciało było zwinne i pewne siebie. Na koniec powiedział mi, że jestem piękna, ale jakoś nieuważnie, bo wcale na mnie nie patrzył,

tylko tak, jakby trzeba było coś rzucić w przestrzeń, między wytapetowane ściany nauczycielskiej sypialni.

Kiedy wróciłam, Petro i dziecko już spali. Nalałam do miednicy wody i myłam się w ciemnej kuchni.

Dreszcz obrzydzenia, który zwalniał od grzechu. Ale zaraz potem nieznośne ukłucia wstydu. Nie myśl o tym, Piatnico o wąskich wargach i w czerwonej sukni. Pod blachą wygasał ogień.

Chodziłam do niego jeszcze kilka razy, i to miała być ofiara. Wschodni ułomny bożek, nieprzewidywalny w swych żądaniach, gotowy na wszystko. Zamykałam oczy, gdy to się działo. Odwracałam głowę w stronę odrapanej ściany, ale on przyciągał moją twarz do swojej. Chciał, żebym na niego patrzyła. Potem zaczęłam do niego tęsknić, do zapachu papierosów, którym przesiąkł jego wrogi obcy mundur, do niespodzianek, jakie niesie każdy zwrot jego twarzy. Był żywy i martwy. Był czuły i okrutny. Spał ze mną, a potem skazywał ludzi na śmierć. Jego obrzydliwa władza, podobna tężejącej galarecie, i moja chęć poddania się jej, zatopienia, zastygnięcia w ruchu, uwolnienia od konieczności wykonania jakiegokolwiek gestu. Widziałam go tego dnia, gdy przyjechał wojskowym autem doglądać wywózki Stadnickiej z rodzicami, Rucińskich i jeszcze innych sąsiadów. Przypominał ptaka, bo miał takie puste oczy jak kogut. Podobno Rosjanie są emocjonalni i sentymentalni. Ten był inny. Może w ogóle nie był człowiekiem. „Kim ty jesteś?", pytałam go, albo „Co ci się stało?" Przeciągałam palcem po długiej bliźnie w poprzek jego piersi. Uśmiechał się, sięgał po papierosa, ale nigdy mi nic nie powiedział.

Patrzyliśmy przez kuchenne okna na ludzi, którzy z walizkami i tłumokami formowali długą, beznadziejną kolumnę. Ledwie świtało. Wzięłam na ręce śpiącą Lalkę. Petro palił papierosa. Czy nasz dom miał nad drzwiami anielski znak wymalowany krwią? Jurij Liberman stał w aucie odwrócony do nas tą częścią twarzy, na której nie dało się nigdy dostrzec żadnego uczucia. „Co się stało? Dlaczego my nie? Pewnie jutro". „Dowie się prędzej czy później", myślałam. I potem całe dni o to pytał, coraz bardziej zrozpaczony: „Dlaczego nie ja?".

Wkrótce zorientowałam się, że jestem w ciąży. Poszłam do ciotki Marynki i opowiedziałam jej wszystko. Uderzyła mnie w twarz. Wzięła mnie do sąsiedniej wsi, a tam stara kobieta o imieniu Matriona zrobiła, że poroniłam. Zostałam na noc w domu ciotki, a ona poszła do Petra powiedzieć mu, że poczułam się źle. Chorowałam przez miesiąc. Marynka siedziała przy moim łóżku, bo chciałam umrzeć, chciałam, żeby mnie dosięgła kara boska. Ona myślała, że żal mi dziecka. Ale ja chciałam umrzeć z tęsknoty.

Raz zjawił się ruski żołnierz, rozmawiał z Marynką w drzwiach i poszedł. Nie powiedziała mi, czego chciał. Powiedziała tylko o Petrze: „Musisz się nauczyć go kochać tak, jakby był słabszy od ciebie, nie silniejszy".

Dowództwo przeniesiono gdzie indziej. Nie wiadomo gdzie. Marynka dała mi potem małe zawiniątko od Libermana, które przyniósł tamten żołnierz. Był tam adres wypisany na kawałku szarego papieru, po rosyjsku, był złoty łańcuszek z krzyżykiem i kilka pierścionków, a także kawałek materiału, który wyglądał, jakby oddarto go od wojskowej koszuli. Zawinęłam wszystko w papier i zakopałam w sadzie pod śliwką. Spóźniony dziecinny pogrzeb.

Widzę jeszcze dziwną rzecz — duży palec u nogi Libermana. Lekko zniekształcony paznokieć. Palec, w którym cała potęga tego człowieka o dwóch twarzach bierze w łeb, staje się pozorna i groteskowa. Wstydzę się tego palca. Nie wstydzę się ani gwałtownej miłości na stole pełnym papierów, ani fal przyjemności, choć powinnam była czuć tylko obrzydzenie. To, co miało pozostać ukryte, stało się jawne.

W ciągu następnych kilku miesięcy do opuszczonych chat wprowadzili się Ukraińcy. Niektórzy z nich byli moimi krewnymi, jak Horodyski i Kozowicz, ale patrzyli na nas podejrzliwie, nie tak, jak zwykle. Horodyski miał wprawdzie żonę Polkę i to było w oczywisty sposób lepsze, niż mieć męża Polaka. Kobiety jakoś nie rzucały się w oczy, choć przecież powinny. Narody brały przecież początek w ich brzuchach.

— Powiedz mi, czy to prawda? — zapytał mnie potem Petro. Jego oczy bacznie wpatrywały się w moje.

— To nieprawda — powiedziałam.

Dzieci zauważają tylko wyolbrzymione szczegóły. Nie rozumieją tego, co widzą. Teraz wiem, co miałeś na myśli, bo ty byłeś przecież zawsze stary i urodziłeś się dorosłym. Jakże więc miałeś widzieć szczegóły? Nie widziałeś mojej czerwonej sukni, kiedy szliśmy na andrzejki, nie rozpoznałeś, że na tłusty czwartek na ciastkach leży konfitura z róży, nie zauważyłeś, że obcięłam włosy, że mam nowe buty, że w tym roku nie ma mieczyków tam, gdzie były zawsze, a są dalie, że masz nowe guziki przy zimowym płaszczu.

I potem, zawsze, Petro nie zauważa, że wracam wieczorem i kładę się bez słowa, słaba; nie budzi go mój płacz w nocy, bo starzy ludzie śpią mocno i oddychają równo. Nie niepokoi go wystawanie przed oknem, staranne robienie makijażu, nowe pomadki do ust w mojej kosmetyczce, w ogóle nie widzi pomadek i kosmetyczek. Dostrzega ogół — jest zawsze lekko rozmazany, składa się ze słów wydrukowanych na papierze, które nie mają żadnych odpowiedników w rzeczywistym świecie, z zatartych idei, z kierunków, wektorów, płaszczyzn, tabel. Świat Petra jest światem konspektów, podsumowań i podziałów godzin.

Kto nie widzi szczegółów, nic nie wie. A kto nic nie wie, mimowolnie robi się okrutny.

Chodzę po śniegu w kółko, w którym zamykam Petra, buduję mu dom ze śniegu, rysuję granice jego kraju.

Wieczorem szczotką czyszczę garnitur. Kupiłam go już dawno, kilkanaście lat temu, bo przecież wiedziałam, że umrze pierwszy. Wisiał w szafie i czekał — czarny ancug z prawdziwej wełny, porządny, poza modą. Szkoda, że nie zdążyłam mu go założyć. Widocznie nie podobał się Petrowi, bo jego ciało stawiło mu zdecydowany opór. Teraz jest już za późno. Petro leży w kraciastej koszuli i swetrze robionym na drutach, w starych sztruksowych spodniach wytartych na kolanach, w futrzanych kapciach. Przytulam twarz do szorstkich warkoczy swetra.

U

Ja mam siedemdziesiąt sześć lat, Petro dziewięćdziesiąt jeden. Jest luty 1993 roku. Tylko nie wiem, który dzień. Jeżeli dzisiaj uda mi się obejrzeć jakiś dziennik w telewizji, wszystko się wyjaśni. Petro zmarł w niedzielę, powtarzam sobie. Cały piątek i sobotę jęczał i trzymał się za serce. Kilka razy próbowałam zejść na dół, ale wciąż padał śnieg. Takiego śniegu nie było już od dawna. Rysuję na śniegu litery.

Siedzę przy nim na werandzie, zakutana w jego kożuch. Gładzę go po ręce, która tamtej nocy obsunęła się z piersi i leży teraz obok. Nie da się jej przesunąć na dawne miejsce. Jest uparta, choć palce wydają się spokojne. Gładzę paznokcie, są białe jak śnieg. Próbuję wyczuć opuszką, czy rosną. To jest tak jak wtedy, gdy ręką bada się brzuch — czy dziecko już się w nim porusza. Tutaj sprawdzam, czy wszelki ruch ustał.

Petro jest cierpliwy. Dobrze mu się leży na werandzie. Teraz wiem, że właśnie po to ją zbudował — żeby odpoczywać w niej po śmierci. „Petro — mówię — idzie wiosna, przyjdzie na pewno. Kiedyś będzie Wielkanoc". Nie odpowiada. „Musiałbyś mak przepuścić przez maszynkę" — czy czasem nie uśmiecha się lekko? „Pognieść migdały, nałuskać orzechów do ciasta, przynieść z piwnicy słoik chrzanu". Patrzę na jego całkiem białe brwi i zapadnięte policzki, na których srebrzy się szron albo zarost. Nadal jest pięknym mężczyzną. Cieniutkimi strumyczkami, niewidocznymi dla oka, niewyczuwalnymi dla opuszek palców płyną przez niego ostatnie kłaczki życia. Wiem to. Nie umiera się tak od razu, pyk i po wszystkim. Trzeba pozwolić śmierci, żeby rozgościła się w ciele, a życiu wypłynąć bez przeszkód, kropla po kropli, jak z sopla, który topi się w oślepiającym świetle słońca.

Oto nowe tabuny kurzu; przez Sokołówkę jadą Niemcy. Świat dzieli się na dzienny i nocny. Za dnia ludzie krzątają się po obejściach, rozmawiają przy płotach, jeżdżą do miasta, pracują, patrzą na siebie. Petro widzi, jak powstaje nowa szkoła, bez niego. Robi się krucho z pieniędzmi. Za dnia.

W nocy to nie ma znaczenia. Nocą następują tajemnicze przemiany. Niebo na horyzoncie pomarańczowieje, inne domy stają się wrogie, jakby słychać było stamtąd ostrzenie noży; w mroku ludzie tracą twarze. Petro ubiera się ciepło, bierze w kieszenie trochę chleba i jabłek i idzie w las. Rano wraca, jakby nigdy nic.

Od tamtego czasu nie spał ze mną. Łóżko po jego stronie całą noc pozostawało nie ruszone, kapa nie miała ani jednej zmarszczki. Poduszki majaczyły bielą, opuszczone. Nic nie mówił, nie odzywał się. Nawet nie patrzył na mnie. Rano wychodził z Lalką na podwórko i ostentacyjnie, głośno mówił po polsku. Nie było do kogo. Ani Stadnickiej o piskliwym głosie, ani Rucińskich, ani innych.

Najpierw pracował fizycznie w gorzelni, którą przejęła nowa władza, potem stracił tę posadę. Któregoś dnia ktoś przyniósł wiadomość, że zamordowano Petrowego brata z rodziną, jego żonę w ciąży i teścia. Petro wybrał się tam i nie było go kilka dni. Opowiedział, że zjawił się za późno — już ich pochowali, więc Petro zapisał ich na skrzyni. Są tam pod nieczytelną datą z czterdziestego trzeciego roku. „Bartłomiej i Michalina oraz teść, Emil Okrzeński". Tyle z nich zostało. Już przestał ukrywać się w lesie, nie wychodził z domu, siedział całymi dniami przy oknie, nadsłuchiwał głosów ze wsi, mruczał coś do siebie, palił papierosy, aż jego palce zrobiły się żółte. A ja kręciłam się w słońcu, karmiłam kury, musiał słyszeć, jak powtarzałam: „Petra nemaje wdoma, piszow, ne znaju, de win". Brałam małą do siebie i spałyśmy przytulone. Raz tylko zerwał mnie w nocy, szarpał mnie za ramię, a gdy się wykręcałam, brutalnie postawił mnie na ziemi. Miał w ręku pistolet, musiał go wyciągnąć z ukrycia, włożył mi go w dłonie i kazał wycelować w siebie. Powiedział: „Zastrzel mnie". Broń drżała, potem upadła na podłogę.

Na drugi dzień przyszła ciotka Marynka. „Na duszu twojich bat'kiw, na ti roky, koły ja tebe wychowuwała, diwczyno — powiedziała — nakaży jomu, szczob win schowawsia, nakaży jomu, szczob win widijszow u tiń, szczob znyknuw, aż poky wse powernet'sia na swoji miscia, a ludy ne opamjatajut'sia". A on uklęknął przy niej i położył głowę na kolanach,

mimo że niewiele od niej młodszy, nie wstydził się płakać w jej fartuch. „Niechże on się spakuje, spakuj go, daj mu ubranie i jedzenie, niech idzie do swoich, w las. Albo nie, jeżeli chcesz mieć go przy sobie, wykopcie dziurę w szopie, nakryjcie ją drzewem i tam niech siedzi. My jesteśmy Ukrainkami, a on Polakiem".

Teraz to brzmi inaczej niż wtedy. Wtedy to były młode słowa, świeże jak sprężyste, pełne soków pędy, nikt nie wiedział, co z nich wyrośnie. Przedtem nigdy o tym nie myślałam. Były dwa kościoły, dwa Boże Narodzenia i dwa języki, które z roku na rok coraz bardziej się ze sobą spoufalały, zachodziły na siebie, pojęcia odgrywały pełen gracji taniec.

Wtedy Petro przesiedział w skrytce pod podłogą obory pięć miesięcy.

Tekli już nie wyprowadzam na noc do obórki. Zostaje przy kuchni, grzeczna jak dziewczynka, jak dobra uczennica. Bobki, które robi, zmiatam na szufelkę i wyrzucam. Wyglądają niczym granulowany, kupiony w sklepie nawóz do kwiatków. Rano budzi mnie stuk jej kopyt. Panna Tekla, która nawet na noc nie chce się rozstać z pantoflami na wysokich obcasach. Moczę jej Petrowe bułki w wodzie, a ona zjada je z apetytem, patrząc na mnie prostokątnymi źrenicami, chłodno i ironicznie. Kim ona jest, ta Tekla? Gdyby nie te źrenice, wzięłabym ją za człowieka przebranego w dziwaczny, rogaty strój. Akurat jest czas na przebieranki i dokazywanie, czarci tydzień, to właśnie musi być teraz, koniec karnawału. Każdy udaje kogo innego.

Pada śnieg i zasypuje moje piękne litery. Śnieżne chmury wiszą tak nisko, że jestem niewidoczna ze wsi, jakbym mieszkała na krańcach świata, w krainie bohaterów, przy szlakach śmierci. Nie widzą mnie ci z dołu, dla nich zniknęłam. Ciekawe, czy o nas myślą, czy zastanawiają się, co się z nami stało? Czy listonosz nie niepokoi się? Kiedy to on miał przyjść? I rachunki za prąd i abonament za telewizję, w której nic już nie widać. Czy zostawi w sklepie, jak zwykle zimą.

Dziś widziałam niewyraźne tańce na lodzie. Pełne gracji ludzkie figurki w śnieżnej przestrzeni telewizora. Baletnice w kusych spódniczkach wypisują na tafli szczegółowe instrukcje, ale nikt ich nie czyta.

M

Pakowaliśmy się jakieś dwa tygodnie. Tych ważnych rzeczy, które chcieliśmy zabrać, nie było dużo. Nasze meble były byle jakie; jakąś wartość przedstawiało tylko podwójne małżeńskie łoże, ale Petro sprzedał je sąsiadom za grosze. Wszystko wartościowe znalazło się w skrzyni. Oprócz tego wieźliśmy maszynę do szycia i walizkę z książkami, dokumentami i zdjęciami. Tę, która przepadła w drodze.

Inni mieli załadowane całe wozy — meble, garnki, ubrania, pudła firanek i pościeli.

Gdy jechaliśmy furmanką do miasteczka na stację, gdzie było miejsce zbiórki, widzieliśmy dołączające ze wszystkich stron takie same wozy pełne gratów, z przywiązanymi do nich krowami, obszczekiwane przez psy. Straszny widok — tak pewnie będzie wyglądał koniec świata; korowód tworzą wcale nie zmarli powstający z grobów, ale ludzie w nieskończonej drodze do nieznanych stacji przeznaczenia. Nie ryk trąb anielskich, ale rozpaczliwe gwizdy pociągów.

Kilka dni przedtem przyszła do nas ciotka Marynka i spokojnie powiedziała, że jedzie z nami. Ale Petro jęczał, że jest zimno, że to długa podróż, a załatwianie papierów potrwa sporo czasu, więc mogłaby dołączyć do nas na wiosnę. Ale wiedzieliśmy jasno, że każda wiosna, która przyjdzie, będzie nowym czasem, nową epoką, wobec której nie obowiązują już stare ustalenia. Że nic nie można powiedzieć o przeszłości, nie ma wobec niej ani prawdy, ani kłamstwa. Także czas został zniesiony dekretem i przyszłość była już innym stanem — mglistą rozproszoną wizją, szkicem pozbawionym szczegółów.

W nocy spadł śnieg i popsuł moją pracę. Na śniadanie wypijam herbatę z kieliszkiem wódki z zapasów Petra i ruszam na stok. Świeci piękne słońce i widzę, że nie jest źle. Litery stały się łagodne, senne. Muszę przejść

jeszcze raz. Drepczę niczym dzieci, które bawią się w pociąg. Czu, czu, czu, patrzcie na mnie, doliniarze! Hej, tutaj jestem! Wódka rozgrzewa mi krew, a twarz płonie od słońca rozsmarowanego na śniegu.

Widzę maleńki autobus, więc ferie musiały się skończyć, bo jeździ tylko wtedy, kiedy jest szkoła. Po drugiej stronie nad wsią jest stromy stok porośnięty kreskami nagich drzew. Wiosna przychodzi stamtąd. Drzewa nabierają ciała, spływa z nich w dół tłusta zieleń i pokrywa dolinę i zbocza.

Za naszym domem rosną śnieżyce. Petro obchodzi je wkoło, po cichu, jakby to była jego tajemna uprawa. Nie pozwala ich przesadzić na moje rabatki, mówi, że są dzikie i pod ochroną. Ludzki wzrok im szkodzi.

Ostatniej wiosny, gdy wróciły czerwone wróble i zaczęły wić gniazdo w tym samym miejscu, co zawsze, Petro rozpłakał się. Głupi stary, już wtedy powinnam się domyślić, że jest bliski śmierci. Ale właził jeszcze na drabinę i odmładzał drzewa, sekatorem obcinał martwe gałęzie na jabłoniach. Ziemia odmarzała powoli, gdy kopało się dziury, jeszcze na początku kwietnia pod spodem była zmarznięta na kość.

Gdyby tak można odmłodzić człowieka, jak drzewo. Ściąć z niego złe wspomnienia, zeskrobać cały ból, wszelkie rozczarowania, jak martwą tkankę; poobcinać błędy, głupie decyzje, pomyłki, prześwietlić myśli. I żeby można to było robić po każdej zimie, żeby się w nowy rok wchodziło czystym i niewinnym. Wiadomo przecież — któraś z kolejnych zim nas zabije.

Błagałam go, żeby zostać w tym gównianym Kluczborku, osiedlić się przy grobie Lalki i czekać na własną śmierć. Ale nie. Widocznie groby to też są tylko szczegóły. Petro miał przydział pracy gdzie indziej, jeszcze dalej na zachód, chociaż wydawało się, że tam nic już nie może być. Więc zanim ustawiłam nasze rzeczy w jakimś ograbionym, pełnym pluskiew mieszkaniu, Petro kazał mi pakować wszystko na powrót. I słowa też okazały się szczegółami — nie było sensu ich używać, nie zauważał ich. Przyjechał następny pociąg i wiózł nas leniwie najpierw mokrymi, rozlazłymi równinami, potem dolinami, aż znaleźliśmy się w innym kraju, w małym miasteczku na krańcach świata. Za jego ostatnimi domami krawędź świata urywała się i góry przypominały już tylko namalowaną teatralną dekorację.

Nie odzywałam się do niego rok. Nie miałam w ustach języka, gdy patrzyłam na niego. „Howory poľskoju", mówi do mnie Petro po ukraińsku. Ni, dumaju, ne skażu ni słowa poľskoju. Zawezy mene u cej zasranyj Kluczbork i tam załyszy, widdaj meni wsi roky, jaki ty w mene wkraw, widdaj meni doczku.

— Uspokój się, dziewczyno — powtarza ciotka Marynka — nie ma do czego wracać. Tu, gdzie teraz jesteśmy, nie ma nic innego, jak tylko przód, przyszłość, potem, tylko czas przyszły. Zawieś w oknach firanki, znajdź gdzieś kota, bo dom jest pełen myszy.

A

Już dawno powinnam go była ogolić. Nalewam wody do kubka, mydlę pędzel. Ostrzę brzytwę na skórzanym pasku. Koza cofa się na widok ostrza i grzecznie kładzie się przy kuchni.

Biorę czystą ścierkę i idę na werandę. „Idzie toaleta!", mówię wesoło, ale on się nie odzywa. „Szczos' ne harazd?" — pytam. — Ja szczos' ne tak zrobyła? Zabahato howoriu? Ty na mene obrażajeszsia? Ty nikoły meni cioho ne zabudesz?" Przedrzeźniam go, mówię tak, jakby to on mówił. Dobrze pamiętam ten ton pełen pretensji i jak go nie znosiłam, jak doprowadzała mnie do wściekłości powolność Petra, jego wybuchy gniewu, który — jak wszystko w nim. — wydawał się ciężki, bezwładny. Przysuwam sobie krzesło i biorę się do pracy. Znam każdy szczegół jego skóry, pamiętam rozkład niebieskich żyłek, jakby to była mapa schodzonej w tę i z powrotem ziemi — rzeczki, strumienie, mostki, drogi i ścieżki. Teraz, gdy leży, widzę ten najbardziej charakterystyczny błękitny zawijas na jego skroni — coś w rodzaju kółeczka i dwóch wypustek. To jego znak, podskórny tatuaż, przetrwał mimo mrozu. Kiedyś śmiałam się, że może ma niebieską krew w niebieskich żyłach. Co się dzieje z krwią, która zatrzymała się w żyłach? Czy cząsteczki krwi, te wszystkie leukocyty, czerwone krwinki dały się już rozepchać kryształkom lodu, czy zdradziecki mróz, który płynie z kosmosu, wymierzył swe ostrza w delikatne ścianki materii.

Twarda, zesztywniała skóra nie poddaje się już brzytwie. Zostają smugi siwego zarostu. Muszę po nich jeszcze raz delikatnie przeciągać ostrzem. Nagle ręka cofa się instynktownie. Powinno być syknięcie, gniewny wzrok i kreska krwi. Nic się nie dzieje.

Przestraszyłam się, nic wielkiego.

Nagle staje przede mną on, gładko ogolony, pachnący, ciemnowłosy. Wklepuje wodę kolońską w policzki. Zbliżam usta do jego twarzy, trwa to

nieskończoność, obraz zatrzymuje się jak film i niczym celuloidowa taśma topi się, na środku robi się ciemna dziura, która rozszerza się jak płomień.

— Petro jest teraz dyrektorem szkoły — mówię do Tekli — powodzi nam się bardzo dobrze. Zaocznie robię maturę. Mrozi mnie wzrokiem, gdy wymyka mi się jakieś ukraińskie słowo.

Dwa razy jadę do domu. Pierwszy raz w pięćdziesiątym trzecim, drugi w sześćdziesiątym czwartym. Nie puszczają tak łatwo, nie dają paszportu. Petro zapisuje te fakty na skrzyni, na bocznej ścianie. Jestem teraz młodsza o trzy lata — taka jest korzyść z braku dokumentów, podaję im inną datę urodzenia.

W czasie pierwszej wizyty wszystko jest tam tak, jak było. U ciotki Olgi na ścianach wiszą te same kilimy i ikony. Jest za stara, żeby przejmować się zakazami. Na łóżkach leżą stosy wyszywanych poduszek — czystych i pachnących. Dzieci ciotki rozjechały się w świat: Myron w Doniecku, inni w Kijowie. „Załyszys' z namy", mówi ciotka i płacze o Marynkę.

Za drugim razem, podczas następnej wizyty, widzę, że stary świat staje się malutki jak domek dla lalek. Domek Lalki. Także ciotka Olga robi się malutka, wyschnięta i wypowiada malutkie słowa, tycie życzenia: „załyszys' z namy". Niedługo umrze i nigdy już tutaj nie przyjadę. Zjawię się dopiero po mojej śmierci i będziemy żyć tutaj wiecznie, małe pośmiertne państwo ludzików z kasztanów. Teraz nie, musiałabym się skulić, żeby tutaj zostać, ciociu.

Chodziłam drogą przez pola, oglądałam budynek szkoły teraz zamieniony w sklep spożywczy. Grzebałam czubkiem buta w ziemi przy drodze. Próbowałam odnaleźć to miejsce, gdzie zakopałam zwitek od Libermana, ale drzewa urosły albo — przeciwnie — umarły. Nie stoją już na swoich miejscach. Od tej chwili potrzebni będą archeolodzy.

Nic nie wyniknęło z tych pospiesznych odwiedzin, wschodnich sabatów z ciotką Olgą. Najprzyjemniejsza była długa podróż — a to dlatego, że byłam sama. Za drugim razem odebrali mi na granicy ikonę z moją Paraskewią Piatnicą, którą dała mi ciotka. I może nawet poszłabym do więzienia za przemyt dzieł sztuki, gdyby nie to, że w ostatniej chwili udało mi się wcisnąć w dłoń celnika zwitek rubli. Znieruchomiał

na sekundę, a potem jego wzrok powędrował nad moją głową do całkiem innych, poważniejszych celów.

Ciotka Olga zawijała ją starannie w papier, długimi szczupłymi palcami zasupływała sznurek. Umiem powtórzyć jej uśmiech. Patrz, Petro, uśmiecham się jak Olga. Poznajesz.

Petro udaje, że nie widzi. Ale wychodził po mnie na stację w Lewinie, gdy zmęczony pociąg, okrajany co stację z wagonów, przywoził mnie wreszcie do domu. Petro pomagał mi nieść ciężkie bagaże, w których zwoziłam resztki tamtego życia: huculski kożuszek po matce, który przechowała Olga, kilimy, wielkanocne ręczniki, wyszywane koszule, glinianego baranka. Szliśmy z walizkami brukowaną ulicą wysadzaną kasztanami, a potem przechodziliśmy przez rynek.

Był podłużny, lekko pochylony, z klombami kwiatów i małą fontanną, która popsuła się kilka lat potem. Mieszkaliśmy na tym rynku w starej kamieniczce, w której okna były tak małe, że gdy założyło się firanki, robiło się zupełnie ciemno. Potem Petro dostał mieszkanie przy szkole, a ja zaczęłam pracować jako bibliotekarka.

Idę do pokoju i wyciągam z oszklonej szafki kilka książek. Tekla stuka za mną i ciekawie zagląda do pokoju. Cofa się przed chłodem. „Krystyna córka Lawransa", „Anna Karenina" — to moje dwie ulubione książki. W bibliotece miałam dużo czasu na czytanie. Obkładałam książki w szary papier i pisałam na grzbiecie nazwisko autora, tytuł i numer. Prowadziłam karty wypożyczeń, leżały w drewnianych pudełkach. Kobietom, one zawsze czytały więcej, polecałam „Krystynę" i „Annę". To wystarczy, żeby mieć kontrolę nad życiem, gdy mieszka się w Lewinie. Mogłyśmy założyć stowarzyszenie Ann i Krystyn i jako jego członkinie brać udział w pochodach pierwszomajowych. Rozwijać nad głowami transparenty: „Anny Kareniny wszystkich krajów łączcie się" albo „Solidarność kobiet lewińskich dla kobiet norweskich". Coś w tym rodzaju. To nie przypadek, że większość dziewczynek, które się wtedy urodziły, miała na imię Anna lub Krystyna, tak myślę. To moja zasługa.

Petro, teraz już Pjotr, chodził w pochodach na czele szkoły. W jego ręku mała czerwona papierowa chorągiewka na patyku od cukrowej waty. Powinni go byli zwolnić z tego obowiązku, bo przecież utykał. Wracał

do domu wieczorami, przynosząc na sobie zapachy szkoły: dziecięcego potu, pasty do podłóg, dymu papierosowego z pokoju nauczycielskiego.

Nie mówi wiele, tylko potrzebne, poręczne słowa. Domagam się więcej, ale ignoruje mnie. Robię sceny, wychodzi, trzaskając drzwiami. Wsuwam się w kosmos ciepła jego ciała, którym rozgrzewa pościel w najtęższe zimy.

Staję z książkami w ręku, a koza przygląda mi się obojętnie. Nic nie pojęła. Nie pamiętam, co się stało z tamtymi latami. Uciekły, rozpłynęły się, wsiąkły w ziemię. Widzę tylko ryneczek w miasteczku. Między kamieniami zaczyna pojawiać się trawa. Stara kamieniczka pęka, kruszeje, woda w fontannie wysycha, w oknach zamiast szyb pojawiają się deski.

Ale życie codzienne w odzyskanym świecie toczy się swoim torem. W miejskiej remizie odbywają się zabawy. Drewnianą podłogę posypuje się trocinami, stoły ustawia się w długie szeregi pod ścianami, żeby zrobić miejsce tańczącym. Na lampach wiszą ozdoby z karbowanej bibułki; spiralne dwukolorowe łańcuchy i strzępiaste wstęgi. W rogach sali — pęki balonów. Na białych obrusach stoją miski z sałatką jarzynową, talerze ze śledziami, koszyczki z chlebem, między nimi królują butelki z wódką i oranżadą. Jedne są białe i przezroczyste, drugie brązowe, z mętnawego szkła. Kobiety przechylają swój kieliszek z małym palcem uniesionym do góry, może w nieuświadomionym geście protestu. Nigdy nie piją do dna. Musi zostać na dnie trochę wódki — to jest skomplikowany savoir-vivre nowego świata.

Pierwszy akord orkiestry wydaje się potężny, uderza wszystkich w piersi, w brzuch. Na moment traci się oddech. Zaskoczenie trwa chwilę, aż ludzie przyzwyczają się do hałasu. Wtedy ośmieleni wódką ruszają na parkiet, żeby maltretować odświętnymi obcasami niewinne trociny. Wkrótce mężczyźni zdejmą marynarki, a kobiety zawieszą na oparciach krzeseł omdlałe ze zmęczenia szale. Ci, którzy zapragną nagle świeżego powietrza, wpuszczą na chwilę kłąb zimna na nagie ramiona i spocone karki.

Po północy zakochuję się, jak zwykle, w którymś muzyku z orkiestry. Najbardziej podobają mi się klarneciści albo ci, którzy walą w perkusję. Tańcząc, puszczam do takiego oko. Petro jest czujny; jego czujności nie

zwiedzie żadna ilość alkoholu. Przez pochyły rynek wracamy do domu, nie odzywając się do siebie.

Na biało-czarnych mikroskopijnych zdjęciach o fantazyjnie przycinanych krawędziach występujemy zawsze w odświętnych ubraniach, z kieliszkiem wódki w ręku. Mam szpilki, a on garnitur. Ja — szal na nagich ramionach, on — watowane ramiona. Ja robię miny do aparatu. On stoi sztywno jak za mównicą.

Nie pozwalam mu się dotknąć. „Ja ne narodżu tobi dytyny, Petre", mówię. Nie urodzę ci dziecka. Nie będzie innych dzieci poza tym, które zgubiliśmy pod Kluczborkiem. Jesteś stary, a ja młoda, umrzesz pierwszy. Popołudniami wychodzę na spacer albo do krawcowej. Pielęgnuję chorą ciotkę Marynkę. Umiera w czterdziestym dziewiątym zimą na zwykłe zapalenie płuc. To nie jest klimat dla nas, słonecznych i nizinnych. Zabija nas samo powietrze.

Nie ma tu wiele do oglądania. Miasteczko to mały ryneczek z pocztą i kilkoma sklepami. Jest też dom kultury przerobiony z zajazdu i gospoda, z której przy każdym otworzeniu drzwi wydobywa się kłąb piwnego, wilgotnego smrodu. Za miastem, pięć minut drogi od rynku, jest mały cmentarz, cały po niemiecku. Jeden z pierwszych grobów, jaki się tutaj pojawi, to grób ciotki Marynki. Małe domki kleją się do siebie jak zziębnięte szczenięta. Każdy spacer kończy się w polach. Ludzie, którzy się tu osiedlają, mówią wprawdzie tym samym językiem, ale nie potrafią się dogadać. To zajmie jeszcze ze dwa pokolenia.

Gdy się zejdzie w dół miasteczka, znajdzie się kościół. Jest w nim dziwaczny obraz pomyślany pewnie dla tych wszystkich, którzy kiedyś przyjeżdżali się tutaj leczyć w okolicznych uzdrowiskach, zanim życiodajne wody nie opadły w głąb ziemi. Chodzę do tego kościółka, siadam w pierwszym rzędzie i patrzę.

Obraz przedstawia czternastu orędowników z ich atrybutami, po których byli kiedyś rozpoznawani na pierwszy rzut oka, a które dzisiaj nic już nikomu nie mówią. Ja jednak wiem, znalazłam w bibliotece książkę, która wyjaśnia mi cały sens tego, co widzę. Stoją wokół postaci małego Dzieciątka Jezus, jak goście, którzy przyszli na chrzciny.

U dołu święty Eustachy klęczy przed jeleniem, który ma między rogami krzyż; dalej święty Krzysztof, ów olbrzym, niosący na ramieniu małego Jezusa jak zająca. To patron chorób kości i kręgosłupa. Zaraz nad nim święty Idzi — głaszcze łanię ręką przebitą strzałą prześladowców. Patron chorobliwego lęku i nawracającej paniki. Obok święty Cyriak — skromny chłopiec z miseczką, patron chorób oczu i wszystkich okulistów. Tuż nad nim święta Małgorzata z Antiochii, przedstawiona z małym potworkiem czy może smokiem — zwracały się do niej kobiety w stanie błogosławionym. Nie pamiętam, jak ją zamęczono. Ta następna kobieta w czerwonej sukni, oparta o wieżę i z kielichem w ręku — to święta Barbara, patronka dobrej śmierci, a więc tych, którzy zginą najszybciej: marynarzy, górników i artylerzystów. Święta Katarzyna z Aleksandrii, z głową uniesioną ku niebu, dzierżąca w ręku złamane koło. Narzędzie własnych tortur. Potem idzie święty Błażej w biskupiej mitrze, podobno uzdrowił chłopca, który zadławił się ością, i stąd patronuje chorobom gardła i laryngologom. O, i święty Wit, ten uzdrawiał od opętania. Teraz trzyma w ręku naczynie z olejem, w którym go smażono; został patronem chorób nerwowych i epilepsji. Obok niego mężczyzna przybity do drzewa — to Pantaleon, patron chorych na płuca, do niego modlili się chorzy na gruźlicę leczący się w uzdrowiskach. Pod nim znajduje się człowiek, który trzyma swoją głowę przed sobą niczym dar — to święty Dionizy, pierwszy biskup Paryża — ścięto go za wiarę. Po wyroku podniósł swoją głowę i szedł z nią jeszcze kawałek. Patron od opętania i chronicznych bólów głowy. Czy jeszcze to wytrzymam? Tę groteskową mieszaninę cielesnego i świętego, jakby jedno nie istniało bez drugiego.

Przy Dionizym — Erazm, trzyma nawinięte na korbę swoje wnętrzności. Patron chorób wewnętrznych. I święty Jerzy — jego znają wszyscy: trędowaci i cierpiący na choroby weneryczne. Na końcu łagodny młodzieniec przebity pękiem strzał — święty Sebastian, który został patronem chorób zakaźnych. Nie da się zapomnieć, że mieszkamy w uzdrowisku, że mieszkają tu tylko ludzie chorzy.

Zamieniłam więc moją piękną Paraskewię Piatnicę w krwistoczerwonej sukience, o wąskich, ściśniętych wargach, o jasnej twarzy uniesionej ku zatłoczonemu od dusz niebu, zamieniłam ją na te dziwolągi. Zamieniłam ogromną przestrzeń ikony na klaustrofobiczną karuzelę

potworów; szeroki, równy horyzont na ciemne dni, które składają się tylko ze świtów i zmierzchów; proste polne ścieżki — na krzywe wybrukowane ulice; twarze, które wszystkie wydają się znajome, na twarze, które zawsze będą obce.

Kiedy rodzę dziewczynkę, chcę, żeby miała na imię Marynka, ale Petro się nie zgadza. Dzieciom trzeba dawać imiona uniwersalne, krótkie, zwięzłe i poważne, żeby się z nimi mogły wszędzie odnaleźć. Zrozumiałe dla wszystkich. Obecne w każdym języku świata.

R

Robię wiele rzeczy równocześnie — wtedy czuję się tak, jakbym prowadziła wielką orkiestrę. Tutaj moczą się firanki, a tam już nagrzewa się żelazko, i obok, w cieple żelazka krągłe jabłuszka czekają na dokończenie obierania, zwisają piękne, pachnące serpentynki łupin. A ja w tym czasie porządkuję szufladę z nićmi i guzikami, i gotuje się wrzątek, bo zaraz będę parzyła kurę na rosół. Każda czynność posuwa się o jeden ruch, o jedną sekwencję: skaczę z jednej do drugiej, staram się nigdy nie powtarzać kolejności, nie myśleć o kolejności, staram się sama siebie zaskoczyć, unosić się lekko nad ziemią i tylko muskać każdą czynność. W gruncie rzeczy wierzę, że wszystko się robi samo, a człowiek musi tylko małym palcem popychać świat do przodu; on już sam wie, co ma być. To jest jak taniec między stołem, szufladą, kuchnią i deską do prasowania. Poruszam się w tańcu, który wciąga mnie w siebie, sprawia przyjemność. To nic, że robię bałagan.

Petro tego nie lubił, ani robienia wszystkiego naraz, ani bałaganu. On, wręcz przeciwnie, był po drugiej stronie. Każdą czynność przygotowywał, obmyślał, planował, rozpoczynał i kończył. Przechylał głowę jak pudel i myślał. Brał ołówek, centymetr i rysował ogólny plan. Często wspomagał się książką albo miesięcznikiem „Majsterkowicz". Widać było, że wszystko robi dwa razy, raz na próbę w głowie, raz w rzeczywistości. W ten sposób żył dwa razy. A teraz — które życie się skończyło? To próbne czy prawdziwe?

A może umarłeś na próbę, żeby zobaczyć, jak tam jest, żeby tam wszystko wymierzyć, odliczyć liczbę stopni do nieba czy piekła, zbadać temperaturę, zaplanować krok po kroku swoją wędrówkę, zrobić konspekt, podział godzin? I nawet jeżeli uważałeś, że tam nic nie ma, to może nie byłoby głupie sprawdzić, jak to jest, kiedy niczego nie ma? Jakim ściegiem podszyte jest nic. Z jakich utkane kolorów.

Widzę cię, siadasz i mrugasz oczami, a potem przechylasz głowę i mówisz: „zimno". Zacierasz ręce i już z ołówkiem idziesz do stołu,

by narysować pierwszą prostą linię. „Śmierć ma jakieś sześćdziesiąt centymetrów szerokości — mówisz — i zrobiona jest ze sklejki". Albo: „śmierć trzeba przeżyć, kierując się w lewo". Albo: „śmierć robi się podwójnym ściegiem dżersejowym". Szukasz w encyklopedii odpowiedniego hasła, w którym jakiś spec wszystko dokładnie wyjaśnił. Ale tam jest tylko napisane: każdy umrze, on, ty i ja. Nie warto robić sobie z tego ściągawki.

Tak Petro budował werandę, w której teraz leży. Budował ją próbnie przez dwie zimy, ogólnie, tylko w głowie. Przez kolejne dwa lata rysował jej plany, rzuty z wszelkich możliwych punktów widzenia. Przez następne dwa lata próbnie w tej werandzie mieszkał, smakując własną śmierć — to dlatego tak rzadko się odzywał. To była przyczyna jego milczenia — biedny, musiał żyć dwa razy, więc był zmuszony oszczędzać słowa. A ja, głupia, obwiniałam go za to milczenie. Niczego nie rozumiałam.

Zapomniałam, że gdzieś powinny być skrzypce. Chyba w czasie przeprowadzek zgubił się smyczek. Tutaj Petro już tylko brał skrzypce pod pachę i trącał struny, jakby grał na małej, nieporęcznej gitarze. „Na sopkach Mandżurii" i „O mój rozmarynie", oczywiście, bo ja to lubiłam. A może wcale nie dla mnie, a tylko dlatego że te melodie znał dobrze; grywał je tyle razy. Przedtem, zaraz po ślubie, wychodził na ganek tamtej szkoły zarośnięty dzikim winem i brał zamach smyczkiem. Grał rozwlekle, z uczuciem, stepowo i nizinnie. Czysty głos skrzypiec rozchodził się bez trudu przy płaskiej ziemi, wśród traw i burzanów, po gliniastej drodze, przez pola z pszenicą, i wydawało się, że jest nieśmiertelny i nic nie będzie go w stanie zatrzymać, że obiegnie Ziemię dookoła i wróci do nas któregoś dnia. Może zresztą wrócił, ale nas przecież już nie było. Nie czekaliśmy na niego.

Ruszam w poszukiwaniu tych skrzypiec. Zaglądam do skrzyni, do szafy w pokoju, do szafy w sieni. Petre, szczo ty zrobyw zi skrypkoju?

Telewizor mówi niewyraźnie, że muszę się spieszyć. Zapowiada opady, może ostatnie w tym roku. Jeżeli będę zwlekać, moja praca pójdzie na marne. Trzeba będzie nam czekać na wiosenne przyjście inkasenta. Petro nie zniesie ocieplenia. Zapalam mu wieczorem gromnicę i wypijam resztę wódki, za jego zdrowie. Widocznie rozgrzewa mnie od środka tak bardzo, że topnieję, bo z oczu kapie mi woda i spada na białą dłoń Petra.

Ścieram mu ją rożkiem kapy. „Połeży tut troszky — mówię — ja zaraz powernusia". Okutana w chustę i kurtkę Petra, wytaczam się na śnieg. Noc jest jasna, niebo pełne punkcików, czyste jak łzy. Punkciki układają się w słowa, które ktoś wykłuwa dla mnie wielką, kosmiczną szpilką. Idziemy we trójkę, wracamy skądś do domu znowu przez ten mały, pochyły rynek. On niesie Idę na barana. Pokazuje jej ręką Wielki Wóz. Mówi: „Widzisz dyszel?" — „Widzę" — odpowiada mała. „Widzisz, że jest złamany?" — „Widzę". — „A widzisz, że przy dużej gwieździe jest jeszcze malutka, jak tata i córka?" Mała potakuje. „To znaczy, że jesteś wojowniczką i masz orli wzrok". Mała milknie z dumy. Teraz też tam patrzę, ale już nie widzę dwóch gwiazd. Schodzę trochę w dół i wracam, potem wydeptuję półokrąg i jeszcze ukośną kreskę. Po chwili poprawiam to, co już jest. Wracam na sam początek.

„Zestarzeliśmy się i staliśmy się śmieszni", tak mi powiedział w tamten piątek przed śmiercią. Nie zrozumiałam tego. Gdy doiłam Teklę, żeby mu dać na śniadanie mleko, w którym mógłby moczyć swoje suszone bułki — tak robił od czasu, kiedy stracił zęby — myślałam o tym, co to znaczy zestarzeć się. Kiedy jest się starym. Jak się to czuje. Czy ból kolan na zmianę pogody — czy to jest starość? Czy konieczność krojenia jabłka na małe kawałki? Czy poranna bezsenność i obwinianie się o resztkę masła, która zjełczała? Czy starość to niespodzianki nowej pamięci, która jest w stanie przywołać kolor sukienki na pierwszej randce i smak waniliowych przedwojennych lodów, ale gubi podstawowe słowa.

Nie czuję żadnej zmiany, zawsze byłam taka jak teraz. Nie wolno poddać się iluzji, że coś nas zmienia wbrew naszej woli. Nie powinno się wierzyć zdjęciom — sugerują, że czas pozbawia ludzi siebie samych, że tnie nasze życie na małe kawałki i maceruje tym samym nasze dusze. Że w ten sposób tracimy siebie część po części. A przecież — tak myślę — dojście do końca jest zebraniem wszystkiego w garść, ujęciem w jedną małą kolekcję chwil życia. Nie żadną stratą, a wręcz przeciwnie — odnalezieniem tego, co wydawało się pogubione.

Ł

Mieliśmy wszystko w tym miasteczku, dopóki nie zakochałam się w Karabinowiczu.

Wydaje mi się, że Tekla parsknęła. Śmieje się ze mnie, ma rację. „W ciomu misteczku my mały wse, doky ja ne zakochałasia u Karabinowicza", powtarzam i w moim języku rzeczywiście to zdanie brzmi niedorzecznie. Wcale nie tragicznie, tak jak przyzwyczaiłam się o tym myśleć, nawet nie brzmi sentymentalnie. Brzmi śmiesznie.

Petro najpierw wykrzyczał, że naczytałam się romansów, że jestem głupia jak wszystkie kobiety, że powinnam się wstydzić przed dorastającą córką, że wystawiam się na pośmiewisko. Wtedy spakowałam swoje rzeczy, a gdy już miałam wychodzić, zbliżyłam twarz do jego twarzy, tak żeby nie umknęło mu ani jedno słowo z tych kilku, które miałam zamiar powiedzieć: „Ja nikoły tebe ne lubyła. Ja wyjszła za tebe zamiż, bo tak meni nakazała titka Marynka".

Poszłam z walizką na posterunek milicji, bo Mieczyk, tak na niego mówiłam, był posterunkowym. Otworzył mi drzwi, najpierw rozejrzał się niespokojnie, czy ktoś mnie nie widzi, a kiedy zobaczył walizkę, zbladł. Tekla chichocze.

Wpuścił mnie do środka niechętnie, przywarłam do niego, ale czułam, że wieje od niego wiatr i odrywa mnie jak liść. Mieczysław Karabinowicz, zawsze w mundurze, ze skórzaną kaburą na biodrze. Brązowe oczy, wydatne ciemne usta, czarne włosy — był piękny. Miał owłosione piersi; latem rozchylał koszulę, żeby ukazać je światu, niezaprzeczalny dowód męskości. Opalał twarz i ramiona na podwórku za domem, tak żeby nikt nie zobaczył tych najprostszych, upiększających zabiegów. Jego okazałe proste brwi lśniły w słońcu. Gdy mówił, powietrze wokół niego wibrowało, tak niski i aksamitny był jego głos.

Mierzwiłam mu włosy, choć wiedziałam, że nie przepadał za tym. Zaraz poprawiał je dłonią, zaczesywał do góry. Chyba nie lubił być dotykany, strząsał moje palce ze swojej skóry, przytrzymywał moje dłonie w swoich. Za to on lubił dotykać. Jego gwałtowność zamieniała mnie w słabą kobietę.

Gdy wychodził rano do pracy, szczotką sczesywałam mu z ramion odrobinki kurzu. Czekałam na niego z obiadem. Chciałam mieć z nim dziecko. Wzięłam z pracy pożyczkę i kupiłam mu motocykl. Ludzie odwracali się ode mnie na ulicy, nie odpowiadali na pozdrowienia. Siedziałam więc sama w jego domu, na krańcach miasta, w polach, nie widywałam nikogo, nikt do nas nie przychodził i do nikogo nie chodziliśmy. Mieczyk wieczorami, klnąc i łamiąc stalówki, pisał raporty, potem wypijał setkę wódki i szliśmy do łóżka. Rano golił się, oblewał wodą kolońską, bałaganił, a ja zostawałam i długo ścieliłam łóżko, szukając tam jego zapachu. Petro zniknął z moich myśli. Popołudniami stałam przed lustrem. Szlafrok zsuwał się z ramion i usypiał na podłodze. Byłam świadkiem, jak każdy dzień zostawia ślady na wszystkim, przez co przemknie. Widziałam, jak zmienia mi się ciało, jak łagodnieje w kształtach. Skóra miękko pokrywa kości, obejmuje je filcową torebką, staje się o jeden rozmiar za duża, jakby teraz kościom należała się wygoda, której nie zaznały za młodu. Uda ze zgrabnych i poznaczonych taśmami mięśni więdną, pokrywają się nierównymi grudkami tłuszczu, brzuch pcha się do przodu, krągły jak blada, miękka bułka; piersi stają się wiotkie, zamszowe w dotyku, delikatne jak mięsiste płatki wodnego kwiatu. Staję się krucha, najchętniej sama siebie wzięłabym w objęcia i utuliła, pogładziła czule ramiona i piersi, delikatnie położyła na łóżku i kołysała, szeptała. Opuszką palca rysowałabym kontury oczu i ust, dotknięciem uspokajała wszystkie zmarszczki. W taki sposób poznawałam też ciało mojego kochanka. Wnętrze ust, tajemnicę pach, miękki wzgórek Wenery, łagodny i niewinny, gdyby nie tryumf genitaliów, miękka wilgotność pachwin, podeszwa stopy. Ciała są jednak skończone, niweczy je wszystko: sen, pościel, ubrania, konieczność wychodzenia z domu, niepokój.

Własna córka nie chciała mnie wpuścić do domu. Stałam na schodach i pukałam do drzwi. Przechodzący ludzie oglądali tę scenę z mieszaniną współczucia i obrzydzenia. Taki wstyd, i z młodszym od siebie. Mógłby być jej synem. „Otwórz", szeptałam w szparę między drzwiami a futryną.

Czułam stamtąd tylko zapach wypastowanych schodów i pieczonego drożdżowego ciasta. Nie odpowiadała. Z rozmyślnym okrucieństwem przejęła moje obowiązki, przewiązana w pasie moim fartuchem gotowała ojcu obiad. Petro, co robił wtedy Petro? Może pił, może upijał się i ona musiała go ściągać na łóżko i zdejmować mu buty. A może obojętnie czytał gazety i rysował na wielkich planszach papieru nowe podziały godzin.

Nie byłam tym zdziwiona, tego oczekiwałam. Mój stan nie miał nic wspólnego z sercem czy pożądaniem. Zmieniło się moje widzenie, zmieniło się słyszenie; w gruncie rzeczy dotyczyło to rozumu, a nie ciała. Inaczej rozumiałam zdarzenia, proste fakty układały się w inne niż dotychczas wzory, skomplikowane łańcuchy przyczyn i skutków tworzyły nowe konfiguracje. Wszystko mogło znaczyć wszystko, wszędzie tkwił ukryty znak przeznaczony dla mnie, tylko ja umiałam go odczytać. Nie istniały już zdarzenia ogólne, te, które są wspólne dla wszystkich, świat kręcił się tylko wokół mnie. Grały dla mnie wszystkie muzyki w radiu i na wszystkich programach, i wszystkie książki w bibliotece były napisane tylko dla mnie, i ubrania na wystawach sklepów zostały uszyte z myślą o mnie.

Nie wiedziałam, że Mieczyk Karabinowicz wystąpił o przeniesienie. Nie powiedział mi tego. Jako kawaler miał niewiele rzeczy, spakował je w jedną walizkę, włożył na motocykl i odjechał.

!

Nie rozbieram się już do spania. To całkiem zbyteczny wysiłek. Gdyby zliczyć te wszystkie głupie czynności, okazałoby się, że spędziłam rok i trzy miesiące tylko na zapinaniu guzików, pół roku na czesaniu włosów, dziewięć miesięcy na myciu zębów, cztery miesiące na samym czyszczeniu okularów chusteczką. Całe trzy lata zmywałam naczynia, rok zamiatałam podłogi. Jakie to szczęście, że Bóg ułożył nam podział godzin tak chaotycznie, że nie trzeba było tego wszystkiego robić po kolei.

Dziś chyba spałam na stojąco i w ubraniu, bo rano jestem gotowa do pracy. Zakładam tylko rękawiczki i wyruszam przed dom. Wychodzimy razem — słońce i ja.

Kiedy spoglądam na drugą stronę doliny, na ciemny świerkowy las, który porasta tamto zbocze, mój wzrok prostuje się jak owadzi czułek i ja sama, i moja pamięć podążamy za nim, rozpraszamy się. Najdalsze wspomnienia najłatwiej przywołać, kiedy patrzy się na coś bliskiego oczom, na małe przedmioty, dobrze znane rzeczy. Żeliwna popielniczka, ta, która przyjechała z nami, wydaje się niezłomna, niezniszczalna. Petro rozbija nią orzechy. Trzaskają pod nią twarde skorupki, ale na niej nie zostawia to ani śladu.

Przychodzi po mnie wieczorem, zbiera do torby mój szlafrok, moje sukienki i przez pusty, pochyły ryneczek idziemy do domu. Składa podanie o wcześniejszą emeryturę i ono litościwie zostaje przyjęte. Kupuje ten dom, wysoko nad wsią, poza zasięgiem dymów z komina, poza zasięgiem obcych oczu, i tam rejterujemy. Powoli okazuje się, że jesteśmy czyści jak łzy.

Dom jest zniszczony i wilgotny. W największym pokoju stoją stare krosna. Próbuje je rozkręcić i wynieść na strych, ale w końcu zastyga nad nimi ze śrubokrętem w dłoni. Zamiast je rozebrać, naprawia je starannie. Robi nową osnowę i w domu pojawia się kolorowa przędza. Tylko Ida protestuje — ma teraz do szkoły kawał drogi. Wie, że to przeze mnie,

i dlatego nigdy nie patrzy na mnie inaczej niż z nienawiścią. Po wakacjach pakuje się do jednej tekturowej walizki i wyjeżdża do szkoły z internatem.

Widzę przez okno, jak Petro między świerkami w słonecznej plamie wytycza pierwszy porządek warzywnika. Na skrzyni pojawia się nowy zapis: „5 V 67 — fasola jaś".

I tak żyjemy. Najczęściej on wstaje pierwszy i robi dwie kawy. Pijemy je spokojnie przy akompaniamencie szmeru radia. Mamy psa i dwa koty. Udaje nam się je przeżyć. Psa, gdy umiera ze starości, zakopujemy za domem. Kłócimy się o drobne rzeczy. Od czasu do czasu Petro bierze dużą torbę ze skaju i wyrusza do dziecka, do Wrocławia. W torbie jest sucha kiełbasa, słoiki z dżemem i miodem, upieczona kura. Dodaję tam swoje ciasto. Wraca późnym wieczorem, ostatnim pociągiem, i potem musi iść piechotą cały kawał pod górę. Jednak torba jest lżejsza. Ma w niej kolorowe przędze, bo bez nich nie zniósłby długich, pustych wieczorów. Pewnie zrozumiał swój błąd i teraz, tkając nieforemne kilimy, postanowił uczyć się szczegółów. Wstydzi się tego, że tka, to kobiece zajęcie, ale starość zaprowadza wreszcie równowagę między tym, co kobiece i męskie. Kilimy pełne są kanciastych ptaków i geometrycznych roślin, zdecydowanie nizinne. Widział takie w domu ciotki Marynki, na świątecznych ręcznikach, na płóciennych rubaszkach. Sprzedaje jeden, dwa w roku, z trudem, bo takich wzorów nie chce Cepelia, uznając, że należą do przeszłości po drugiej stronie granicy. Do każdego kilimu trzeba przypiąć szpilką nazwisko autora, i z tych karteczek wynika, że autorką jestem ja. I w pewnym sensie jest to prawdą.

Pisze listy do Idy; po skończeniu daje mi je do podpisania. Zdania zaczyna od myślników, jakby pisał sprawozdanie z przebiegu roku szkolnego. Gdyby to zliczyć, okazałoby się, że przez te dwadzieścia kilka lat życia rozmawialiśmy ze sobą miesiąc. Cały tydzień tych rozmów zaczyna się od słowa „gdzie". Gdzie położyłaś zapałki? Gdzie są moje chusteczki do nosa? Gdzie podziały się nożyczki? Gdzie to, gdzie tamto? Dobrze, Petro, że dbałeś o porządek życia. Mówiłam, że składa się ze szczegółów.

Teraz czeka mnie ważne zadanie: skończyć wykrzyknik i oderwać się od ziemi, poszybować kawałek dalej, żeby postawić kropkę. Chodzenie w górę i dół, dwa, trzy razy, żeby pionowa linia nabrała wyrazistości,

męczy mnie. Szybciej bije mi serce, w ustach mam sucho. Przysiadam na grubych spódnicach. Podnoszę garść śniegu i powoli roztapiam go w ustach. Ma smak metalu — tak smakuje niebo. Petro na lekcji, dawno, dawno temu, roztapiał maluchom śnieg w szklance, żeby udowodnić, jak bardzo jest brudny i nie nadaje się do jedzenia. Ale ten śnieg jest czysty, tutaj na górze nie kala go żaden ludzki oddech, żaden dym z komina, żaden ślad. Sarny i lisy są bezcielesne, nie dotykają go. Tylko ja mogę go zapisać. Trzeszczy pod moimi stopami, biały pył srebrzy mi rąbek spódnicy.

Robi się południe. Wlokę się ze stoku do domu, ściągam z siebie przemoczone łachy, podkładam do pieca. Rzucam Tekli pokruszone ciastka — może tym razem poprosi o herbatę. Zasypiam na chwilę, w ubraniu, na stojąco.

— Petro? — pytam mrok na werandzie. — U ciebie cisza, świeca wypaliła się wczoraj do końca i z jej woskowej, smukłej potęgi została płaska plama. Więc położę się koło ciebie w śnieżnej szarości. Nie muszę już ani cię widzieć, ani dotykać. Nie musisz do mnie mówić, zwalniam cię z tych drobnych, upierdliwych obowiązków.

Nie potrzebuję już reszty mojego życia. Oddałabym ją za jeden miękki ruch twojej ręki, która chciałaby mnie przygarnąć. Ale nikt nie chce ze mną pohandlować.

Świat nam tylko przeszkadzał. Zawsze kierował ku nam swoje spiczaste ostrza, celował w nas, na jego ostrych krawędziach rozbijaliśmy sobie kolana, potrafił nas poturbować jak nikt inny. Daliśmy mu więc spokój. Udawało nam się nie schodzić do wsi przez całe miesiące. Tam na dole panowały jego prawa, bezwzględne i pospiesznie stanowione, zawsze przeciwko nam. Kiedy rano stawaliśmy w progu domu i mieliśmy pod sobą całą dolinę, myślałam, że jesteśmy niedosiężni, że ustawiliśmy się ponad nim i tutaj, wysoko, nie zdoła nas dotknąć. Każde zejście było bolesne — bo on nam przypominał to, co straciliśmy, i kusił tym, czego nie przeżyliśmy. Obiecywał mętne możliwości, łuty szczęścia, szeptał, że nasze życie może być łagodne i bezbolesne, a my zdrowi i szczęśliwi jak w zakończeniach bajek. Oczywiście było to oszustwo — gdybyśmy zeszli w doliny, do wsi i miast, które leżały w brudnych, gęstych mgłach, rozszarpałby nas i rozdzielił. O to mu zawsze chodziło, takie ma zamiary

wobec wszystkich ludzi i najczęściej mu się to udaje. Taki jest jego podstawowy mechanizm — oderwać ludzi od siebie, rozrzucić ich na wszystkie strony jak kukiełki, zmienić w samotne, tułające się punkciki, pozwolić im się zgubić i pozapominać. Łatwo to zrobić — wystarczy ich przekonać, że błędy są nienaprawialne, że wyroków nie da się skasować, że postanowienia robi się tylko na zawsze i że nie istnieje żadne „ale". I jeszcze: że to, co jest, mogłoby być czym innym. Największa trucizna.

Ale ja mam to gdzieś. Niebo jest wielkie i czyste, z twojej werandy widzę wyraźnie złamany dyszel Wielkiego Wozu i obie gwiazdy, dużą i małą. Jesteśmy wojownikami światła.

Jutro muszę tam wrócić. Muszę skoczyć jak młoda, zwinna dziewczyna kilka kroków w dół, dalej, żeby postawić pod kreską kropkę, i wtedy zbocze przemówi. A kiedy mi się to uda, moje zadanie zostanie spełnione. Napis krzyknie do tych leniwych, niedobrych ludzi na dole, obudzi ich z zimowego snu. Wtedy zaprzęgną konie, uruchomią hałaśliwe śnieżne skutery i przybędą tu, zdyszani, wstrząśnięci, pełni fałszywego współczucia.

Będę na nich czekała na zewnątrz, w ostatnim wydeptanym miejscu na śniegu, w kropce. Stanę się częścią napisu. Zmienię się w punkt.

Petro umarł!

Część III

Sztukmistrz

Jej ciało produkuje tylko zimno, dlatego nigdy nie dość jej upałów.

Obserwowała z uwagą, jak inni, nawet jej dziesięcioletni syn, wydeptywali swoje ścieżki tuż pod ścianami budynków, w paśmie cienia, powłócząc nogami, zgarbieni, przytłoczeni gorącem. Ona szła jasną stroną, na pokruszonym szkle skwaru, ożywiona, rześka, słoneczne zombi. Nigdy nie było jej zbyt gorąco, nawet na rozgrzanych, skwierczących ulicach tropikalnych miast wciągała na swoje chude ciało dżinsy, dopiero potem obcięła ich nogawki do połowy ud, bardziej żeby nie różnić się od innych niż z gorąca. Gdy szła, stawiała stopy na zewnątrz; biodra przed siebie; płaski brzuch, cud, że urodziła kiedyś tego chłopaka; małe piersi — symboliczne. Sucha skóra, jak u jaszczurki. W istocie, musiała być ludzką jaszczurką. Podnosiła do słońca twarz uzbrojoną w ciemne okulary i wyobrażała sobie, że prześwietla ją jak promienie rentgena, że odbitym blaskiem świecą jej kości.

Jechali przez dżunglę szosą prostą jak igła. Nieduży bus bez szyb wiózł ją wraz z synem i grupą singapurskich płetwonurków amatorów — młodych chłopców o nieodgadnionej wschodniej mimice. W kolorowych sportowych torbach mieli swój sprzęt. Kłębiły się pod śliskim materiałem giętkie rury, jednookie, cyklopowe maski, zgięte w rulon pianki, trzymające w tajemniczy sposób ciepło ciała. Na tylnym siedzeniu — ona i jej dziecko, owiani podmuchem rozpędzonego powietrza, milczący.

Porośnięta dżunglą ziemia falowała — wspinali się na wzgórza i opadali w doliny, ale zawsze była przed nimi linia szosy prosto wytyczonej, bezkompromisowej, szosy, która uwzględnia tylko jasno określony cel, nigdy nie kluczy, nigdy nie kłamie. To Japończycy w swojej obsesyjnej ekspansji na południe budowali takie drogi — wytłumaczył im jeden z nurków. Powiedział to porozumiewawczo, jakby oczywista była w genach białej kobiety i jej syna pamięć japońskiej obsesji. Na poboczu siedziały małpy, grzebiąc w obfitości plastikowych śmieci. Od czasu do czasu przy drodze pojawiały się leniwe, na wpół zdziczałe plantacje drobnych bananów albo szpalery pociętych reliefami drzew kauczukowych. Żadnych ludzi. Tylko w mijanych miasteczkach widzieli drobnych Malajów. Wszyscy wydawali im się wymęczeni upałem, wszędobylskim słońcem, które cięło skórę jak ostre krawędzie wysuszonego papieru.

Jechali cały czas na wschód; wyruszyli o świcie, kiedy słońce teatralnie wyskakuje nad horyzont aż po równie dramatyczny zachód — łatwe narodziny, łatwa śmierć.

Po drodze zatrzymywali się dwa albo trzy razy, zawsze w małych miastach przyklejonych do drogi na ziemi wydartej dżungli. Tam pasażerowie oblegali natychmiast stoliki czegoś w rodzaju restauracji bez ścian, stojące wprost na ubitej ziemi, co najwyżej osłonięte kolorowym parasolem z napisem „Coca-Cola", pełne chudych, łaszących się do nóg, bezogoniastych kotów i wielkich bezczelnych much. Nurkowie zasiadali przy stołach hałaśliwie, w kilku zwartych słowach zamawiali potrawę — aż trudno było uwierzyć, że w tych krótkich chrząknięciach mieściły się jakieś słowa — i czekali, głośno rozmawiając. Dosiadł się do nich kierowca, i obok jeszcze inni. Chcieli coś zjeść, ale nie było menu; wypowiadane przez właściciela nazwy potraw brzmiały niedorzecznie, więc zamówiła colę dla syna i dla siebie tę gęstą, słodką, tłustą od mleka herbatę w wielkim kubku, tę daleką nostalgiczną reminiscencję Anglików, kiedy tu jeszcze byli.

Upał sprawiał, że nie mogli być głodni, cukier z napojów subtelnie ożywiał umysł, wyostrzał wzrok. Weszli pod bambusowy dach jakiegoś targowiska, które sąsiadowało z restauracją, i oszołomieni przyglądali się krwawym połciom mięsa wiszącym na przekór skwarowi i rojom much.

Na jednym z takich przystanków kobieta i jej długowłosy chłopiec zgubili się, zabłądzili wśród straganów, między betonowymi, poszarzałymi od słońca przystankami. Patrzyła w panice na zegarek — nurkowie pewnie już zjedli, pewnie palą przed samochodem i wypatrują ich w kolorowym tłumie. Ale przecież nie odjadą bez nich. Prawdopodobnie dyskutują w swoim zwięzłym, gardłowym języku, gdzież się podziewa ta kobieta z dzieckiem, czy nie utknęła w którymś z małych ciasnych sklepików, wybierając tanie gumowe klapki czy kosze plecione z trawy.

Rozglądała się za kimś, kto wskaże im drogę do restauracji przy targowisku. Zobaczyła samotnie stojącego chłopca w sarongu niedbale przewiązanym na biodrach, w białej koszulce z emblematem muszli i napisem „Shell". Podeszła do niego i wtedy, z bliska, przekonała się, że się pomyliła, bo tylko posturę miał chłopięcą, wręcz dziecięcą, ale twarz — starą mimo bujnych włosów i białych rzadkich zębów. Przemiana, która

dokonała się na jej oczach, zdumiała ją. Jego wiek był kwestią odległości, każdy jej krok w jego stronę dodawał mu lat.

Próbowała wytłumaczyć mu, czego szuka. Patrzył na nią ze spokojnym zaciekawieniem, gdy powtarzała bezradnie słowa „targ", „stragany" i gdy nie znajdowała w pamięci innego charakterystycznego miejsca. Pokazał ręką za siebie, ale zrobił to w taki sposób, jakby ten gest był zupełnie przypadkowy, jakby równie dobrze mógł wskazać kierunek przeciwny. Brak zainteresowania zadanym przez nią pytaniem i jej zagubieniem wydał się jej świadomym i przemyślanym oporem — z jakichś powodów nie chciał jej pomóc. Kobiecie przypomnieli się ci dziwni żebracy w Singapurze, żebracy nie istniejący, prawo bowiem zabrania prosić turystów o pieniądze; którzy nigdy nie wyciągali ręki po datki, nie zaczepiali wzrokiem, ale gdy tylko otworzyło się do nich usta, choćby się mówiło przepraszam w tłumie, w ich oczach pojawiała się jakaś natarczywość, wzrok łowcy, i niewinnie rozpoczęta rozmowa w jakiś zawoalowany sposób ciążyła ku zapłacie. Zapłać mi za te kilka słów, mówiły te oczy. Zapłać mi, ponieważ ja jestem ja, a ty jesteś ty. Więc i z tego zapytania o drogę zrobiła się nagle handlowa transakcja. Kobieta wyjęła banknot i podała mu. Popatrzył na nią prawie wrogo, ale wziął pieniądze, a potem ruszył niechętnie przed siebie, wyprowadzając ich na małe skrzyżowanie. Był niski, drobny, jego małe dziecinne stopy w plastikowych japonkach na powrót zmieniły go w dziecko.

Nurkowie odetchnęli z ulgą, gdy ich zobaczyli.

Po południu dojechali do małego portu pełnego oczekujących ludzi. Były to głównie malajskie rodziny z dziećmi na rękach, z dziećmi w chustach przewieszonych przez smagłe ramiona kobiet, w wózkach i biegającymi wśród lasu nóg dorosłych. Z małej nieprzytulnej restauracji dochodził wszechobecny zapach starego, przepalonego tłuszczu.

Kiedy sobie uświadomiła, że ten zielonkawy bezmiar wody jest Morzem Południowochińskim, przez moment poczuła panikę, na chwilę zaparło jej dech poczucie jakiejś potężnej klaustrofobii — oto porusza się po kuli, jak mucha, krąży w kółko, nie jest nigdzie „poza", lecz zaledwie „naprzeciwko", jakby przeszła na drugą stronę ulicy. Morze Południowochińskie było tylko odległym miejscem, lecz cały czas znajdowało się w tym samym wymiarze, czyli tutaj — mogła wyobrazić je

sobie na globusie, na mapie; pusty niebieski obszar między kontynentami, spacja między wyrazami.

Na chwilę, jak magiczna sztuczka, wróciło przypomnienie poczucia chłodu, wiecznie zmarzniętych dłoni i stóp, rozlanego, nie kończącego się zmierzchu. Cud śniegu, który w dzień rozmarza w uległą breję, żeby nocą wrócić zdecydowanie w inny stan skupienia. Przecież był koniec lutego.

Prom — to za dużo powiedziane. Przypłynął mały stateczek, prawie rybacki kuter, jeden i zaraz następny. Szybko okazało się, że dzieci z rodzinami obsiadły ten drugi, a ona z synem, dalej skazani na towarzystwo nurków, zajęli miejsca na pokładzie starej łupiny, wprost przed odrapanymi drzwiami z ręcznym napisem WC. Nurkowie, już milczący, pewnie zmęczeni, upychali swoje jaskrawe torby pod siedzenia. Wymieniła niepewny uśmiech z jednym z nich, wysokim, szczupłym młodym mężczyzną o nieczystej cerze. Nieprzeniknioność wąskich oczu — nie umiała odczytać ich wyrazu. Było za późno na jakąkolwiek rozmowę, kuter ruszył, rozbryzgując wodę na boki. Huk silnika wypełnił wszystko. Przez pierwsze kilka minut oba kutry płynęły równo jeden za drugim, ale zaraz gdy opuściły małą zatoczkę, tamten pełen dzieci skręcił w lewo i po kilku minutach rozmył się wśród nieostrych granic powietrza i wody. Gdzieś na horyzoncie wyłoniły się przed nimi zarysy wysp. Mniejszych, średnich i całkiem sporych, rozrzuconych w wodzie jak wielkie niekształtne chrupki pływające w mleku. Prawie wszystkie miały ten sam wulkaniczny kształt — wielkie stożki, strome piersi wystające z morza. Chłopiec był bardziej niecierpliwy niż ona, wychylał się przez burtę i przekrzykiwał hałas, wskazując wyspy ręką. Domyślała się, że mówi za każdym razem to samo: „To musi być ta. Ta jest na pewno nasza". Słona woda osiadała mu kroplami na twarzy. Myślała z niepokojem, że nie posmarowała mu skóry filtrem, że jego jasna karnacja wystawiona na noże światła zaczerwieni się i poparzy. Już zaczęła szukać w plecaku kosmetyczki, ale musiałaby wszystko rozpakować, więc dała spokój. Ona się nie smarowała filtrami. Wyobrażała sobie, że promienie słońca przenikają przez jej ciało, pchają się w głąb szarą, stłumioną poświatą, oświetlając kości. „Spal mnie, słońce", myślała często ze swędzącą

satysfakcją i pewnie musiało to działać jak zaklęcie — słońce nie zdołało nic jej zrobić. Zaledwie brązowiło skórę.

Wyspy, jedna po drugiej, znikały za ich plecami. Nęciły z daleka języczkami plaż, obfitością zielonego bezmiaru i ukrytymi wśród palm dachami hoteli. Przytrzymywały się wody pazurami mol i przystani, u których rzadko kołysały się małe łodzie i jaskrawobiałe jachty.

Woda była potężna, żywa, falująca, pełna zielonych i niebieskich refleksów. Morze Błękitne. Morze Indygo. Morze Grafitowe. A potem, gdy niecierpliwe tropikalne słońce dotknęło powierzchni wody, rozlały się po nim purpurowe i fioletowe plamy, nadchodząca noc wlewała w wodę hektolitry atramentu.

Przybili do przystani już po ciemku, badając stopami rozgrzane za dnia deski pomostu. Nurkowie znali trasę. Przeszli po chrzęszczącym piasku w głąb wyspy, po wyłożonej płaskimi kamieniami ścieżce, wprost na wielki, zadaszony taras. Hotelowy hol bez ścian, z półokręgiem zrobionej z bambusa recepcji i kilkoma przytulnymi kącikami, wyglądał dobrze. Tropikalna gęsta ciemność przetykana była czerwienią i żółcią papierowych lampionów, obficie rozwieszonych pod dachem.

Chłopiec odkrył natychmiast stół do bilarda i przyglądał się z zafascynowaniem ustawionym tu i ówdzie ogromnym muszlom zastępującym doniczki, pojemniki na kule bilardowe, popielniczki. W głębi, ledwie dostrzegalna w czerwonej poświacie lamp, przy małym barku z półeczkami pełnymi butelek coli i batoników siedziała para: piękna szczupła dziewczyna i rudowłosy młody mężczyzna. Patrzyli na siebie w milczeniu, wydmuchując w swoją stronę papierosowy dym. Uśmiechnęli się do przybyszów.

Przybysze usiedli na wyścielanej poduszkami kanapie, ogłuszeni ciszą, której moc podkreślało delikatne cykanie dochodzące z głębi wyspy. Tysiące małych kolorowych budzików ukrytych pod palmowymi liśćmi.

Gospodarz, właściciel hotelu, wyszedł do nich uroczysty, niemal odświętny, jakby przyjechali na wesele. Pojawił się znienacka z wilgotnego cienia, w krótkich spodenkach safari, w sandałach, w jasnej koszulce.

Rozłożył ręce w geście powitania, aż kobieta poczuła się zażenowana, pewnie niepotrzebnie, bo to nurkowie okazali się jego starymi klientami, nie ona, obca kobieta z dzieckiem.

Właściciel. Zarządca kilkunastu bungalowów i tej dziwnej restauracji bez ścian, i jeszcze składu sprzętu do nurkowania. Król wysepki. Powiedział, że ma na imię Mike i wziął raźno plecak kobiety. Klucz do domku miał breloczek z muszli. Wspięli się lekko w górę — najbliższy, najlepszy domek z widokiem na molo i morze.

Wszedł pierwszy, zapalił światło i powiódł wzrokiem po skromnym wnętrzu. Chłopiec od raz rzucił się na jedno z dwóch łóżek.

Mike z uroczystym uśmiechem, jak właściciel czterogwiazdkowego hotelu, objaśnił działanie prysznicu — ciepła woda może być tylko za dnia, ponieważ jest grzana słońcem. Poprawił prześcieradła na obu łóżkach i w końcu wręczył im klucz. Potem stał jeszcze chwilę na tarasie, jakby miał dodać do tych instrukcji coś ważnego i w ostatniej chwili zrezygnował. Za chwilę zmienił się w czerwony ognik papierosa, zsuwający się po kamiennych schodkach w dół.

Pierwsza wzięła prysznic. Woda wcale nie była zimna, oddawała słoneczne złote ciepło, zmywała całodniowy kurz i pot, koiła skórę. Świeże ubranie, dość symboliczne, jakieś szorty i koszulka, ale suche i pachnące praniem w pralce automatycznej poprzedniego hotelu, dawały ciału zasłużoną nagrodę. Długie włosy chłopca schły, gdy po godzinie schodzili w ciemnościach śladem papierosowego ognika Mike'a, gdzie na stołach pod bambusowym dachem czekała na nich kolacja.

Inni już tam byli — nurkowie przy największym stole, ożywieni, rozgadani, dziurawiący wieczór swoim gwałtownym, urywanym językiem. Najdalej, tuż przy barierce dzielącej wyspę od morza.

— ta para z baru, zaczepieni o siebie wzrokiem, jakby znajdowali się w nieruchomym, niewidocznym dla innych tańcu; i oni, kobieta z chłopcem, w samym środku, po drodze wszystkim kelnerom. Jeden z nich przyniósł miskę z białym jak śnieg ryżem i miseczki pełne intensywnych sosów; ich aromat nie kojarzył się z jedzeniem, więc chłopiec

jadł tylko ryż, a kobieta ostrożnie próbowała wszystkiego po trochu. Kelner odtąd stał już za nią i za każdym razem, gdy upiła trochę wody, dolewał jej do pełna z niezrozumiałą gorliwością. Chłopiec ni stąd, ni zowąd zapytał go o McDonalda.

— Tak — odpowiedział tamten — na lądzie, jakieś trzy godziny drogi stąd, najpierw kutrem, potem samochodem.

Chłopiec smętnie oddzielał od siebie ziarnka ryżu i z zazdrością spoglądał na nurków, którzy z gracją jedli pałeczkami.

Jedzenie, ta uciążliwa konieczność. Utrzymywanie ze światem upokarzającego związku, mimowolne produkowanie nawozu, a tutaj na dodatek próbowanie potraw niejadalnych z wyglądu, ostrożne smakowanie językiem nowego, egzotycznego kształtu, spłoszone mrużenie oczu, gdy pod językiem wybuchają nagle aromatem sprężyste chińskie grzybki, trzask kruchych pędów bambusa; wszechobecność sosu sojowego, po którym zostają na talerzu brunatne kałuże.

Nigdy nie miała apetytu, a w tropikach w ogóle zanikał, upał zmieniał chemię ciała. Gorąco, słoneczne światło zaspokajały głód komórek, utrzymywały ich status quo. Bez jedzenia nie posuwała się w czasie ani w przód, ani w tył. Czas się zatrzymywał, gdy nie jadła. Pochłaniała przestrzeń, wędrowała, ledwie jej dotykając. To było dobre. I chłopiec też był niejadkiem, drobny i lekki jak ona.

W podróżach wyrobił im się pewien nawyk. Szybko nauczyli się wyróżniać z obfitości kolorowych szyldów i reklam prosty znak McDonalds'a — jedyne miejsce, gdzie chłopiec chciał coś zjeść. Żółta fontanna strzelająca z dachów, wyniesiona na słupach przy stacjach benzynowych, obietnica zaspokojenia. Klimatyzowane wnętrze, gęsia skórka na obnażonych wiecznie rękach i nogach, przytulne wspomnienie zimy, chłodu. Znajomy zapach pozbawiony egzotycznych domieszek.

Chłopiec zawsze zamawiał to samo, za każdym razem z jednakowym entuzjazmem. Przywiązanie do znanego. Panierowane mięso z kurczaka, frytki, sos i colę. Kobieta patrzyła, jak je. Tutaj hamburgery niczym nie różniły się od tych we Frankfurcie czy Warszawie. Nawet przy prostej jak igła japońskiej szosie było tak samo. W Malezji znaki McDonalds'a tryskały

znad dżungli — magiczne oazy, baśniowe studnie spełniające życzenia. Chłopiec zawsze wypatrywał je pierwszy — jak bohater bajki, którego prowadzą znaki.

Milczący Malaj dolewał im wody. Nurkowie już palili, żartując głośno, wygodnie rozparci na krzesłach. Wydawali się zadowoleni, jakby oczekujące podwodne obrazy miały napełnić ich upragnionym spokojem. Potem jeden po drugim przenieśli się do bilarda i tam tęsknie teraz spoglądał chłopiec. W końcu do nich dołączył, a kobieta poprosiła o herbatę. Kelner zniknął, a ona przeniosła się na kanapę pokrytą brązową ceratą, która udawała skórę.

Wzięła ze stołu mapkę, całkiem porządnie zrobiony folder, wydrukowany na kredowym papierze, upstrzony zdjęciami z widokiem morza, palm i plaży — przyda się jej do przewodnika. Tutaj te fotografie nie robiły wrażenia, były oczywiste. Tam, w kraju zimy, wydadzą się zapewne kwintesencją atawistycznego raju. Rozpoznała zbocze z domkami i restaurację.

Wyspa wyglądała na niedużą. Miała stożkowy kształt, musiał to być kiedyś wulkan, wynurzył się z morza i pluł lawą, tworząc wokół siebie płytkie zatoki i rafy. Na mapie w folderze Mike'a jego hotel zajmował nieproporcjonalnie dużo miejsca, wbrew rzeczywistości. Owalna linia brzegowa zakończona była od wschodu wielkimi szczypcami zatoki, które chroniły wschodnią część wyspy od nagłych zmian morskiego humoru. Narysowano kilka domów i nazwę — znajdowała się tu też jakaś wieś rybacka, choć trudno było w to uwierzyć. Czerwoną przerywaną kreską zaznaczono szlak spacerowy, który okrążał wyspę. Jej wnętrze było zielone, równo pokryte kolorem, nie tknięte żadną literą ani kształtem. Wyspa więc mieściła się tylko na obrzeżach.

Druga mapka przedstawiała nieduży archipelag — było to kilkanaście wysp, przeważnie małych, skalistych i nie zamieszkanych. Tylko dwie były ucywilizowane (tak powiedział im Mike: „ucywilizowane") — wyspa Mike'a i druga, największa, najbardziej okazała. Teraz w nocy widać ją było z miejsca, w którym siedziała kobieta. Tworzyły ją światła, jedne ułożone w geometrycznym porządku na fasadach dwóch nowoczesnych,

ogromnych hoteli, drugie — chaotyczne, mrugające, falujące; pewnie przystań.

Po dłuższej chwili zjawił się właściciel, ów Mike, i poufale siadł przy niej na rogu kanapy.

— Niestety, nie mamy tu herbaty. Nikt nie zamawiał, więc już nie ściągałem z lądu. Niedługo koniec sezonu. Ale mogę podać kawę. Jutro każę przywieźć. Proszę powiedzieć, jaką pani lubi, czarną czy zieloną? Chińską czy indyjską?

Powiedziała, że czarną, chińską. Uśmiechnął się. Zamilkł na chwilę.

— Chłopiec, ile ma lat?

— Jedenaście.

— Wygląda jak dziewczyna. Długie włosy.

Zapytała go o światła, które wydawały się płynąć gdzieś na wodzie, dalekie, ledwo widoczne.

— To statek wiezie turystów na wyspę. Widzi pani te hotele? Mają baseny i klimatyzację.

Powiedział, że statek zawija tam co trzy dni. Jednych gości zostawia, drugich zabiera. Potem jak najwolniej płynie w stronę Singapuru, możliwie najbardziej okrężną drogą. Chodzi o kasyna. Żeby był czas nacieszyć się zakazaną przyjemnością. W Singapurze hazard jest zabroniony.

W nocy prawie nie spała. Wyspa hałasowała. Gdzieś z góry dochodziły jakieś mlaskania, smutne zawodzenia nocnych ptaków. Zasypiała na kilka chwil, a potem budził ją nagły tupot, szeleszczenie, trucht po dachu domku. Coś zatrzeszczało przy jej uchu, jakby wystrzelił w jej stronę karabin-zabawka. Usiadła przestraszona, a wtedy dźwięk uciekł po ścianie i zamarł. Zapaliła światło i zaczęła oglądać swoje półnagie rozgrzane ciało, nagle pełna obrzydzenia. Owady, jaszczurki, skorpiony. Dotyki ich szybkich odnóży. Bezbronność śpiącego człowieka, dziecięcy strach przed szczypawicą w uchu.

Chłopiec spał w samych spodenkach, odkryty — cienkie prześcieradło wydawało się ciężką kołdrą. Jego skóra błyszczała, wydawało się, że paruje. Oddech nadawał rytm ciemności pochowanej po kątach przed fałszywym światłem małej lampy.

Kobieta zapaliła papierosa, ale powietrze było zbyt gęste, żeby je mieszać z dymem. Nie mogła oddychać. Kątem oka zobaczyła jakiś ruch na ścianie, ale była zbyt wolna — gdy odwróciła głowę, nic tam nie było. Nic, a jednak na siatkówce zachował się jakiś obraz, niewyraźny, rozmyty. Nie wiadomo co. Nic.

Wyciągnęła z plecaka na chybił trafił książkę, jedną z kilku, które wiozła ze sobą przez pół świata. To była spokojna opowieść o północnym mieście, zawsze wilgotnym, deszczowym, chłodnym, wietrznym. Ulice wychodziły w nim wprost na kanały łączące miasto z morzem, nabrzeża skrzypiały od pozostawionych sobie samym dźwigów, kroki stukały o błyszczący, lodowaty bruk. Zaczęła czytać od środka, byle zawiesić na czymś wzrok, byle się skupić na czym innym, nie na nocy — przecież znała już tę opowieść. I czytając, zdała sobie sprawę, że wcale nie zależy jej na opowiadanej tam historii. Chodziło jej raczej o obfitość dobrze znanych przedmiotów, srebrnych łyżeczek, mosiężnych kurków do wody, porcelanowych filiżanek — dopiero to zdołało ją powoli uspokoić.

Przypłynęła do niej zima. Łagodność jej zmierzchów, wodnistość poranków. Zastukały kroki o bruk dalekiego północnego miasta, obudziła się pamięć szorstkiego dotyku wełnianego płaszcza. Usnęła rozłożona wśród dobrze znanych rzeczy, które nagle wyrosły w niej, budując w ażurowym bungalowie jakiś przeciwświat, świat alternatywny, istniejący niepewnie po lewej stronie, pod spodem, pod nogami, świat odwrócony. Nie rozpościerał się w żadnym kierunku, ani w lewo, ani w prawo, na wschód czy na zachód, ale w głąb, pod ziemię, a tym samym wydawał się ciemny jak królestwo Hadesa, jak jakieś zasypane katakumby, chłodne i wilgotne, zbudowane z lepkich myśli, z natrętnych przypomnień.

Duże płaskie miasto, błyszczące od zamarzniętej wody, która pokrywa dachy i ulice cienką lukrowaną powierzchnią. Zapach kamienia, cegły i spalin. Może o nim powiedzieć, że jest sztuczny, syntetyczny. Najbardziej czuć go wieczorem, tak jakby w południe krył się przed światłem i chował w piwnicach. Z drzew opadają ostatnie liście, ich złoty przepych zmienia

się natychmiast w brunatną breję, mimo słońca, ostatniego słonecznego dnia przed zimą. Ludzie rozdeptują je, roztargnieni.

Ma nieokreślone poczucie dyskomfortu — czy chodzi o zmarznięte stopy w zbyt lekkich butach, czy może ból zęba, katar? Od słonecznej strony podjeżdża taksówka, wsiada do niej i ruszają — muszla sunie po dnie oceanu. Widzi na przystankach ludzi mrużących oczy od słońca, a ono odbite od szyb wystawowych i samochodów eksploduje oślepiającymi cichymi wybuchami. Widzi miarowy ruch, cieknące ludzkie strumienie pod wysokim niebem, które obiecuje bezmiar czasu dla każdego.

Każe skręcić przez kanał, wjechać w tę zakasztanioną cienistą ulicę. I stanąć, o tutaj. „Umówiłam się z kimś w tym miejscu", tłumaczy taksówkarzowi, a on staje posłusznie, oczywiście nie przekonany, że ten ktoś przyjdzie. Grzebie coś przy radiu.

Ulica jest brukowana, przy krawężnikach pokolorowana żółtymi i czerwonymi liśćmi. Po obu jej stronach stoją cofnięte w ogrody kamienice. Patrzy na jedną z nich, w ciemne okna. Wyobraża sobie, że mogłaby go zobaczyć, właśnie tak o nim myśli: „on", nie pozwala bowiem zsunąć się własnym myślom ku imieniu. Gdyby jednakże pomyślała o nim po imieniu, natychmiast zaczęłaby go wołać i nie poprzestałaby na wołaniu — podniosłaby kamyczek z tej kasztanowej ulicy i rzuciła nim w szybę albo od razu poszłaby do drzwi, przebiegła dwa piętra i zastukała, szarpiąc za klamkę. Boi się, że naprawdę by to zrobiła, więc musi siedzieć i patrzeć przez szybę taksówki na obojętną kamienicę, i myśleć „on", co oznacza i ciepłe wewnętrzne poruszenie, dobry ruch w brzuchu, przyjemny, i radość, że jest taka możliwość, być razem w tym samym miejscu i czasie, i bezwładne, ciężkie, ołowiane lgnięcie, jakby straciło się równowagę i upadało. A także wewnętrzny szloch, stłumiony skowyt, ściśnięty gdzieś w ciele w ciemną szorstką kulkę.

Widziała kiedyś takie kulki ułożone na rozgrzanych kamieniach, gdy była dzieckiem. Pakunki złożone z sierści, drobniutkich kosteczek i pazurków. Starannie przygotowane dowody czyjejś niewinności. To są wypluwki, powiedziała matka. Sowy wypluwają to, czego nie mogą strawić.

Stoją tak z kwadrans, aż mówi taksówkarzowi, by już jechać, że osoba, na którą czekają, już raczej nie przyjdzie. Taksówkarz robi gest, jakby

chciał coś powiedzieć, ale widocznie nie starcza mu humoru ani złośliwości. Rusza.

Jest już zbyt późno, a może zbyt wcześnie, żeby zobaczyć kogokolwiek na tej ulicy. A jednak kiedy taksówka jedzie do centrum miasta, ona widzi tego człowieka, postać tak cenną, że zapiera dech, mężczyzna bez imienia, bo wymówienie jego prawdziwego imienia byłoby katastrofalne, i widzi go, jak to się mówi, oczyma wyobraźni, co znaczy, że widzi go wyraźnie, choć wie, iż to, co widzi, nie dzieje się w ich wspólnym czasie, że to tylko jej czas i jej ulica, jak i kasztany, i wszystko jest jej. To wewnętrzny prywatny film. Zamknięta projekcja.

On idzie chodnikiem, ma ciemne spodnie i niebieską koszulę, buty trochę zniszczone — tak, tak, widzi nawet takie szczegóły: małe, druciane, okrągłe okulary na wysokim, prostym nosie, kształt wargi, rude plamki na twarzy od słońca, krótkie jasne włosy, a każdy detal, każda drobnostka jest głęboko poruszająca, niesie niezrozumiałe wzruszenie, miękkie i słodkie, rozpływające się w ustach, mleczne.

Chciałaby utrzymać ten widok jak najdłużej przed sobą, ale on już zaczyna się topić i skapywać na ziemię. Znika. Wyobraźnia jeszcze plącze się w szczegółach, podrzuca nowe, ale oderwane od całości, więc bezsilne, i powoli traci pewność siebie. W końcu obraz obumiera. Zbyt często go wywoływała i teraz zużył się, zatarł i stracił swoją moc. Taksówka wjeżdża na most i dalej na główne ulice lśniące od słońca. Światło wypala ostatnią szansę na przywołanie tamtej ukochanej twarzy.

Następny dzień uruchamia porządek, jakiemu od teraz będą się poddawać.

Jeszcze przed śniadaniem brali płetwy i maski i zaraz schodzili na plażę. Piasek nie zdążał wystygnąć przez noc, nie był jeszcze gorący, ale miał temperaturę ludzkiego ciała. Zaraz za pasem piachu zaczynała się rafa. Wpłynięcie w fantastyczne koralowe struktury za każdym razem było wstrząsem. Świat nagle cichł, zanurzenie głowy pod wodę przełączało rzeczywistość na inny kanał. Chłopiec wypatrywał wielkie muszle leżące na dnie, a potem zwinnym ruchem nurkował głębiej i wracał na powierzchnię ze zdobyczą w ręku. Ona sama wolała unosić się bezwładnie na wodzie z twarzą uzbrojoną w maskę. Falujące ukwiały, koralowce, ławice ryb — całe to dziwaczne, spotworniałe podwodne życie

napawało ją wstrętem. Czarne kule jeżowców z niebieskim okiem pośrodku, przerośnięte, napuchłe gąbki, szybki wężowy ruch jakiejś ryby — obcość tego świata budziła grozę. Podwodne życie wydawało się zupełnie samowystarczalne, zapamiętało się w sobie.

Nieśli potem muszle do bungalowu, rozkładali do suszenia na tarasie i pod zimnym prysznicem obmywali ciała z soli, już zmęczeni. Schodzili na śniadanie i jedli bez apetytu. Wypicie kawy powodowało, że jej ciało stawało się mokre od potu, więc wracała pod prysznic, żeby wyschnąć w jednej chwili, zanim zdążyła założyć skąpe ubranie.

Próbowała czytać, leżąc w hamaku. Za dnia te same zdania, które niosły takie ukojenie w nocy, nic już nie znaczyły. Pojęcia z książki tutaj nie istniały; litery obumierały zaraz potem, jak na chwilę ożywił je wzrok, nie zamieniały się w obrazy, nie opowiadały żadnej historii, były skomplikowanym znakiem z farby drukarskiej.

Leniwie brała się do pracy. Najpierw zadawała chłopcu lekcje — z matematyki albo geografii. Każdego dnia miał napisać mały esej na temat, jaki przyszedł jej do głowy. Gdy pisał, ona włączała notebooka i pracowała. Miała tam mapy i trasy, odległości, ceny, informacje o hotelach. Spisywała dane z folderów i dodawała swoje uwagi. Potem był angielski. Właściwie pracowali tylko nad gramatyką, bo jej syn mówił już płynniej niż ona.

Na lunch chłopiec zbiegał sam, przynosił jej z dołu zmrożoną wodę mineralną i jakiś owoc, którego często nawet nie próbowała; wieczorem kradły go małpy. Potem zapadała w lepką drzemkę.

Gdy leżała w półśnie, chłopiec znowu zbiegał na dół i brał w posiadanie bilardowy stół. Bile wędrowały wolno w gęstym, wilgotnym powietrzu. Przez fale snu słyszała ich niecierpliwe kliknięcia.

Kiedy słońce przechodziło na drugą stronę wyspy, wracali do morza, co najwyżej zmieniali miejsce i nurkowali po drugiej stronie mola. O zmierzchu wracali na kolację. Pojawiali się wtedy chińscy nurkowie i ta para. Wszyscy zajmowali stoły daleko od siebie, nieskorzy do bratania się. Prześwietleni na wylot.

Wieczór należało spędzić na kanapach przy barku albo — jak chłopiec i nurkowie — przy bilardzie. Nie dlatego, że tak było najprzyjemniej, ale z powodu ciem. Palenie lamp w bungalowach ściągało do nich wszystkie możliwe owady. Garnęły się do żarówek jak nieprzytomne owadzie duchy, przeciskały się przez szpary w ścianach, przez stare dziurawe moskitiery, przez nieszczelne lufciki. Tylko w otwartej przestrzeni tarasu można było tolerować ich transowy szeleszczący taniec. Mike chętnie podawał wtedy drinki, czasem dosiadał się do gości, żeby zamienić kilka słów.

Kolejnego wieczoru rozmawiała z tymi młodymi wpatrzonymi w siebie ludźmi. Z bliska przestawali być parą. Uderzała w oczy ich nieprzyjemna dysproporcja. On był duży, zwalisty. Ona ciemna, drobna, wiotka. On mówił głośno, z wyraźnym australijskim akcentem. Ona cicho, melodyjnie, piękną angielszczyzną. On, tak jej się wydawało, nadymał się, jak pewien rodzaj ryby, która żyje przy dnie — tłamsił wokół siebie przestrzeń, pęczniał. Ona kurczyła się. Miało się wrażenie, że jest mniejsza, lecz gdy wstawała, żeby kupić paczkę papierosów czy kolejnego drinka, okazywało się, że jest wysoka, piękna i zawstydzająco samowystarczalna.

Niewiele mieli sobie do powiedzenia, gdy rozmawiali we trójkę. Grzeczne pytania i zdawkowe odpowiedzi. Zakrzywiali przestrzeń, słowa, jakie wymawiali, tajemniczo wracały do nich; wszystko, co powiedzieli, dotyczyło ich samych.

Następnego dnia rano, gdy kobieta z chłopcem szykowali się do zejścia na plażę, zobaczyła ich, jak kochali się na tarasie. Dziewczyna siedziała na barierce i obejmowała go nogami. Twarz podniosła w górę, jakby się opalała. Poruszali się powoli, leniwie, podobni do ukwiałów, do falowania morskiej trawy.

Spokojnie stanęła na linii wzroku dziecka i — pewna, że niczego nie zauważył — delikatnie odwróciła jego głowę ku morzu.

Wieczorami widzieli z mola wielki, oświetlony jak wystawa eleganckiego sklepu, statek spacerowy. Mijał ich powoli, majestatycznie, z niezmąconą pewnością swojego kursu na większą wyspę. Z tej odległości nie było widać ludzi, tylko pomarańczowe światła górnego pokładu, które z minuty

na minutę wygrywały rywalizację z blaskiem zachodzącego słońca. Później liniowiec dołączył do innych świateł i roztopił się w nich.

Czwartego wieczoru przybił do mola kursowy kuter, ten sam, którym i oni przypłynęli. Chłopiec już spał. Kobieta siedziała na tarasie bungalowu, z zeszytem rozłożonym na spieczonych udach. Czytała małe wypracowanie z polskiego, które zadała wczoraj synowi. Bardzo konkretne. Temat brzmiał:

„Co widzę, gdy zamknę oczy".

Mike prowadził grupkę ludzi. Chwilę stali przy recepcji, gdzie rozdzielił im klucze. Widziała cztery kobiety w średnim wieku i jednego z kelnerów, który wyruszył rano po prowiant. Ich głosy dochodziły z ciemności na zboczu i po chwili w sąsiednich domkach zapaliły się światła. Poczuła się nieprzyjemnie osaczona.

Widziała Mike'a — wracał ścieżką, pogwizdując, a w końcu stanął za kontuarem baru i wycierał szklanki; czeka na gości. Zeszli wszyscy, także zakochana para, i zaraz z drinkami w dłoniach zagłębili się w rozgrzane upałem, zwiotczałe ciała kanap. Cztery nowe kobiety usadowiły się przy barze i hałaśliwie flirtowały z Mike'em, wybuchając raz po raz śmiechem, który rozbijał się natychmiast o ścianę obojętnej ciemności.

Odwróciła się w stronę gadających zarośli, tak żeby nie widzieć żadnych świateł. Podniosła wzrok na niebo. Było ciemniejsze, uboższe. Mimowolnie szukała na nim znajomych gwiazdozbiorów. Potrafiła się orientować według Wielkiego Wozu i złamania dyszla. Były tam dwie gwiazdy, ale to tajemnica. Nie każdy mógł je zobaczyć. Ona umiała i nauczyła tego syna. Trzeba było zignorować ciemność wokół większej gwiazdy, wtedy ta mała pokazywała się sama.

Ale tutaj nie było Wielkiego Wozu; ani małego rozczulającego Warkocza Bereniki, ani Gwiazdy Polarnej. To niebo było obce, dziwaczne, niewarte uwagi.

Rano, gdy oboje poszli nurkować obok przystani, zobaczyli z wody małą motorówkę pocztową, która codziennie przybijała z dużej wyspy. Łódź

kołysała się, gdy z pomocą przewoźnika wysiadało z niej dwóch mężczyzn — jeden młody, chłopięcy, drugi starszy, bardzo szczupły, wyraźnie w nie najlepszej kondycji — wspierał się na tym młodszym i pozwalał mu się podtrzymywać pod ręce. Z łodzi wyciągnięto też dwie duże plastikowe kapsułowate walizy, które zaraz zabrali kelnerzy. Do nowych gości wyszedł Mike, jak zwykle radośnie uśmiechnięty. Ich słowa zagłuszał rytmiczny plusk wody. Chłopiec krzyknął do Mike'a i pomachał mu z wody ręką.

Przy śniadaniu Mike tryumfalnie podał jej herbatę.

— Czarna. Chińska — powiedział.

Od niego dowiedziała się, że te kobiety to Europejki i podróżują dookoła świata. A mężczyzna, którego dziś przywiozła motorówka, jest iluzjonistą, który każdego sezonu pracuje na dużej wyspie i na statku-kasynie. Ale podobno zasłabł i kazał się przywieźć tam, gdzie nie ma tylu ludzi. Jego asystent wrócił na dużą wyspę, żeby odwołać występy i spakować dekoracje. Zarezerwować bilety. Umówić lekarzy.

Na lunchu usłyszała, że kobiety między sobą mówią chyba po niemiecku. Mężczyzna, zapięty pod szyję, siedział przy ostatnim stoliku. Miał przed sobą rozłożoną malajską gazetę. Po jedzeniu wziął tabletki, kliknęło blaszane pudełeczko.

Chłopiec był mokry od potu, jego jasne włosy skleiły się nad czołem. Poszedł do Mike'a i teraz wybierali płetwy i maski do nurkowania.

Miała wrażenie, że Mike darzy ją szczególnymi względami — nie było w tym nic erotycznego, raczej współczucie. Kobieta, która podróżuje z dzieckiem, musiała zostać przez kogoś porzucona i teraz z chłopcem znaleźli się poza stadem, do nikogo nie należą, są jak zgubione, pojedyncze karty z talii. Takie kobiety to kłopot. Trzeba się nimi zaopiekować. To instynktowne. Sądziła, że dlatego zaproponował im wyprawę na Wyspę Żółwi. Zaprosił też innych, ale bez przekonania, tak że o umówionej porze na przystani zjawiło się tylko ich troje. Czekali jeszcze kwadrans, rozmawiając o nieuniknionej zmianie pogody w ciągu najbliższych tygodni, a potem wsiedli do łodzi i ruszyli w stronę wysepki.

Płynęli pół godziny, nie więcej. Za ich plecami wulkaniczna wyspa ukazała się w całej okazałości — wyglądała jak zdjęcie z folderu, wydawała się doskonała, rajska. Morze przy brzegu miało ten lazurowy odcień, który zachwyca turystów na całym świecie. Zieleń dżungli była z tej odległości świeża i bujna jak w oranżerii. Przykryte liśćmi palmowymi bungalowy kojarzyły się natychmiast z popularną i romantyczną wersją przygód Robinsona. Mike spojrzał na swój hotel z dumą, pewnie chciałby coś powiedzieć, ale warkot silnika odbierał ochotę do rozmów.

Łódź nie mogła przybić do brzegu z powodu ostrych skał otaczających Wyspę Żółwi. Zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od kamienistej plaży. Kobieta z niedowierzaniem popatrzyła na Mike'a.

— Musimy tam dopłynąć — powiedział i zsunął się do wody pierwszy, trzymając nad głową plastikowe, szczelnie zamknięte pudło.

Niechętnie poszła w jego ślady, a potem z niepokojem asekurowała chłopca. Płynąc, pomyślała, że nie podoba jej się ta wyprawa, że właściwie wolałaby leżeć przed domkiem w hamaku.

Nieprzyjemne i niebezpieczne okazało się samo wyjście na brzeg. Skały były ostre, a fale brutalnie popychały delikatne ludzkie ciała. Kobieta zbyt szybko chyba sięgnęła stopami skalistego dna, bo zaraz potem krzyknęła i upadła niezdarnie na kolana.

— Dobry początek, Mike — powiedziała. — Teraz napadną nas szalone żółwie.

Mike pomógł chłopcu bez szwanku dostać się na brzeg. Kobieta oglądała zranione kolano. Po nodze ciekła jej strużka krwi.

Ale za to wyspa była niesamowita. W jej środku rosły kępy suchych krzaków. Splątane łodygi, zdrewniałe od soli i wiatru, miały biały odcień, jakby zbudowane były z kości. Roślinny szkielet wysmagany przez wiatry tworzył przy ziemi ciemne, wilgotne labirynty. Chłopiec radośnie biegał po małej plaży i przynosił matce piękne olbrzymie muszle, jakich nigdy nie znalazł przy ich hotelu.

Mike ją zaskoczył. Wyciągnął z plastikowego pudełka biały obrus, rozłożył go na piasku i ustawiał teraz na nim trzy białe porcelanowe filiżanki. Patrzyła na niego zdziwiona.

— Piknik — powiedział wesoło. — Zrobiłem wam piknik.

Pojawił się termos i tacka z czekoladowymi ciasteczkami. W ciągu minuty czekolada zaczęła się topić i spływała na dno talerzyka.

Kobieta uklękła przy obrusie zadowolona. Uśmiechnęła się, gdy Mike nalał do filiżanek herbatę z termosu.

— To śmieszne — odezwała się. — Po co to robisz? Te czekoladowe ciasteczka, ten piknik?

— Cukru? — zapytał wesoło i otworzył pojemnik z kostkami cukru.

— Nie słodzę.

Chłopiec przysiadł przy nich i delikatnie, długimi szczupłymi palcami, odkleił ciastko. Na jego plecach zaczynała się już bielić skrystalizowana sól.

— Pomyślałem, że pewnie się nudzicie. Reszta gości nie jest zbyt towarzyska.

— Nie. To miłe, Mike, ale ja nie potrzebuję towarzystwa.

— Co z tymi żółwiami, czy je spotkamy? — zapytał chłopiec. Trzymał bezradnie pobrudzone czekoladą dłonie. Mike podał mu papierową serwetkę.

— Jak będziemy mieć szczęście, to je zaraz zobaczymy. Są ogromne.

Mike szeroko rozłożył ręce.

— Takie wielkie? Nie wierzę. Nie ma takich żółwi.

— Zobaczysz.

Chłopiec odszedł kilka kroków, zwabiony nagle widokiem dużej regularnej muszli. Wyglądała jak zikkurat.

— Zastanawiam się, co ty tu robisz. Podróż dookoła świata?

— Grzeję kości — roześmiała się i zaraz dodała: — Jestem w pracy, to moja praca. Robię przewodniki dla yuppies. Ciebie też w nich umieszczę. I twój piknik, i te ciasteczka. A ty mieszkasz tu na stałe? — zmieniła temat.

Powiedział, że ma żonę i dzieci na lądzie, mieszka z nimi poza sezonem, a teraz musi zarobić na cały rok.

Dopiła herbatę i wstała. Postanowiła, że obejdzie wysepkę dookoła. Stopy zapadały się po kostki w rozgrzanym piasku. Szła wilgotnym pasem, tak że fale natychmiast rozmywały ślady. Gdy się odwróciła, zobaczyła małe figurki Mike'a i syna — pochyleni nad skalnym cyplem, wysuniętym w morze i obklejonym ostrygami. Wiatr przynosił jakieś strzępki ich słów.

Wyspa z drugiej strony nie była już tak gościnna. Krzaki schodziły pod samo morze; żeby pójść dalej, musiała się przez nie przedrzeć. Korzenie drzew porośnięte były maleńkimi muszelkami, roiły się na nich ruchliwe żyjątka. Wyspa z hotelem zniknęła — teraz widziała tylko gładkie, lekko zamglone od upału morze, ani niebieskie, ani lazurowe, tylko mlecznoszare, nieciekawe. Monotonny, rytmiczny grzmot. Oślepiające ostre słońce. Czuła jego szpileczki na karku i plecach i pomyślała o filtrach, czy posmarowała nimi syna. Tak, i siebie też. Wcierała po kąpieli pachnące mleczko, czuła własne kości pod skórą i dotyk wysuszonej, szorstkiej od słońca skóry. Przyspieszyła kroku, teraz już prawie biegła. Na szczęście wyspa okazała się mniejsza, niż myślała. Po chwili zobaczyła dwie małe figurki na skałach i zdecydowała się pójść do nich nie przez plażę, lecz na ukos, przez środek wyspy. Na chwilę zanurzyła się w niepewny cień krzaków, a potem zobaczyła żółwia.

Był rzeczywiście ogromny, wyglądał jak wzniesienie terenu, kupka kamieni. Oni nie mogli go widzieć — tkwił w cieniu za skałą. Podniecona podeszła bliżej i wtedy okazało się, że to, co ujrzała, było tylko skorupą. Wewnątrz tkwiły jeszcze na kościach resztki mięsa, oblazłe przez muchy, ruchome od robaków, poszarzałe, zeskorupiałe. Ogryziona czaszka leżała obok, rozwarte szczęki trzymały się wciąż razem na wyschniętym ścięgnie. Uderzył ją w twarz smród padliny. Krzyknęła i przycisnęła dłonie do ust. Przybiegli do niej, zaalarmowani. Chwyciła syna za ramiona i odwróciła go ku morzu. Nie chciała, żeby to widział. Zrobiła to za późno. Przyciągnęła jego głowę do piersi, chyba zbyt mocno, bo jej się wyrwał i pobiegł z powrotem.

— W porządku — powiedział Mike. — Idźcie na nasze miejsce. To tylko martwy żółw. Nic strasznego.

Zaczął zasypywać piaskiem martwe zwierzę. W powietrze podniosła się chmara much. Dogoniła chłopca i wzięła go za rękę.

— Dlaczego był martwy? Co mu się stało? Czy był chory? — zapytał przejęty.

— Może umarł ze starości.

— Szkoda. Chciałbym zobaczyć takiego żółwia żywego. A wiesz, że Mike jadł ostrygi prosto ze skały?

— A ty? Jadłeś?

— Ja nie. Ohyda. Łee — skrzywił się.

Pozwoliła mu pobiec przodem.

— Zaraz po nas przyjadą — powiedział do.

Mike wrócił zmieszany. Wyciągnął z pudełka walkie-talkie i mówił coś w języku nurków.

— Zaraz po nas przyjadą — powiedział do niej.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na wyspę z hotelem Mike'a. Nagle zatęskniła do ich pustego, prymitywnego bungalowu.

— Przepraszam za tego żółwia, ale to tylko martwy żółw.

— Daj spokój, przecież nic się nie stało.

— To tylko martwy żółw — po chwili powtórzył po Mike'u chłopiec i pakował do kąpielówek co piękniejsze okazy muszli.

Morze składa się z warstw, delikatnych, ulotnych, niewidzialnych. Można je wyczuć tylko ciałem, całą jego powierzchnią. Kto wsunie się między nie, poczuje ulgę, jakby to był powrót do dawno utraconego domu, do prawie już zapomnianego wielkiego oswojonego wspólnego ciała. Zielonkawoniebieski kolor wody jest kompresem dla pokłutych słońcem oczu. Drobne bąbelki wznoszą się skądś ku powierzchni jak zmaterializowane oznaki radości.

Płyną metr pod powierzchnią, młócąc płetwami. Już są kawałek za molem i widzą dno, które z pustego i piaszczystego przechodzi powoli w cud rafy. Najpierw dostrzegają na piasku pojedyncze rozgwiazdy i jeżowce, potem pojawiają się rozdziawione, tańczące ukwiały i fantastycznie kolorowe rybki między ich falującymi ramionami. Trzeba zatrzymać się co jakiś czas, żeby wydmuchać z rurki wodę, a wtedy okazuje się, że niebo tam na górze jest białe i rozpalone jak stal, że powierzchnia morza składa się z migoczących tafelek szkła, a powietrze świszczy od warkotu łodzi motorowej, głosów ludzi, hałasu fal. Jest za głośno.

„Więc lepiej do wody", myśli kobieta i płynie za chłopcem lekko w dół. Widzi jego smukłe, jasne ciało, nabierające w wodzie nieobecnej na lądzie

gracji, a zielone płetwy wydają się oczywistą częścią tego nowego, podwodnego wcielenia. Wyciągniętą ręką chłopiec pokazuje jej coś na dnie — ona podąża wzrokiem w tamtym kierunku i napotyka jaskrawe błękitnoczarne oko jeżowca.

Starają się zejść jak najniżej, ale tam jest gdzieś następna niewidzialna granica — nieprzyjemny szum w uszach, rozpychająca się pustka w głowie, która grozi wybuchem, strzeże leżących na dnie skarbów. Senne pastelowe ukwiały kołyszą się w rytm niesłyszalnej muzyki i kibicują wyścigom prądów morskich. Żywe skały porastają małe znaczki, powtarzające się i zwielokrotnione miliony razy pięknym wzorem zebranym w kiście i sople. Kremowe budowle miasta odwiedzają tylko ryby oszustki z okiem na ogonie i dziwne nieruchawe istoty o ogórkowych kształtach, które zostawiają po sobie regularny ślad na piasku. Może wędrują przez sen? I zawsze w jakimś piekącym momencie trzeba się wynurzyć, pozwolić się wyrzucić na powierzchnię jak korek i zaciągnąć się ciężkim ołowianym powietrzem, napompować tlenem krew. A potem nigdy nie można już wrócić w to samo miejsce, do tego samego punktu — wygląda na to, że świat na dole jest niestały i faluje, i wszystko w nim jest umowne, niegodne zaufania. Im dalej płyną, tym koralowe miasto robi się rozleglejsze, większe i ciekawsze, ale tym odleglejsze, niedotykalne. Wkrótce widzą je tylko, by tak rzec, z lotu ptaka — podniebnie dalecy obserwatorzy, myśliwce, satelity, które mogą już tylko chłonąć wzrokiem, na nic nie mając wpływu.

Widzą więc świat niewyobrażalny, świat, którego nie dałoby się wyśnić, ponieważ nie ma w nim nic znajomego — jest zbudowany według zupełnie innych prawideł, w niewiedzy o wszystkim, co nie jest nim samym. Oddzielony lustrzaną błoną wody od nieba wpatruje się w siebie. Ma swoje prądy i ścieżki, po których podróżują obojętne ławice ryb. Przybysze z zewnątrz są ignorowani, omijani jak martwe przedmioty, kawałek skały czy fragment dryfującego drewna. Wszystko, co dostaje się tutaj z zewnątrz, jest zaledwie obrzucone roztargnionym spojrzeniem i pozostawione sobie. Korale mogą to najwyżej zasiedlić, strawić, rozpuścić. Kształty są niestabilne, nie można im ufać. Żywe udaje martwe, a martwe — żywe.

Wiszą nad tym otwierającym się ku głębiom kosmosem jak dwie komety, duża i mała, zwiastując mu dobrą nowinę, którą on ma za nic i która nigdy się nie ziści. Ten świat jest nieskończony i niepowtarzalny. Nie potrzebuje ratunku.

Jej ciało produkuje zimno. Kiedy wsuwa się między ciepłe, leniwe warstwy wody i płynie, przy skórze tworzą się małe kryształki lodu. Jest obcym ciałem ze świata zimy, unoszonym w ten ciepły ocean, jest taflą chłodu, która zaraża wszystko wokół, tworzy zimny prąd — on od tej pory będzie opływał rozgrzane laguny i powoli zacznie zmieniać klimat. Muszle skurczą się, a ich spiralny rozmach ściśnie się w chaotyczne labirynty, skulą się ukwiały, kości raf zatrzeszczą od reumatyzmu, ławice rybek zamienią się w ostre, lśniące opiłki lodu.

Mężczyzna, ten magik, siedział prawie zawsze przy najdalszym stoliku. Wciśnięty w rattanowy fotel, zapięty pod szyję, w długich spodniach — wyglądał nierzeczywiście. Jego skóra, pełna pieprzyków i znamion, opaliła się na niełady ziemisty kolor, a rysy stały się zbyt ostre — tak się starzeją przystojni mężczyźni. Krótkie skręcone włosy, ostrzyżone tuż przy skórze, siwiejące, z daleka wydawały się małą obcisłą czapeczką. Chował je pod słomkowym kapeluszem, który zsuwał sobie na oczy. Gdy tak tkwił nieruchomo przy stoliku, podnosząc do ust szklankę z sokiem, a może jakimś owocowym drinkiem, miała wrażenie, że obserwuje wszystko czujnie i uważnie jak drapieżnik skonfundowany tym, iż znalazł się na wyspie wegetarian. Tak właśnie pomyślała: „drapieżnik". Wydawało się jej, że go zna, i próbowała przypomnieć sobie skąd. Zapytała syna, czy też mu kogoś przypomina.

— Może z gazet?

— Déjà vu — powiedziała — mam déjà vu.

— Błąd w matriksie — odpowiedział chłopiec.

Gdyby był trochę tęższy, a jego ciało bardziej miękkie i blade, przypominałby jej ojca. Jego policzki, linia ust, w taki sam sposób ciążyły ku ziemi — znak, że długo walczył z rezygnacją, i przegrał. Śladem tej walki był ironiczny grymas udający uśmiech i nieustanna, bezinteresowna gotowość do zadania ciosu. Na takich ludzi spontanicznie reaguje się

współczuciem. Przyjmują je z wdzięcznością, jakby im się należało, a potem szczypią i kłują przez nieuwagę, z roztargnienia, z prostego faktu, że przede wszystkim zajmują się sobą.

Po kolacji mężczyzna zapytał, czy może się przysiąść. Przedstawił się. Nazywał się Kisz, i zabrzmiało to fałszywie, jak inicjał. Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem, ale pobrzmiewało w jego głosie też coś egzotycznego, twardość, szorstkość. Bąknęła swoje imię: Maja.

— Polacy? — spytał.

— Tak — odpowiedziała niechętnie i zaczęła szukać w myślach pretekstu, żeby stąd odejść.

Patrzył na nią błyszczącymi oczyma, z lekkim uśmiechem, który odkrywał sieć zmarszczek promieniujących z kącików oczu. Był starszy, niż przypuszczała.

— Rozpoznałem język. Miałem przyjaciół Polaków.

Przysiadły się do nich te cztery, wesołe, rozbawione kobiety; widocznie wycieczka, jaką sprawił im Mike tego dnia, udała się. Martwy żółw został zakopany, ciasteczka w czekoladzie zjedzone.

Znudzony chłopiec odszedł do stołu bilardowego i tam rozgrywał samotną partię. Oczy jej i Kisza przesunęły się za dzieckiem. Chłopiec wymyślił jakąś swoją grę — ustawiał kule w dwa rzędy, jak do walki. Może to była zabawa w wojnę.

Zapamiętała ich imiona: Trees, Olga, Marike i Ingrid. Mówiły ze sobą nie po niemiecku, lecz po flamandzku. Kobiety były w drodze, z zapałem opowiadały o swojej podróży i następnych przystankach. Niektóre linie lotnicze mają takie oferty: podróż dookoła świata, specjalne zniżki na przeloty, kilka etapów. I tylko jeden warunek — trzeba się poruszać zawsze w jedną stronę. Musisz się określić na początku: wschód czy zachód. Potem wszystko jest już proste. One wybrały: ku słońcu, na wschód.

Niechlujnie wymawiały egzotyczne nazwy miejsc docelowych. Mówiły o biletach i rezerwacjach. Na nieznaną nazwę reagowały tak samo — pytaniem, czy tam jest bezpiecznie. Ponieważ to są ostatnie momenty starego, bezpiecznego świata, jaki znamy, mówiły. Ostatnia okazja, żeby ruszyć w wielką podróż, póki wszystko działa. Już niedługo granice

zatrzasną się, a lotniska opanują terroryści. Więc kto żyw, niech rusza w drogę. Jeszcze jest czas.

W miejscach jak ta wysepka wszyscy się w końcu do siebie upodabniają. Przybysze, wędrowcy, włóczędzy zawsze stoją wyżej, ponieważ nie powiedzieli „tak" żadnemu miejscu, a więc nie oddali się w niewolę. Domy, z których wyruszyli, ulegają chwilowemu zapomnieniu, zapadają w niebyt. Ich kraje także stają się nierealne, nie mówią o nich tutejsze gazety, nikogo nie obchodzą. Tamto życie, z którego się na jakiś czas ewakuowali, przestaje istnieć, co daje iluzję wolności. Bez miejsca i imienia, bez znajomości ich łóżek, szaf z ubraniami, ich porannego wstawania, półek z kosmetykami w łazience, słów, którymi klną, i stron w Internecie, które odwiedzają. Bo czym można jeszcze określić ludzi? — Stają się powtarzalni, wielokrotni. Im mniej jest się określonym, im mniej zależnym — tym większe złudzenie, że ma się przed sobą więcej wyborów, kręci się w głowie od możliwości samego siebie, od potencjalnych, nierozwiniętych jeszcze łańcuchów zdarzeń.

Sztuką jest odkryć i utrzymać ten stan zawieszenia, nieopowiadania się po żadnej ze stron, być jak preparat w formalinie, który tkwi w przezroczystym płynie, nie dotykając żadnej ze ścian, i obojętnie daje się oglądać, jakby go śniono. Pozwalać się śnić — po to są podróże.

Gdy patrzyli na mijający ich oświetlony liniowiec, jedna z kobiet powiedziała, żeby koniecznie wybrać się na większą wyspę. Innej przypomniało się, że grała kiedyś w ruletkę i nawet wygrała, że czuła numery i coś jej mówiło, na co ma postawić. I już każdy czekał na swoją kolejkę, żeby opowiedzieć jakąś drobną historię o sobie albo którymś ze swoich znajomych. Co im się zdarzyło. Nie było żadnych zasad, które mogłyby obowiązywać, nawet temat, bo i on powoli dryfował ku zapadającej nocy.

Najwięcej mówiła drobniutka Holenderka o szarych, krótko obciętych włosach i okrągłej twarzy. Przypominała podstarzałe dziecko. Siedziała z rękami złożonymi na udach, wyprostowana, a jej ramiona wydawały się lekko uniesione, jakby właśnie nabrała powietrza i już miała je wypuścić, lecz z jakichś względów nie mogła:

— W takim razie proszę posłuchać, co zdarzyło się mnie — podsumowywała każdy głos i niczym uważna obsesyjna prządka pruła to,

co zostało powiedziane przez innych, i dziergała swoje własne szaliki, robótki, wymawiając angielskie głoski przez nos, spiesząc się, żeby jej nikt nie przerwał. „Ja, mnie, u mnie, moje, ze mną, mój, moja" — odmieniała z lubością poety, kogoś, kto ma przyjemność z brzmienia słów. Wyciągała wysoko głowę, lekko unosiła ją do sufitu, właściwie dając do zrozumienia, że nie mówi do reszty siedzących niewygodnie w zapadniętych kanapach, lecz jej słuchaczem jest ktoś ponad nimi, zawieszony pod sufitem obraz albo czyjaś niewidoczna obecność — wielkie ucho, które słucha.

Maja nie powinna już pić alkoholu, nie. Odsuwa ją delikatnie na bok, buduje wokół niej subtelną ścianę z gazy, z muślinu.

Mówiąca kobieta — Olga czy Marike — Mai wydało się, że mimowolnie wszyscy przyjmują tę samą pozycję, co ta kobieta, wyciągają głowy do palmowego sufitu, lekko unoszą twarz, jakby światło mdłego lampionu mogło opalić ich skórę; i nawet Kisz o zmęczonej obwisłej twarzy prostuje się, lecz jego twarz w tej nienormalnej dla siebie pozycji nagle przybiera tragiczny wyraz, staje się maską o ciemnych czerwonych ustach i oczach powiększonych o brązowe cienie.

Wtedy Maja ma wizję i nie może odsunąć od siebie tego obrazu, przestaje słuchać: woda wlewa się z morza na plażę i cicho przesącza się pod drewnianym podestem, anektuje plażę, centymetr po centymetrze, uwalnia muszle z ich piaskowej niewoli, wypełnia niewyraźne ślady stóp. Deski ustępują temu potopowi, w końcu woda pojawia się pod ich nogami i podnosi się w pełnej grozy ciszy. Zalewa ich niezauważalnie, sięga już po kolana. Ale nikt tego nie widzi, pochłonięty rozmową czy monologiem. Może tylko ciała są czujne, bo nogi szukają stałego miejsca, żeby się nie poddać naporowi wody, żeby się uchwycić kanap, owinąć o nogę stołu, i to prostowanie i unoszenie głowy jest w istocie nieświadomą reakcją, obroną przed utonięciem — tak, ponieważ potop ustaje, gdy sięga im do brody, i sami o tym nie wiedząc, rozmawiają ponad jej powierzchnią. Wzrok spod przymkniętych powiek i usta wypowiadające zdania zaczynające się od „ja", nosowy akcent, drżące napięte wargi. Głos odbija się od spokojnej powierzchni wody. Pod spodem korale i ukwiały biorą ich ciała w milczące posiadanie.

Zanurkować, wpłynąć w zielonkawą przestrzeń, gdzie przy stole, kurczowo i nieświadomie trzymając się oparć foteli, siedzą ciała bez głów,

niechętnie poddając się łagodnemu, ciepłemu falowaniu wody. Przepłynąć między nimi, oglądać w zbliżeniu ich skórę, jakby patrzyło się na koralową rafę. Podziwiać guziki ubrań odbijające refleksy słabego światła i pierścionek na rozgwiazdach ich dłoni. Zdziwić się istnieniem tak dziwnego stworzenia jak noga w sandale. Zostawić ich za sobą. Ruszyć w otwarte morze.

Za dnia miłość tych dwojga nie przeszkadzała, jeśli kochali się w swoim bungalowie. Kiedy schodzili na posiłki, trzymali się oboje na uwięzi, na smyczach wzroku. On czasem, niby przez przypadek, niechcący, zasłaniał ją przed chińskimi nurkami, stawał tuż przed nią, ona ginęła w jego cieniu.

W nocy jednak uprawiali seks głośno, systematycznie, w zgodnym rytmie, jak miękkie maszyny. Ona jęczała. W ich bungalowie paliło się światło, widocznie musieli widzieć się przez cały czas. Następnego dnia witały ich na lunchu ciekawe spojrzenia. Ich miłość odbywała się więc na scenie, ale i to nie dawało im spełnienia, skoro co noc regularnie musieli się jeszcze w sobie zagłębiać, penetrować, wysyłać do wnętrza swoich ciał sondy.

Maja często nie mogła usnąć albo budziła się w środku nocy mokra od potu. Nadsłuchiwała, mimowolnie skazana miłością tamtych na bezsenność. Nie pomagała północna książka, te łyżeczki i filiżanki ani dalekie istnienie zimy. Nie spała.

Dlatego przy kolejnym śniadaniu poszła do Mike'a i wskazała palcem uboższe domki, jeszcze dalej, wyżej. Mike był zdziwiony.

— Lepsze są te najbliżej morza. Masz bliżej na posiłki.

— Nie — powiedziała ona. — Chcemy tam do góry. Dostali więc klucz i niosła teraz z chłopcem ich dwa plecaki.

Domek był jeszcze mniejszy, a szpary w ścianach jeszcze większe. Wydawał się rzadziej używany — prysznic wyglądał nawet lepiej. Po białych gładkich kaflach wędrowały sznurkiem mrówki. Przez pęknięcie w drzwiach nawiało suchych patyczków i trawy. Sprawdziła dokładnie łóżka — materace były nowe i całe, niemożliwe, żeby mogło coś w nie wejść i uwić gniazdo. Ale teraz nie słyszeli już jęków miłości, tylko błądzące

po nocy małe małpy, ich chichot czy może płacz. Małpy zaglądały przez niewielkie okna. Zdziwione, starcze twarzyczki. Jedna z nich była najśmielsza, prawie natarczywa. Wyróżniała się bokobrodami. Pewnie samiec alfa. A może to matriarchat? Siadała w swobodnej pozie na parapecie i z nerwowym mruganiem, które zdradzało ukrywane napięcie, obserwowała każdy ich ruch. Brakowało jej tylko papierosa, z nim byłaby łudząco podobna do Bogarta. Kobieta fuknęła na nią i potrząsnęła niebieskim obrusem ze stołu, żeby ją przestraszyć.

— Dlaczego ją przepędziłaś? — krzyknął chłopiec. — Moglibyśmy ją oswoić, są takie mądre.

— Mogą być niebezpieczne — powiedziała.

— Pewnie, pewnie, dla ciebie wszystko może być niebezpieczne. Przecież to małe zwierzątko, ciekawe i przyjazne. Dlaczego miałoby być wrogie?

Wieszał na tarasie swoje sznury z muszli. Widzieli stąd całe molo i wszystkie inne domki, a nawet skraj maleńkiej rybackiej wioski w drugiej zatoczce. Odsłonięte morze było gładkie i jasne. Daleko, po prawej widać było brzeg dużej wyspy, która w nocy rozbłyskała światłami.

Obeszła domek dookoła, znalazła martwą, suchą jak patyk jaszczurkę i kupkę sczerniałych muszelek — ktoś przed nimi je tutaj ułożył w kopczyk. Gdy pochyliła się nad nim, poczuła na sobie wzrok wielu oczu. Wyprostowała się powoli i zobaczyła je — małpki wielkości kotów — siedziały na drzewach i przyglądały się jej ciekawie, patrzyły jak na sąsiada, który właśnie się wprowadza.

Zaczęła myśleć o nich przyjaźniej. Przyszło jej do głowy, że są to nie narodzone dzieci z północy, z kraju łyżeczek i filiżanek, obdarzone teraz w nagrodę za nieudane bycie człowiekiem nieokiełznaniem małpiego żywota. Inna cywilizacja. Chłopiec z podejrzaną łatwością podchwycił teorię reinkarnacji, widocznie spodobała mu się jej prosta sprawiedliwość. Potem z konsekwencją umysłu jedenastolatka wydedukował, że każdy ból, każde cierpienie jest swoistym rodzajem dezynfekcji.

— Spalanie karmy — podrzuciła mu.

— Dlaczego więc ludzie nie chcą cierpieć — zapytał retorycznie, gdy schodzili do morza.

— Dziwisz się?

Milczał.

— Nie dziwię się — powiedział i położył się na lazurową, cudownie świetlistą powierzchnię wody, która wyglądała tego dnia jak żelowy cukierek.

Książka, którą próbuje czytać, jest pełna szczegółów. Ten, kto ją napisał, musiał cierpieć na jakąś psychiczną chorobę morską — łapał się przedmiotów, żeby nie zwymiotować; opisywał je z ustami pełnymi śliny, chcąc je pewnie połknąć, zapełnić brzuch tym treściwym balastem, stać się cięższy, bardziej stabilny. To udziela się czytelnikowi — on też staje się człowiekiem-magnesem i przyciąga do siebie łyżeczki, srebrne sosjerki, zegarki z dewizką, sprzączki, guziki. Bilety, żetony, karty. Solidne bogactwo. Do tego stałego kraju tęskni kobieta. Tam adresuje kartki.

Ale jest jeszcze inna pamięć tego miejsca. Tam jej życie składa się wyłącznie z wyjątków i przypadków. Mieszka w mieście, którego nie lubi. Tęskni do miejsc, których nie może znaleźć. To, czego najbardziej chce, nigdy się nie spełnia. Przychodzi do niej to, czego nie pragnie. Jej życie składa się więc z popsutych budzików, kiedy ważna jest punktualność, z przesłyszeń, gdy akurat trzeba dokładnie rozumieć słowa, nie odebranych telefonów z wiadomościami, których nikt nie umie powtórzyć, ze zgubionych kwitków na sprawy nie cierpiące zwłoki, z nieoczekiwanie pustych stron w czytanej książce, które wypadają akurat na kulminację, z odwołanych podróży, które miały szansę poprowadzić wreszcie we właściwym kierunku.

Powoli odkrywając wagę tych wszystkich dokuczliwości, staje jej przed oczami obraz dziurawej przestrzeni, zamazany kraj bez nazwy i granic, kraina jąkałów, gdzie panuje język, w którym każde słowo ma nieskończoną liczbę znaczeń, jest studnią bez dna.

Ten mężczyzna był chory, to jasne. Poruszał się powoli i ostrożnie, jakby przewidywał, że jego ciało jest zbyt kruche na normalny ruch, że nie zniesie zeskoku z ostatniego drewnianego stopnia schodów, nie przetrzyma zbyt gwałtownego uderzenia kijem w bilę, serdecznego

potrząśnięcia dłoni. Często rozmawiał z kimś przez Mike'ową krótkofalówkę, ale potem zaczął dawać Mike'owi znaki, że nie chce odbierać. Wychodził ze swojego luksusowego bungalowu, jedynego zbudowanego z kamieni, a nie z patyków (i miał klimatyzację), dopiero po południu i cały czas siedział bez ruchu, przeglądając gazety, które pocztowa motorówka przywoziła codziennie z dużej wyspy. Wszystkie były z poprzedniego dnia. Gdyby tam miał nastąpić koniec świata, tutaj dowiedzieliby się o tym z jednodniowym opóźnieniem. Z oczami schowanymi pod rondem kapelusza wyglądał jak mebel, jak manekin ustawiony przez właściciela, żeby zachęcić innych gości do drinka. Jego ręce nigdy nie były spokojne. Długie kościste palce obracały małą piłeczkę od ping-ponga albo monetę, małe żywe stworzenia, żyjące w symbiozie z tym chudym, nieruchomym ciałem. Widać nie przeszkadzało mu gorąco ani duszna bryza znad oceanu przypominająca opary wrzątku. Raz widziała go, jak brodził po kolana w wodzie tuż przy brzegu, ze spodniami podwiniętymi powyżej kolan. Jego skóra na łydkach była biała, jakby nigdy nie wystawiał swoich chudych nóg na słońce.

Chłopiec śledził jego ręce. Podążał wzrokiem za piłeczką, próbował nadążyć za monetą.

— Ten pan obiecał mi pokazać sztuczkę.

Kisz poczekał, aż sprzątną talerze, a potem wyciągnął z kieszeni monetę i przecisnął ją w jakiś sposób przez dłoń.

— Mam dziurawe ręce — powiedział i uśmiechnął się z udawanym smutkiem.

Zauważyła, że ma bardzo białe i równe zęby, nowiutkie. Wymawiał samogłoski zbyt okrągle, zbyt śpiewnie i starannie, jakby znudziła go amerykańska gardłowa wymowa.

— Stwarzam coś z niczego — powiedział znowu, po czym w jego dłoni pojawiła się kolorowa gumowa piłeczka. Rzucił ją do chłopca. Mały złapał ją w locie i uważnie oglądał.

— To zwykła piłeczka — powiedział rozczarowany.

— Stworzyłem dla ciebie zwykłą piłeczkę, a teraz patrz — dopił sok i pustą szklankę zawinął w gazetę, a za chwilę zgniótł ten pakunek w dłoni; szklanka zniknęła.

Chłopiec patrzył na niego zachwycony.

— Nauczę cię kilku sztuczek, chcesz?

— Jasne — powiedział, a jego oczy zabłysły.

— Czytasz po angielsku?

Chłopiec przytaknął.

— Mam książkę o najsłynniejszych sztuczkach. Mogę ci pożyczyć.

— Och, bardzo chcę.

— Jutro ci przyniosę. Mam ją w bagażu. Popatrz jeszcze raz i pomyśl, jak to robię, to proste, popatrz — położył piłeczkę na dłoni i przykrył ją drugą. Nie wiedziała, jak to się stało, za chwilę piłki nie było. Chłopiec westchnął z wrażenia.

— A teraz, zobacz, stwarzam ją — i pod jego dłonią znowu pojawiła się piłka, tym razem zielona.

— Gdzie coś jest, jak zniknie? — zapytał chłopiec.

Kisz uśmiechnął się tajemniczo i niewinnie, jak ksiądz. Mike wybuchnął śmiechem.

— Wiesz, że to jest niemożliwe. Nie można stworzyć czegoś z niczego ani przepychać przez ręce pieniędzy — powiedziała, gdy leżeli w wilgotnym upale zbliżającej się nocy.

Myślała, że sprawi mu tym przykrość, ale on sennie odpowiedział, że wie. Powiedział też, iż byłoby pięknie wierzyć, że jest to możliwe. Wiedziała, że zasypia z zielonkawą twardą piłeczką w dłoni.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo chłopiec się zmienił, od kiedy wyruszyli w tę podróż kilka miesięcy temu. Dorastał. Jego ciało powoli nabierało mocy. Kolana i przeguby zrobiły się nagle duże, nieproporcjonalne, ciężkie. Stopy rosły mu z uporem, milimetr każdego dnia, tak jej się wydawało, może więcej. Spotykała teraz jego oczy tuż przed swoimi, już nigdy nie będzie musiała kucać przed nim, żeby zajrzeć mu w twarz, nigdy się nad nim nie pochyli. Palce u rąk wysmuklały, jeszcze nie wiedziały, co zrobić ze swoją siłą, jeszcze dłonie były miękkie, jak u dziecka. Ruchy traciły powoli szybkość i dziecinną gwałtowność. Stawały się senne, powolniały.

Miała dziwne wrażenie, że usypiał, że dojrzewanie jest w istocie zapadaniem w sen, stanem prawie lunatycznym. Teraz często kładł się spać zaraz po zachodzie słońca i spał do wschodu. Noc była nocą, dzień dniem. Nie naruszał jeszcze, jak dorośli, granic tego uniwersalnego podziału, uczestniczył w nim ze zwierzęcą precyzją. Jego ciało we śnie wydzielało nowy, zaskakujący zapach; nie znała go, jakby w domku był ktoś obcy. Mówił przez sen językiem, który imitował rzeczywisty, ale nic nie znaczył, przynajmniej dla niej. Słychać było w nim istnienie jakichś reguł gramatycznych, końcówki wydawały się podporządkowane prawom deklinacji, ale jego wypowiadane, urywane nocne słowa nie miały sensu. Rozespana myślała, że powinna to zapisać i w świetle dnia przyjrzeć się tym tajemniczym słowom; może wtedy udałoby się odnaleźć w tym treść, ale osłabiona ciężkim, spoconym snem nie znajdowała w sobie siły, żeby wstać po długopis i kawałek kartki.

Całe noce małpy — a może były to inne zwierzęta? — hałasowały nad domkiem. Czasem przelatywały po dachu w gwałtownych gonitwach. Budziła się i zasypiała, rejestrując jeszcze obojętnie cykanie jaszczurek, które przesiadywały uczepione sufitu. Nad ranem, gdy zaczynało się robić jasno, wszystko cichło. Świt uspokajał, wschodzące drapieżne słońce robiło światu zdjęcie i unieruchamiało go w długim, stężonym oczekiwaniu, zanim naprawdę zacznie się dzień.

Chłopiec wstał wcześnie i zaraz pobiegł na śniadanie. Czekał na Kisza, ale tamten nie pokazał się. Widziała z góry Mike'a z Holenderkami, jak wsiadali się na motorówkę, żeby posmakować komfortu pobliskiej cywilizowanej wyspy.

Po zajęciach wymyśliła wycieczkę do wioski, brzegiem morza. Chłopiec opierał się, mając jeszcze pewnie nadzieję, że Kisz zjawi się z książką, potem jednak niechętnie zgodził się iść. Włożyli kapelusze i posmarowali się filtrami. Zapakowała do małego plecaka picie i trochę słodyczy.

Wyspa z brzegu wyglądała jak sceneria romantycznego filmu. Byłaby cudowna, gdyby dało się wyłączyć gorąco, ciężki skwar. I zapach rozkładających się ryb, gnijących glonów. Byłaby piękna, gdyby można ją było wyciąć z tej nieprzyjemnej reszty i wkleić do chłodnego albumu pamięci. Tak też miała zamiar zrobić.

Szli plażą jakiś kilometr, po kostki w wodzie. Znajdowali tutaj więcej wielkich fantastycznych muszli, o których Mike powiedział im, że nie wolno ich wywieźć. Są bogactwem narodowym. Były zresztą zbyt duże, żeby udało się je włożyć do kieszeni czy plecaka i nieść. Oglądali je więc tylko, w końcu, znużeni powtarzalnością wzorów, zostawiali. Potem weszli na brzeg i posuwali się wąską ścieżką. Za chwilę mijali mały cuchnący port z kilkoma prymitywnymi motorówkami, przymocowanymi do wbitych w dno pali i suszących się sieci. Morze wyrzucało z siebie odpadki — takie same jak wszędzie: plastikowe torebki, cynfoliowe papierki po słodyczach, kawałki kubków po lodach, opony — jakby było wielką, czyszczącą się raną.

Dwójka małych półnagich dzieci przyglądała im się w skupieniu. Nie zareagowały na pozdrowienie. Wieś składała się z kilkunastu drewnianych chat, podobnych do ich bungalowów. Dwie z nich miały anteny satelitarne wymierzone prosto, prawie pionowo w niebo. Zrobiło się tak bardzo gorąco, że musieli poruszać się płynnie, jak w zwolnionym tempie. Oczy tylko przed siebie, żadnych gwałtownych ruchów. Chłopiec zaczął narzekać, że jest zmęczony i żeby wracali. Nie było jak ochłodzić się choć na chwilę w morzu. Tutaj morze było zdewastowane śmieciami, wrakami popsutych łódek, pocięte małymi dziurawymi molami, śmierdzące. Ani żywej duszy, pewnie mieszkańcy siedzieli wewnątrz ażurowych domków w cieniu anten.

Kręcili się jeszcze trochę pod drzewami i już mieli ruszać z powrotem, gdy zobaczyli na kamiennym cyplu budowlę inną niż wszystkie.

Była to kapliczka z kamienia, nawet nie kapliczka, lecz ołtarzyk zacieniony drzewami, postawiony frontem ku morzu, na wprost lichego mola i przycumowanych do niego łódek, na wprost pasa kamienistej, cuchnącej rybimi odpadkami plaży. Na dwóch stopniach ustawiono pieczołowicie kilkanaście figurek bóstw — buddowie, kilkurękie boginie, smukła postać w obfitych szatach, przypominająca jakiegoś katolickiego świętego — wzruszający, prosty synkretyzm.

Przy figurkach leżały świeże owoce, zawsze w symbolicznych ilościach — jeden banan, mango, była tam też paczka gumy do żucia, Wrigley Spearmint, i mały rulonik mentosów. Przy jednej figurce stało coś, co przyciągało wzrok — plastikowa butelka ze smoczkiem, do połowy napełniona mlekiem. Bóstwo, bóstewko, dla którego przeznaczono tę

mleczną ofiarę, było bez wątpienia dzieckiem — duża głowa, małe, nieporadne kończyny, uśmiechnięta, pucołowata twarz. Szeroki uśmiech i coś jakby zbroja, imitacja zbroi do dziecinnej walki, udawanej, niepoważnej. Kto chciałby walczyć z dzieckiem? Zrobiła mu zdjęcie, a chłopiec, ożywiony, położył u jego nagich stóp eukaliptusowego cukierka.

Ten radosny bóg zapraszał do zabawy, śmieszył. Rana od jego miecza mogłaby tylko łaskotać. Sprawdzimy w encyklopedii, co to jest, obiecywał sobie chłopiec.

Wrócili tak zmęczeni, że chłopiec zaraz usnął. Żadnego głodu, tylko pragnienie. Leżała na łóżku i słyszała, jak skwar wyciszał wszystko w samo południe — przykręcał głośność. Myślała, jak długo dałoby się żyć bez jedzenia. Tutaj w tropikach o wiele dłużej niż tam na północy, gdzie zimno wychładza nawet najbardziej odporne ciała. Tutaj można by spróbować. Przyjmować energię wprost ze światła, tę najczystszą, może skóra mogłaby wyprodukować z siebie ludzki chlorofil. Jadłaby, leżąc na plaży. Różne odmiany światła miałyby inny smak. Refleksy światła na wodzie byłyby słone i ostre, plamy światła wśród drzew — słodkie. Słońce z nieba lałoby się jak mleko, wielka niebieska pierś i jej nieskończone mleczne strumienie. Zęby zarosłyby błoną niczym nie używane meble w pokrowcach, język stałby się czysty, wypolerowany, oddany tylko kształtowaniu słów. Przełyk zarósłby, zniknął. Ciało zamknęłoby się, nic obcego nie miałoby do niego dostępu, prawdziwa doskonała monada.

Wracać, skoncentrować się w jedną myśl, jeden plan podróży, przygotować paszporty, sprawdzić aktualność wiz, połączenia busów, pociągów i samolotów. Ustalić, co będzie następnym celem. Wybrać takie miejsca, w których życie nie kosztuje wiele, w każdym razie nie więcej niż w domu, a najlepiej dużo mniej. W ten sposób można zaoszczędzić na samoloty. Żyć tak, żeby wyszło na zero.

Jeszcze nie, jeszcze trochę. Na razie sama myśl o jakimkolwiek działaniu jest wstrętna. To przez ten upał, nie można się na niczym skupić, każde działanie zastyga w pół gestu, każdy plan rozmywa się zaraz, kiedy się go tylko pomyśli. Widok długopisu, wyłączonej od dawna komórki i kluczy

z niczym się nie kojarzy. To są przedmioty fałszywe, do niczego nieprzydatne. Dziwaczne jak stwory z dna innego morza.

Znowu tam siedział, sztywny manekin. Wiedziała, że patrzy na nią, czuła jego suchy, chropawy wzrok na swoich chudych nogach, na ramionach. Oddawała mu takie samo chłodne spojrzenie także wtedy, gdy on nie wiedział, że na niego patrzy. Tak samo jak ona udawał, że nie zdaje sobie sprawy z tej bacznej obserwacji. To ukradkowe patrzenie na siebie od razu czyniło ich wrogami. Byli wrogami z definicji, z założenia.

Mimo swojego normalnego wzrostu miał w sobie coś karlego, gnomicznego. Może brało się to z zaokrąglonych pleców i chudej, pomarszczonej szyi. Jego głowa była zawsze lekko wysunięta do przodu, jak u żółwia albo jakby nieświadomie prowokował innych. Czasami wyglądał na starca, ale potem, gdy promienie słońca i cienie palm były bardziej łaskawe, wydawało się, że nie ma więcej niż czterdzieści kilka lat. Starała się nie patrzeć na jego stopy — budziły jej nieopisany wstręt — z sandałów wystawały długie palce, tak smukłe, że stopa przypominała dłoń. Paznokcie miały nieprzyjemny, pożółkły kolor.

Zawsze starała się usiąść przy innym stole niż on. Czasami jej się to nie udawało. Teraz przysiadł się do niej, gdy piła herbatę. Ostentacyjnie zagłębiła się w lekturze turystycznego folderu.

— Ktoś mógłby powiedzieć, że pani przed czymś ucieka — powiedział znienacka.

Nie podniosła głowy. Słyszała to wiele razy, mówili tak do niej, ale przede wszystkim komunikowali: ja nie uciekam, jestem w porządku, niewinny. Albo znaczyło to: ja cię zatrzymam.

Co może być gorsze od tych osiadłych leniwych plemion, które wypuszczają się z domów od czasu do czasu w namiastkę podróży — turystykę, ciągnąc ze sobą dom wrośnięty w ich ciała i mózgi, symbolicznie sfilcowany do bagażu, tych wszystkich kosmetyczek z najpotrzebniejszymi kremami, wacikami, tabletkami i czopkami; notesów z adresami innych domów, pełnych liczb, znaków, dróg dojścia; kart kredytowych, plastikowych kotwic, niepozornych na pierwszy rzut oka, ale w rzeczywistości drapieżnych i groźnych. Najpierw dokładne zegary posiekały czas na małe nieludzkie kawałki, a teraz karty kredytowe

w bankowym zaciszu tną życie na kolejne odcinki i wyceniają chwile w konkretne kwoty. Trzeba płacić nie kończący się abonament, obudzenie się kosztuje, zaśnięcie też, robienie i nierobienie, podjęcie i zaniechanie, miłość i samotność. Trzeba kupować bilety, żeby uczestniczyć we własnym życiu. Sprzedało się copyright na samym początku, a potem za ciężkie pieniądze trzeba wykupywać prawa na każdy dzień.

Ci ludzie są zaledwie przypadkowymi wędrowcami, którzy poruszają się po prostych między punktami. Trzymają się lądu, każdy ich postój jest wzięciem w posiadanie choć na chwilę kawałka ziemi — zagospodarują ją, choćby to miało polegać na ułożeniu w hotelowej szafie ubrań i ustawieniu szczoteczek na półkach łazienek. Ich podróż jest pozorna, ponieważ ma z góry określony cel; albo szukają towarzystwa innych ludzi, albo przyciągają ich rzeczy. Odwiedzają albo oglądają.

Ale nie ona. Ona jest przezroczysta, nie dotyka stopami ziemi. Unosi się — to dlatego tym, którzy mocno stoją na ziemi i gdziekolwiek przystaną na dłużej, zaczynają wypuszczać korzenie, dlatego tym ludziom wydaje się, że ona ucieka.

Nie, nie ucieka. Jej domem jest droga, mieszka w podróży. A podróż nie jest linią, która łączy dwa punkty w przestrzeni — to inny wymiar, to stan. Nic w nim nie jest oczywiste, nic nie jest nieprawdopodobne; szlaki są gęste i splątane, przecinają się w nieoczekiwanych miejscach, a mapy każdego ranka pokazują co innego, nie można im ufać. Ona sunie nad ziemią jak duch, nie zostawia po sobie śladów. Spotyka się tylko z takimi jak ona, towarzyszami podróży, i bez żalu się z nimi rozstaje; innych nie dostrzega, są dla niej nieostrzy i rozmazani — poruszają się za wolno.

— Pan jest taki sam — powiedziała. I dodała w myślach: „I tyle dobrego można o tobie powiedzieć".

Wtedy dotknął wskazującym palcem jej przedramienia; spojrzała w to miejsce zaskoczona.

— Ja nie mam szans na ucieczkę.

— Przynieść panu coś do picia? — zapytała i odsunęła się.

Wstał gwałtownie i z trudem poszedł do swojego domku. Myślała, że już nie wróci i ruszyła do baru po drinka. Słońce balansowało nad horyzontem,

wielkie, czerwone, spuchnięte. Wymieniła kilka leniwych zdań z jedną z kobiet.

Ale Kisz wrócił za jakieś pół godziny, zmieniony. Wyglądał teraz na odprężonego, miał zarumienione policzki.

Przy kolacji udało jej się usiąść możliwie najdalej od niego. Widziała, że opowiadał o czymś czterem niestrudzonym turystkom. Przypływały stamtąd fale ożywionej rozmowy. Uśmiechał się do nich spokojnie, z błyszczącymi oczami, jak wędrowny sprzedawca, który wreszcie dopadł potencjalnych klientów. Widziała, że jego wzrok wędruje od czasu do czasu ku niej i jej synowi, do najdalszego stolika.

Wtedy uświadomiła sobie, że to nie na nią patrzy, że patrzy na chłopca.

Mike nie wiedział, kim on jest, ten mały bóg. Całe dnie konserwował sprzęt do nurkowania. Suszył liny, rozbrajał rynsztunek butli z tlenem.

Powiedział, że jest katolikiem i nie zna się na bogach.

— Niedługo ocean zakwitnie i trzeba się będzie stąd zbierać. Mam mnóstwo pracy.

Zapytała go o Kisza.

— Ten sezon wyraźnie go wykończył. Jest bardzo chory. Podobno jego asystent zwija interesy na dużej wyspie i wracają do domu.

— To znaczy dokąd?

— Nie mam pojęcia. Ma amerykański paszport.

— Co mu jest?

— Pewnie złapał jedną z tych tropikalnych chorób, na które chorują ludzie z północy.

— Nie jest zaraźliwa?

Mike wzruszył ramionami.

— Przecież szczepiliście się przed wyjazdem, prawda?

Śni jej się taki sen.

Jej matka mówi do niej:

— Umarła moja matka.

— Przecież umarła już dawno. Dlaczego mi o tym mówisz? — odpiera.

— Nie, nie, ona umarła teraz. Tamta śmierć nie była prawdziwa. Okazało się, że przez te wszystkie lata żyła w Holandii i dopiero teraz umarła.

— Dlaczego się nie odzywała przez ten czas?

— Miała mnóstwo pracy pod koniec sezonu.

Przypomniała sobie, jak wiele lat temu jej matka przywiozła do domu babkę. Babka umierała spokojnie, bez pośpiechu; rozgościła się w tym umieraniu jak w komfortowym przedziale transkontynentalnego pociągu. Ta obca kobieta, którą wnuczka widziała drugi raz w życiu, leżała w matczynym łóżku. Kazała sobie umościć poduszki wysoko, tak że prawie siedziała, patrząc na wszystko bez zainteresowania. Udawała, że to tylko przejściowa słabość. Matka też — nigdy nie użyła słowa „śmierć" czy „umierać". Zanim oddała ją do szpitala, przewijała wychudzone, zdziecinniałe ciało tamtej, które pod kołdrą przechodziło samodzielne przemiany, zsychało się, liniało arogancko i bezczelnie. Matka nie przyjmowała tego do wiadomości, odchylała tylko głowę i marszczyła lekko nos. Obierała jej jabłka, tarła je na papkę i karmiła łyżeczką; wmuszała w nią witaminy, które babka wypluwała na nowiutki, błękitny szlafrok z flaneli.

Ona, wnuczka, nie miała nic do tego. Myślała tylko, że to błogosławieństwo umierać tak długo, mieć czas na każde zdziwienie, każde wspomnienie. Mieć czas na przerażenie i na kruszenie go na małe kawałki, które można, co najwyżej, nazwać niedogodnościami, nie śmiercią.

Potem, po wszystkim, po pogrzebie, który wypadł akurat w czasie poprawkowej sesji wnuczki, matka siedziała w błękitnym szlafroku babki, wsparta na tych samych poduszkach, i nadal obierała ze skórki jabłka, tym razem dla siebie. Chodziła po mieszkaniu w kapciach zmarłej. Powiedziała, że i szlafrok, i kapcie są nowe i że szkoda byłoby je wyrzucić.

Maja próbowała zapisać ten prosty dialog ze snu zaraz po przebudzeniu i długo szukała w plecaku pisaka. W końcu, kiedy go znalazła, wiedziała, że coś jej ze snu umknęło. Zapisała go w kilku zdaniach, ale to nie było

wszystko. Siedziała prawie naga na łóżku i patrzyła na swą rękę wiszącą nad kartką w notesie. Na pisak, który zaraz ruszy, zostawiając po sobie niespokojną linię wykresu. Czekała z ręką zawieszoną w powietrzu i miała nadzieję, że ręka sama będzie wiedziała, co napisać, że lepiej pamięta, co powiedziano we śnie.

W jaki sposób ludzie mogą sami siebie obserwować? Kto w nich patrzy i na kogo patrzy? Które jest naprawdę tym, co się nazywa „ja" — to, które patrzy, czy to, które jest obserwowane? Oba nie mogą być „ja", byłoby to nielogiczne, paradoksalne. Znaczyłoby, że człowiek jest podwójny, może nawet mnogi. A przecież jest coś, co ogląda ciało, pilnie śledzi drżące ręce czy worki pod oczami. To coś jest bardziej niż ciało, intensywniej, patrzy z góry. Ale i ono jest obserwowane. Kto ogląda zanik świadomości, omdlenie? Kto widzi sen? Kto śni, a kto zapisuje sen? Kto mówi: „Dzieje się ze mną coś niedobrego" albo „Boję się"? Kto się boi, a kto to stwierdza? Czy istnieje się więc podwójnie, jakby się było syjamskimi bliźniakami, perfidnym przypadkiem, gdy płaszczyzna zrośnięcia przypada na plecy? Nigdy nie mogą się zobaczyć, spojrzeć sobie w twarz, a jednak oboje są skazani, żeby się wzajemnie dźwigać.

„Ja" i „ja" — ta relacja jest nieokreślona i tajemnicza. Odbywa się w wewnętrznych, niejasnych monologach, w których tylko pewne słowa są pomyślane do końca, starannie; reszta zachodzi w zarysach słów, słowach uogólnionych, rozmytych, które w końcu zawsze pochłania obraz. To jest język, jakim mówi „ja" do „ja" — monolog z obrazów płynących lawą, która zastyga w konkretne, monstrualne formy tożsamości. Wyspy wulkaniczne, które wyłaniają się z wody i kamienieją na powierzchni, zaskoczone sobą, suche i martwe.

A gdy „ja" zwraca się na zewnątrz, do „ty", wewnętrzny teatr monologów musi ustąpić miejsca rytualnym dialogom. Dialog obwieszcza koniec niejasnych znaków, sennych symboli, bezkształtnych sugestii. Trzeba mówić jasno i konkretnie. Przykrawać myśli do słów. Trzeba odbijać między sobą piłki i nigdy nie mieć pewności, że się zostanie zrozumianym. Prawdopodobieństwo zrozumienia wyraża się silniami pod kreską. A gdy zrozumienie nie nastąpi, można robić dobrą minę i zarzec się z góry: wiem, o co ci chodzi. Nie wiesz, nie możesz wiedzieć. Żaden naukowy

eksperyment nie wyjaśnił sprawy. Jesteśmy różni, ale nie wiemy, jak bardzo. Optymistycznie zakładamy, że trochę.

„Ja" do „ty" — najbardziej bolesny iloraz. Niewygodny. „Ja" staje się zależne od „ty", musi się w każdym momencie określać, pozostawać czujne i przytomne. Granice są niepewne, czułe na każde dotknięcie, badają i cofają się, ślimacze czułki. Kiedy niepewność staje się nie do zniesienia, „ja" ucieka w maski, a niejedna z nich tężeje, przeobrażając się w więzienie. „Ja" do „ty" prawie zawsze zbliża się za bardzo i trzeba walczyć o dystans, i panować nad nim.

Więc lepiej „ty" zamienić na „on", to najbezpieczniejsza relacja, wtedy „ty" nigdy nie podejdzie za blisko. „Ja" musi być pragmatyczne, skupione na swojej gładkiej, kulistej powierzchni, która ukazuje — owszem — swój kształt innym, ale przede wszystkim odbija zewnętrzny świat i nie dopuszcza nic do wewnątrz. Samo może oglądać z różnych stron, może oceniać — uznawać albo odrzucać. Niektóre rzeczy pomniejszać, inne powiększać, być władcą percepcji. Sprawić, by świat stał się „on", wtedy będzie można go używać jak przedmiotu i przerzucać z ręki do ręki jak piłeczkę, czarować, stwarzać i znikać.

Mike rozwiesił migoczące wisiadła wokół głównego bungalowu, restauracji i przy niektórych domkach — miały odstraszyć małpy, które stawały się coraz bardziej agresywne, szczególnie w południe. Wisiadła składały się z kawałków lusterek uczepionych na nitkach.

Poruszały się na wietrze niespokojnie, lustrując wszystko wokół jak pozbawione powiek, zawsze przytomne oczy. Odbijały świat w kawałkach, posiekany, niestały i drżący miraż spowodowany upałem; blik na wodzie, który zamienia się w przypadkowe drżenia światła, w kształty przyjmowane za znajome przez zmęczone oczy. Teraz pełno było wszędzie wędrujących plamek światła. Oblizywały każdą rzecz szybko i pożądliwie.

Nie spuszczała chłopca z oka. Siedziała z nogami wyciągniętymi na krześle, z tą samą od wielu dni książką na kolanach, otwartą na przypadkowej stronie; wcale nie czytała. Widziała każdy jego ruch. Patrzyła, jak wspinał się na palce i z ciekawością śledził okruchy światła odbite w lustrzanych źrenicach. Jak tracił zainteresowanie i wracał

do sztuczek ze znikaniem pingpongowej piłeczki albo z zawiązywaniem na sznurku węzłów, żeby je potem dotknięciem pałeczki rozwiązać.

Kisz siedział na swoim miejscu z plikiem gazet i magazynów; całe popołudnia tkwił na swojej kanapie, czasem rondo jego kapelusza nieznacznie unosiło się i wtedy była pewna, że znowu patrzy w ich kierunku. Jak wilk na skraju lasu. Gdy schodziła z synem na nurkowanie, musieli go mijać, powiedzieć mu „dzień dobry" albo obojętne „cześć". Odwracał się za nimi.

— Jak książka? — rzucał do chłopca.

— Jest super. Mam kilka pytań. Czy mogę przyjść później?

Czuła jego wzrok na plecach — patrzył, jak idą molem i zanurzają się w wodzie.

Holenderki przy kolacji opowiadały o swojej wyprawie na dużą wyspę. Kawa kosztuje dziesięć dolarów. Nikt nie kąpie się w morzu, bo mają lazurowe, przezroczyste baseny. Jakaś kobieta przegrała tam wczoraj majątek.

— Patrz — powiedział chłopiec — to jest najbardziej przebiegła sztuka świata. „Sawing a woman in half".

Pokazał jej sekwencję zdjęć z książki Kisza. Przedstawiały skrzynię i leżącą w niej kobietę, której z jednej strony wystaje głowa, a z drugiej — stopy. Na drugim zdjęciu skrzynia jest zamknięta i demoniczny magik w czarnym surducie przecina ją na pół wielką, lśniącą piłą. Na następnym — obie części skrzyni są już rozsunięte. Potem, gdy na następnym zdjęciu łączy się je na powrót, kobieta z uśmiechem wstaje z martwych.

— To trik. Tam są dwie osoby, jedna od głowy, druga od nóg.

— Tutaj nie jest napisane, jak to się robi, ale Kisz na pewno wie. A ty skąd to wiesz?

— Wszyscy to wiedzą. To stara sztuczka.

— Kisz mówi, że nie, że to dzieje się naprawdę. Powiedział, że możemy zrobić pokaz magii na zakończenie. I żeby powitać chiński nowy rok.

— Zaczął się już miesiąc temu.

— Nie szkodzi — podsumował chłopiec radośnie i pobiegł.

— Czy odrobiłeś już zadania? — krzyknęła za nim.

Odkrzyknął coś niezrozumiale.

Po wyjeździe Holenderek Mike zaczął przywozić swoją małą łodzią dziwnych milczących ludzi i lokował ich w najskromniejszych domkach za restauracją. Były to drobne skośnookie kobiety i ich ciche dzieci. Pomagał wnosić im do domków bagaże, czy raczej tłumoczki. Trzy z kobiet były stare i siwe, dwie — młode, pewnie matki tych dzieci. Przyglądała się im, jak rozwieszały pranie na barierkach bungalowów. Nie jadały z innymi gośćmi. Kelner wnosił im jedzenie w dwóch dużych wokach. Jadły wspólnie, siedząc na deskach tarasu.

Jedną z nich, tę młodszą, minęła kiedyś, gdy schodziła na dół. Na szyi miała wielką bliznę, jakby od poparzenia. Karbowana blizną skóra ściągała twarz w dół. Kobieta spuściła wzrok, kiedy się mijały. Myślała o nich „uszkodzeni", bo szybko zorientowała się, że każde z nich miało jakąś skazę, starą ranę, bliznę. Dzieci też — egzemę albo krzywicę. Jak musiał wyglądać świat, z którego tutaj przybyli? Piekło? Mike powiedział, żeby go nie pytała o tych ludzi.

— Nie pytasz, ja nie odpowiadam. Nie wiemy nic i nie ma sprawy.

Nocą słyszała, że przypłynął jakiś kuter i grupka kobiet zniknęła, ale za kilka dni pojawili się w domkach przy kuchni nowi. Więc nie pytała.

Chłopiec, który kursował teraz z góry na dół, do Kisza i z powrotem, powiedział jej, że to uchodźcy. Zabrzmiało to jednoznacznie. Uchodźcy skądś, uchodźcy dokądś.

Wziął do robienia sztuczek jej bawełnianą chustę i prosił, aby zatrzymywała wszystkie pudełka od zapałek.

Kazała mu być zawsze na widoku.

— Muszę cię cały czas widzieć. Nie wolno ci chodzić do domku Kisza. Umowa stoi?

Kiwnął głową, ale w jego wzroku było to samo zdziwienie, jak wtedy gdy przegnała z bungalowu natarczywą małpkę.

Kupiła w bufecie u Mike'a pięć widokówek, wszystkie takie same: łagodna zatoka, żółty piasek i palmy na brzegu. Błękitne niebo i zielona

woda, niczym piękne fotografie z „National Geographic". Rozłożyła je przed sobą jak do pasjansa. Napisała jedną do matki. Poprzednią, podobną, wysłała jej na święta. Wymieniła od myślników etapy podróży. Matka na pewno trzymała ją na biurku. Cztery czekały nieporuszenie na swoją kolej; pomyślała, że mogłaby je wysłać do Holenderek. Dały jej przecież swoje wizytówki. Kartki czekałyby na nie w ich chłodnych północnych domach, razem z inną pocztą, z rachunkami za telefon i wyciągami z kont, aż podróż na wschód zatoczy krąg i podróżniczki znajdą się w tym samym miejscu, z którego wyruszyły. Do matki napisała jeszcze: „W skrzynce na listy będzie kwit na ubezpieczenie, zapłać, proszę, rozliczymy się, gdy wrócę".

Puste mieszkania, gdzie powietrze stężało w mętną galaretę, w której utknęły drobiny kurzu; światło nie może jej przeniknąć, roztapia się i spływa po okiennych szybach. W małej kuchni, na stole leży pęk kluczy i bilet tramwajowy. W korytarzu na podłodze rzucone dziecinne trampki z zaschniętym błotem na podeszwie. Drzwi do łazienki są lekko uchylone, a za nimi w ciemnościach śliskim śladem wędruje rybik — kropla organicznego metalu. Czułkami bada kłębek włosów na kratce odpływu wanny. Na dywanie w pokoju, tuż przy ścianie, już sto dwudziesty czwarty dzień tworzy się kulka kurzu; jest wielkości orzecha. To tajemnica, anomalia, proces w przeciwną stronę czasu, bo wszystko wokoło raczej kruszy się i rozsypuje. W sypialni na łóżku wciąż widać lekkie wgniecenie — ktoś tu usiadł, dawno, dawno temu. Obok leży pojedyncza wychudzona skarpeta.

Patrzyła na małpy, które ośmielone jej bezruchem, rozzuchwaliły się i teraz podchodziły pod sam taras. Rzucały na nią szybkie, bystre spojrzenia, na próbę szczerzyły zęby. Niektóre z nich miały przyczepione do piersi maleństwa, ufne i obojętne na szaleństwa swoich matek. Czasami wybuchały między nimi sprzeczki — nagle zaczynały wrzeszczeć piskliwie i rzucały się na siebie z wściekłością, żeby za chwilę puścić całe zajście w niepamięć. Kiedyś, schodząc na obiad, nieopatrznie zostawiła otwarte okienko do łazienki i wracając, zastała poprzewracane wszystkie kosmetyki. Zniknęło mydło.

Była to wzajemna fascynacja. One też otaczały domek nieregularnym kręgiem i wpatrywały się w każdy jej ruch. Gdy wstawała, reagowały spłoszonym, ostrzegawczym krzykiem; gdy wracała na swój trzcinowy fotel, zaczynały iskać się uspokajająco. Spróbowała wyobrazić sobie, jak też one ją widzą — bladą kobietę, zawsze w ciemnych okularach, przepasaną kolorowym sarongiem. Czy dostrzegały paznokcie u jej stóp, pokryte resztkami niebieskiego lakieru, jej kościste, zbrązowiałe kolana, małe fałdki skóry na brzuchu, pępek? Czy zauważały zmarszczki wokół oczu — jasne kreski w opalonej twarzy? A płaskie oczko kolczyka w nozdrzu? Krople potu na czole, niebieską gumkę na ściągniętych nią włosach? Czy wydawała im się straszna, potworna, nieudolne naśladownictwo ich małpiej urody? Czy była tylko rozmazaną plamą, jakimś nie zdefiniowanym zagrożeniem, chodzącą na dwóch nogach obcością?

Chłopiec nie chciał już nurkować ani siedzieć z nią przed domkiem i układać muszli. Niechętnie odrabiał zadania z matematyki i zapisywał w dzienniku przebieg dnia. Nie czytał nic poza książką od Kisza. Kiedyś rzuciła na nią okiem — był to podręcznik iluzjonisty ilustrowany zdjęciami. Teraz albo grał z nurkami w bilard, albo ćwiczył sztuczki z Kiszem. Gdy ten znikał w swoim bungalowie na długie godziny, chłopiec biegł do kuchni i próbował zrobić sobie hamburgera. Mike pozwalał mu na to, podobnie dwaj kucharze poddawali się teraz hamburgerowej próbie. Wyjaśnił im, o co chodzi, siekali dla niego mięso i potem smażyli je z cebulą, a protekcjonalny, ironiczny uśmiech nie schodził im z twarzy. Mały domagał się ziemniaków na frytki i kiedy w końcu przypłynęły łodzią, kroił je odpowiednio i smażył w woku, udzielając obu mężczyznom instrukcji. Dogadywali się prostą angielszczyzną, równoważnikami zdań.

Przyniósł od nich taki wierszyk:

To Bóg zwyciężył śmierć,
Która zabiła rzeźnika,
Który wypił wodę,
Która zgasiła ogień,
Który spalił kij,

Który zbił psa,
Który rozszarpał kota,
Który zabił kózkę,
Którą kupił mój ojciec za dwa dolary.

Recytował go z powagą, rzucając okiem na ściągawkę — kilka słów napisanych długopisem na zewnętrznej stronie dłoni. Wzięła jego rękę i przeczytała: „śmierć, rzeźnik, woda, ogień, kij, pies, kot, kózka".

— Trzeba zapamiętać kolejność. Inaczej nie ma sensu — powiedział zadowolony, że mu się to udało.

Zabrał jej kapelusz i sarong. Nie chciał powiedzieć, po co mu będą potrzebne. Około piątej zeszła na dół ścieżką i widziała, że Mike przygotował małą scenę z kotarami zrobionymi z narzut. Jej syn, w białych bermudach i białym T-shircie, układał na małym stoliczku jakieś przedmioty, zaaferowany. Kisz siedział w fotelu, odwrócony do niej tyłem. Słyszała jego głos, wydawał jakieś komendy to chłopcu, to Mike'owi. Od kilku dni zbijali skrzynie, podesty, zawieszali sznury lampek. Mike przywiózł nawet sztuczne ognie i wbił małe rakietki w piasek na plaży, tuż przy wejściu do restauracji.

Pod wieczór, po raz pierwszy od długiego czasu, na niebie pojawiły się chmury, jednak trzymały się z dala od wyspy, przyklejone jak kłaczki brudnej waty do horyzontu. Wieczorem zachodzące słońce zanurzyło się w nie i rozświetliło fantastycznymi kolorami — różem, ostrą zielenią, fioletem. Siedzieli na kanapach tylko we czwórkę, ona z chłopcem, Kisz i Mike — bo nurkowie popłynęli na kilka dni nad jakąś zadziwiającą rafę. Kisz był spokojny i rozluźniony. Znowu miał na twarzy rumieńce. Pomyślała nawet, że wyglądają na namalowane szminką. Tak, staje przed lusterkiem w łazience i rozsmarowuje róż w delikatne ceglaste cienie. Albo coś bierze.

Rozłożył przed chłopcem karty do gry i kazał mu pomyśleć o jednej z nich. Potem tasował je, przekładał, aż wyciągnął jedną i pokazał chłopcu.

— Ta?

— Tak, ta — chłopiec patrzył na niego zdumiony.

— Jak pan to zrobił? — spytał go Mike.

Kisz zadowolony pozbierał karty.

— Powiem wam na koniec, pod warunkiem że zachowacie tajemnicę.

Mike przyniósł z baru drinki i talerzyk egzotycznych orzeszków.

— Skąd pan pochodzi, panie Kisz?

— Kisz — to węgierskie nazwisko, czyta się tak samo jak Liszt, czyli List. Ten kompozytor.

— Jest pan Węgrem? — zapytała.

— A ma to jakieś znaczenie? Powiedzmy, że jesteśmy ze środkowej Europy. Pani bardziej, ja mniej, bo mnie zabrała wcześniejsza fala emigracji. Wyjechałem w siedemdziesiątym roku.

— Wtedy się urodziłam.

— No widzisz, dziecko drogie, jesteśmy ludzkim magazynem zachodniego świata, wylęgarnią ready-made ludzi. Gotową konfekcją. Fabryczne modele: model 56, model 68, model 81 — pociągnął duży łyk i uśmiechnął się z zadowoleniem. — Nie powinienem pić alkoholu. Ale jesteśmy ludźmi w dobrym gatunku, starannie wykonanymi — ciągnął — pozwalamy sobie na więcej niż inni.

— Co ma pan na myśli? — zapytała.

— Och, chyba nie muszę tego tłumaczyć, zna pani historię.

— Wszędzie dzieje się źle — odezwał się Mike i rzucił refleksyjnie okiem na domki za restauracją. Światło już tam dawno zgasło. Nikt nie podjął tematu.

Wtedy w rozbłyskane zachodem słońca morze wpłynął bezgłośnie oświetlony, majestatyczny lewiatan, wysłannik świata ukrytego za horyzontem.

Potężny i obcy. Patrzyli na niego w milczeniu.

Chłopiec stanął po drugiej stronie i pokazał sztuczkę ze zniknięciem piłeczki.

— Byłem taki głupi, że nie wiedziałem, jak to się dzieje — powiedział poważnie. — Myślałem, że to czary.

— Nie wolno ci tego mówić — ostrzegł go.

Kisz. — Pamiętasz o tym? To są czary, dla innych.

Mały kiwnął głową.

— To będzie moja właściwość, będę rozpoznawalny — powiedział. — Bo każdy ma swoje właściwości, prawda? — zwrócił się do Kisza. — A ty, Mike? Jaka jest twoja właściwość?

Mike myślał przez chwilę, a potem zgiął kciuk do przedramienia, tak że palec dotykał skóry ręki.

— Brawo — ocenił mały. — A ty, mamo.

Bez namysłu połączyła ręce przed sobą, a potem powoli przełożyła je przez głowę i wsparła na plecach. Jej ręce wyglądały teraz jak pąki skrzydeł.

— Ho, ho — zaśmiał się Mike. — Jak gimnastyczka. Masz miękkie kości.

Poszedł do baru po drinki, a wtedy Kisz wziął od chłopca książkę, znalazł odpowiednią stronę i wskazał tekst kościstym palcem.

— Przeczytasz?

Chłopiec spojrzał na wskazany fragment i zaczął czytać, potykając się na niektórych trudniejszych słowach:

— Wtedy kuglarz wziął do ręki drewnianą kulę z licznymi otworami i uwiązanymi do niej rzemieniami i cisnął ją do góry. Kula wzbiła się w powietrze i znikła nam z oczu. Gdy w ręku czarodzieja został jeno krótki koniec rzemienia, rzekł coś jednemu ze swoich uczniów; natenczas człek ów chwycił za rzemień i począł tak długo wspinać się po nim do góry, aż zniknął nam z oczu. A chociaż kuglarz przywoływał go po trzykroć, tamten nie odpowiadał. Wziął tedy nóż do ręki, zdając się wielce zagniewany, wspiął się po rzemieniu, aż i on zniknął. Potem zrzucił na ziemię rękę chłopca, potem jego nogę, drugą rękę i drugą nogę, potem tułów i wreszcie głowę. Zaczem zszedł z głośnym sapaniem, mając odzienie zbrukane krwią. Wtedy emir rzucił mu nowy rozkaz i kuglarz zebrał wszystkie członki chłopca, poskładał je, po czym kopnął je nogą, a tamten powstał żyw i nietknięty. Takie natenczas ogarnęło mnie zdumienie, iż dostałem bicia serca, podobnie jak w czasie mej bytności

na dworze króla Indii, gdzie byłem świadkiem podobnych sztuczek kuglarskich...

— Wystarczy — Kisz położył rękę na książce. Spojrzał na siedzącą naprzeciwko kobietę.

— To mogłaby być moja właściwość. Przeczytaj jeszcze to — zwrócił się do chłopca. Próbowała zabrać mu książkę.

— Nie czytaj. To jakieś koszmary — zaprotestowała.

Ale Kisz był szybszy, otworzył książkę na tej samej stronie i spojrzał tryumfalnie na Mike'a, który właśnie wrócił z napojami.

— Jeszcze kawałek — powiedział: — Chodzi o czarowników, zwanych motetequi, co znaczy „ci, którzy tną samych siebie". Taki motetequi rozcinał samego siebie na kawałki, które wkładał pod pokrywkę; następnie przebijał pokrywkę i niemal natychmiast wychodził, nie mając na ciele żadnych obrażeń. O, i jeszcze dalej... odnotowano taki sam przebieg wydarzenia u kuglarzy bengalskich: człowieka pociętego na kawałki przykrywano suknem; kuglarz prześlizgiwał się po suknie i chwilę później pocięty człowiek stawał na nogi...

— Niech pan przestanie czytać te bzdury — powiedziała ostro. — Straszy go pan.

Kisz roześmiał się i odchylił głowę na wysokie oparcie kanapy.

— Mamo, ja się wcale nie boję — zaprotestował mały.

— Chodź, synu, zagramy — odezwał się Mike i poszedł z chłopcem do stołu bilardowego. Rzucił jej przez ramię krótkie spojrzenie.

Obracała w dłoni szklankę, obmyślając odwrót do domku.

— Nie widzi pani, nie zauważyła pani? Jestem chory. To — odchylił nogawkę spodni — to jest mięsak Kaposiego. Wie pani, co to znaczy?

Poczuła potężne uderzenie krwi do głowy, ale opanowała się.

— To dlaczego, do cholery, nie jest pan w szpitalu? Dlaczego się pan nie leczy? — zapytała ze złością.

Powiedział:

— To przecież tylko kwestia czasu, nie miejsca. Pani też umrze. I on umrze — wskazał na chłopca, który z wyciągniętym językiem próbował sztuczkę z kulkami. — I oni — poruszył głową w kierunku obu kelnerów

sprzątających ze stołów. — Dlaczego miałoby mi zależeć na jakimś przyszłym październiku czy kwietniu? Co miałoby się zdarzyć takiego nowego, niezwykłego? Kolejna podróż? Wygrana w kasynie?

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

— Jestem wolny, mogę to zrobić w każdej chwili.

— Nie rozumiem.

Popatrzył na nią ironicznie.

— Dobrze wiesz.

A po chwili:

— Intrygujesz mnie. Zawód miłosny, prawda?

Zmieszała się. Pociągnęła łyk, lód już się rozpuścił.

— To dlatego jesteś taka chuda, szara i zmartwiała. Ściśnięta. Przecież masz pieniądze na dobre jedzenie, na masażystę. Powinnaś kwitnąć.

Poczuła, że gardło żałośnie się jej zaciska, słabła, jakby te słowa oderwały ją od ziemi, uniosły na chwilę w powietrze i rzuciły jak śmieć.

— Odwal się — powiedziała i to jej pomogło, zamiast żalu — furia. — Odwal się.

Ale on chwycił ją za rękę i wbił w nią swoje kościste, przerażające palce, pochylił się ku niej nad stołem.

— Cóż jest w tym takiego wstydliwego? Cóż złego? Że ktoś cię porzucił? I co z tego? Ty też kogoś porzuć. Nie zauważyłaś, że jesteś ogniwem w łańcuchu porzucanych i porzucających?

Wyszarpnęła rękę z uścisku, a potem spokojnie powiedziała:

— Uspokój się, idź spać. Jesteś naćpany.

Ta ręka, za którą ją chwycił, piekła. Chętnie by wstała i poszła ją umyć. Dotyk drugiego. Obrzydliwy, pełen przemocy, demoniczny. Ale nie wstała. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

— Jasne — mówił ironicznie — ludzie są ze sobą powiązani jak ogniwa łańcucha, jesteśmy połączeni ze sobą jak potępieńcy. A kocha B, ale B nie kocha A, tylko C. Za to C ma się raczej ku D, D zaś ku jakiemuś F czy G. I tak dalej. Czasem się zdarza, że relacja jest zwrotna, wtedy takie kółko oddziela się na jakiś czas od reszty i dryfuje w sobie znanym kierunku. Prędzej czy później wraca do puli. W tych prostych relacjach jest pewna

smutna prawidłowość. Istnieją osobnicy z samego dołu tej piramidy, powiedzmy jakieś A, które zwraca się ku innemu, a to inne ku jeszcze innemu. Ale nikt nie ciągnie ku A. Rozumiesz? Biedne A. I jest także jakieś Z, z samego wierzchołka, ku któremu kieruje się wiele wektorów, ale które samo nie zwraca się do nikogo. Archetypowy Narcyz, świat go uwielbia. Gdyby Bóg był sprawiedliwy, połączyłby Z z A, zamknął krąg i pozwolił mu się kręcić w nieskończoność. Ale ludzi jest zbyt wiele, działania zbyt skomplikowane. Czy dałoby się przeprowadzić takie działania na sześciu miliardach czynników w jakimś komputerze? Kto by się okazał najbardziej kochanym, a kto najmniej, tym ostatnim z ostatnich, robakiem w torfie?

— Dobranoc — powiedziała i wstała.

— Wiesz, na czym polega magia? — zapytał ją i mówił dalej, nie zważając na to, że odchodzi. — Na nazywaniu tego, co się widzi. Trzeba zmusić człowieka, żeby nazwał to, co ma przed oczami. W ten sposób stwarza się fakty. Każdy człowiek woli przywiązać się do jakiejkolwiek jedynej wersji rzeczywistości, nawet jeżeli ta wersja jest fałszywa.

Wracała na górę do bungalowu, popychając przed sobą protestującego chłopca i zataczając się lekko. Alkohol krzywił ścieżkę.

Położyła się na wznak; na sąsiednim łóżku obrażony chłopiec czytał.

Z daleka zbliżał się zgiełk, wrzawa, mieszanina hałasów: szczęk, łoskot, głuchy grzmot. Spadał skądś z góry, ze środka wyspy, stamtąd gdzie nigdy nie była, z miejsca porośniętego dżunglą: pełną pnączy, gnijących liści, martwych drzew, szelestów i przywidzeń. Usiadła na łóżku, z silnie bijącym sercem, z oddechem płytkim, duszącym, jakby jej ciało było dziurawe, a powietrze ulatywało otworami w przestrzeń. Słyszała wycie i wydawało jej się, że czuje drżenie tysięcy kroków, wibracje chaotycznej dzikiej armii, która schodzi z gór w dolinę ku morzu. Trzaskały łamane gałęzie, waliły się drzewa pod naporem ślepego tłumu. Wrzask był małpi i warczenie, jak wtedy, gdy szczerzyły zęby, podobne małym wściekłym pieskom. W tym hałasie wydawało jej się, że słyszy jakieś zawiązki słów, na wpół ludzkie głosy, bełkotliwe, charczące. I głuche uderzenia o drzewa, jakby ktoś walił w nie kijami, i wycie, jakby długie „uuuuuu". Zmartwiała

ze strachu i nie mogła się poruszyć, żeby pozamykać okna i drzwi, przekręcić drobny, filigranowy zamek i zatrzasnąć luźne szybki.

Miała wrażenie, że widzi ten szturm z góry, dostrzega spływającą ciemną, ruchliwą lawę, której nie jest w stanie zatrzymać nic oprócz oceanu. Rozwścieczone małpy, strumienie grzechotliwych jaszczurek, sznury węży, pełzających robaków, drobnych gryzoni, a nad nimi jak flotylla myśliwców trzepoczące ptaki i miękkie ćmy; wszystko, co ocalało, co przechowało się aż do teraz w mroku wilgotnego czasu. I jakieś większe stworzenia, podobne kształtem do ludzi, do gnomów, chimery z pomieszanych fragmentów ciał zwierzęcych i ludzkich, golemy powstałe z mokrego błota, resztek gnijących w kałużach — wszystko to toczy się w dół, już nie maszeruje, nawet nie biegnie, ale spada, wirując, rozklekotana, wyjąca zgraja. Wydało jej się, że nad tym wszystkim słyszy zagłuszany dźwięk fletu, dwie proste, uporczywe nuty grane na przemian, monotonnie wplatane w zgiełk. I chichot, bo była w tym oszalałym pochodzie nieprzyjemna wesołość, radość, że uległo się szaleństwu, radość z bliskości morza, z tratowania, z gwałtu i niszczenia.

Jednym szybkim ruchem znalazła się na łóżku chłopca i okryła go swoim ciałem, przycisnęła jego głowę do materaca i zamarła w takiej pozycji, słysząc, jak horda przewala się tuż obok, aż drżą cienkie ażurowe ściany domku. Czuła ostry zwierzęcy zapach, wyziewy z dyszących pysków, trawiaste, sfermentowane, i zapach gnijącej wody, stawów pełnych kijanek, woń słodkiej rozkładającej się krwi i choroby, spermy, ostrego potu. Nie śmiała się ruszyć, ani podnieść głowy, ale wiedziała, że mogłaby je teraz zobaczyć przez małe okna — wykrzywione pyski, płaskie owłosione twarze, białka oczu, nitki śliny, uniesione złowrogo wargi nad ostrymi zębami. Parło to w ciemnościach, tratując wszystko wokół, wdeptując w ziemię poukładane wcześniej muszle, łamiąc barierki, obrywając sznury z suszącą się bielizną, a potem przewracając rattanowe krzesła i dziurawiąc pazurami kanapy. Brzęk tłuczonych butelek, miażdżone szkło kieliszków, mignięcia tłuczonych lamp.

Chłopiec wyrywał się z jej objęć, a potem pchnął ją mocno, aż oprzytomniała.

— Mamo, co ci się stało? Co robisz? — krzyczał.

Stanął nad nią, spocony, gniewny.

— Co ci jest?

Siedziała na podłodze.

— Przepraszam. Już w porządku, nic mi nie jest. Przepraszam.

Mike zbijał do występu nieduży stolik: szkielet z patyków, blat z palmowych liści. Znowu pojawili się nurkowie, przepakowywali sprzęt, opaleni, spowolniali od wody i słońca.

Ustaliła z Mike'em dzień wyjazdu. Łączył się z lądem, żeby zarezerwować miejsca w busie i hotel na lądzie.

— Dokąd potem? — zapytał z gwoździami w ustach.

Powiedziała, że do domu, i sprawiło jej to ulgę.

Kisz nie zjawił się przed południem na dole. Wyobraziła sobie, że umarł w nocy. Leżał teraz na wąskim łóżku w dziurawym bungalowie, a szeleszczące jaszczurki odczyniały na nim swoje grzechotliwe pogrzebowe rytuały. Nie pomogła morfina.

Ale przyszedł po południu. Usiadł na swoim miejscu w rogu kanapy i przyglądał się krzątaninie Mike'a. Chłopiec przybiegł do niego, uradowany. Rozłożyli swój magiczny sprzęt i teraz ćwiczył pod okiem tamtego. Zeszła do nich, ale musiała obiecać, że się odwróci i nie będzie podglądać.

Po południu przyszedł młody asystent Kisza z pudłem pełnym akcesoriów do pokazu. Miał na twarzy nieruchomy uśmiech i lekko się zataczał. Może wypił ponad miarę, żegnając się z dużą wyspą. Chłopiec, przejęty, przymierzał pelerynę i cylinder, który wyglądał groteskowo, wieńcząc półnagie ciało na tle palm i piasku.

To chłopiec miał być głównym sztukmistrzem, to miał być jego pokaz. Kisz, ubrany w czarne spodnie i zapiętą pod szyją czarną indyjską bluzę, siedział w fotelu. Widziała jego wyciągnięte stopy, tym razem schowane w czarnych lakierkach, i dłonie — leżały na oparciu fotela zupełnie bezwładnie.

Widownia składała się z kilkunastu osób: ona z Mike'em, kelnerzy, kilku nurków, australijska para i uchodźcy: drobne kobiety z czwórką dzieci — widocznie Mike poprosił je, żeby też przyszły. Słońce zsunęło się do wody i od razu zrobiło się ciemno. Mike zapalił piękne czerwone lampiony. W końcu pogaszono lampy i tylko na środku umownej sceny pojawiło się koło światła z reflektora obsługiwanego przez asystenta Kisza. Musiał to być sprzęt używany w czasie ich występów na dużej wyspie — rzucał jasny krąg światła, które przez chwilę zmieniało kolor od czerwieni po fiolet.

Wtedy w kręgu światła pojawił się chłopiec. W pierwszym momencie go nie poznała — miał uszminkowaną twarz i ciemno pomalowane wargi, przeraziło ją groteskowe podobieństwo do Kisza. Jego długie jasne włosy ściągnięte były ciasno do tyłu i ukryte pod zbyt dużym cylindrem. Spojrzał uważnie na widownię i zmarszczył czoło. Tuż za nim pojawił się Kisz, znowu z rumieńcami na twarzy, uszminkowany, brzydki.

— Oto największy mag wysp Morza Południowochińskiego. Kto nie wierzy, ten się sam zaraz przekona — krzyknął.

Chłopiec w odpowiedzi zamachnął się peleryną i wyciągnął skądś pęk jaskrawych chustek, które widowiskowo opadły pojedynczo na piasek. Wtedy Kisz sięgnął do ucha chłopca i w jego ręku pojawiła się biała piłeczka.

— Każdy poważny mag nosi w uszach pełno piłeczek — powiedział Kisz i Australijczyk zaśmiał się głośno. — Każdy stwarza coś z niczego i zamienia coś w nic.

Położył piłeczkę na stoliku przed chłopcem. Ten przykrył ją kubkiem.

— Gdzie jest piłeczka? — zapytał Kisz, a jego głos zabrzmiał piskliwie.

— Ukryta pod kubkiem — odezwał się Mike z widowni.

Chłopiec szybko podniósł kubek i oczywiście piłeczki już tam nie było. Dostał gromkie brawa. Potem pokazywał sztuki z powiązanymi ze sobą chustkami, z magicznym rozwiązywaniem supłów na sznurach i odnajdywaniem jajka w cylindrze i kieszeniach Kisza.

Rozluźniła się.

Jeden z kelnerów, ten od hamburgerów, wybrał kartę, która została ponownie umieszczona w talii. Chłopiec podszedł do pierwszego rzędu i poprosił ją i dziewczynę Australijczyka o przełożenie kart. Mrugnął przy

tym do matki porozumiewawczo. Wykonał nad talią kilka płynnych ruchów i wyciągnął bezbłędnie wybraną przedtem przez kelnera kartę. Znowu brawa. Zrobił jeszcze kilka podobnych sztuczek. Kisz usunął się poza krąg światła i stał teraz oparty o drewniany filar z założonymi na piersiach rękami. Jego twarz była tylko jaśniejszą plamą w ciemnościach.

To by w zupełności wystarczyło na porządny magiczny show. Widownia zaczęła bić brawo, ale okazało się, że to jeszcze nie koniec. Kisz wynurzył się z cienia i dał ręką znak asystentowi, a ten ustawił na środku kręgu długą skrzynię z grubej tektury, przypominającą kształtem trumnę.

— A teraz, proszę państwa, ukoronowanie sztuki czarnoksięskiej. Nasz młody kolega pokaże tu swoje prawdziwe mistrzostwo. Nie każdemu udaje się ta sztuka, więc proszę o wstrzymanie oddechu.

Skrzynia została zasłonięta kurtyną z połyskliwego niebieskiego materiału, którego końce przytrzymywali chłopiec z asystentem. Kisz zniknął za nią. Za chwilę zasłona opadła. Z jednej strony skrzyni wystawała głowa, a z drugiej obute w lakierki stopy Kisza. Chłopiec wziął podaną mu przez asystenta lśniącą piłę, chwilę udawał wahanie, aż zaczął ciąć skrzynię na pół. Kisz robił groteskowe miny, przewracał oczami, aż w końcu krzyknął, wyciągnął język i znieruchomiał. Z końca sali zaśmiało się nerwowo umorusane dziecko. Spod ostrza piły, które dotknęło już ziemi, wypłynęła na piasek czerwona strużka.

Chłopiec chyba czekał na aplauz, ale usłyszał tylko niepewne chrząknięcia. Wtedy, bardzo szybko, chwiejny, ale wesoły asystent ponownie przykrył skrzynię materiałem — chłopiec uczynił nad nią kilka magicznych ruchów. I kiedy zasłona opadła, Kisz podniósł się z pudła z uśmiechem. Jego asystent pomógł mu wstać. Teraz zabrzmiały oklaski, a cała trójka kłaniała się z przesadną teatralną gracją. Gdy zeszli ze sceny, jeszcze przez chwilę leżała na niej okrągła, jaskrawa plama, aż Mike wyłączył reflektor.

Poczuła z ulgą, że to koniec.

Potem była kolacja dla wszystkich. Nawet uchodźcy dołączyli z okazji święta do innych. Siedzieli jednak przy osobnym stole; dzieci wyciągały rączkami smaczne kąski.

Chłopiec niechętnie zdjął pelerynę i siedział teraz koło matki, udając, że je. Zbierał gratulacje i poklepywania po plecach. Spojrzał na nią z tryumfem, absolutnym poczuciem zwycięstwa. Grzebał widelcem w ryżu i widać było, że w myślach jeszcze raz powtarza magiczne sekwencje; piłka pojawia się w pustej dłoni, pocięty sznur zmartwychwstaje w jednym kawałku, osobne chustki wiążą się w jedno. On to widzi inaczej, od spodu — tam wszystko wygląda w inny sposób. Tego się nauczył: istnieją dwie prawdy — to, co jest, i to, co nam się wydaje, że jest.

Mike przyniósł jeszcze sporo puszek lekkiego piwa, a Australijczyk zamówił szampana. Odpalono fajerwerki.

Temat pokazu powoli ustępował innym tematom — nadszedł Rok Drewnianej Małpy. Będzie dziwaczny i nieprzewidywalny jak małpa. Maja wstała i podeszła do Kisza, siedział wciśnięty w swój fotel tak samo jak przed występem: nogi w lakierkach, nieruchome dłonie na oparciu.

— Ja też wyruszam — powiedział.

Pożegnali się ze sobą na odległość — ona stała, on siedział. Uniosła rękę, żeby tym gestem powiedzieć mu „do widzenia". Wycofała się. Potem przyszedł do niego chłopiec. Widziała kątem oka, jak chwilę rozmawiali. Nie słyszała, o czym. Zobaczyła tylko, że Kisz wychylił się do chłopca, a potem czule pocałował go w czoło. Szarpnęła się i poczuła we krwi tysiące igieł. Powstrzymując gwałtowność, wzięła chłopca za rękę. Wrócili na górę. Długo mydliła go i szorowała pod prysznicem.

— Zostaw mnie, odbija ci, wiesz? — protestował, a potem rozpłakał się, jakby wierzył, że cała jego magiczna moc spłynęła z wodą.

Powoli i starannie pakowała oba plecaki. Ubrania zwijała w rulony — będą zajmować mniej miejsca. Na stoliku ułożyła ich paszporty, świadectwa szczepienia, książeczkę z rozkładami lotów, plik banknotów w trzech walutach, karty kredytowe i inne drobiazgi. Po kieszeniach plecaka upchnęła kilka pięknych muszli — przemyt, i parę wypolerowanych przez ocean kawałków jasnego drewna. Chłopiec z żalem przebierał swoją kolekcję muszli. Postanowił odnieść je na plażę.

Gdy usnął, postawiła plecaki przy drzwiach i wyszła na taras z książką. Usiadła z wyciągniętymi nogami i zapaliła papierosa. Widziała z daleka małą figurkę Mike'a — gasił światła. Widziała domki, przycupnięte w tropikalnym gąszczu, schrony na małe, bezbronne ludzkie ciała, które rozpuszczają się we śnie.

Otworzyła książkę. Czytała nieuważnie i w końcu północne, zimne miasto zaczęło znikać. Najpierw zamilkło — tramwaje sunęły bezgłośnie, a ich numery zacierały się, nie słychać było wilgotnego dźwięku kroków na lśniącym od deszczu bruku, nie szumiały już sunące ulicami samochody, milczały dzwonki u drzwi sklepów. Zegary na wieżach na migi pokazywały pełne godziny.

Potem zaczęły zacierać się szczegóły, najmniejsze, właściwie nieistotne: symboliczne ogrodzenie trawnika łańcuszkiem, który bardziej nadawałby się na biżuterię niż płot, drewniane ramy wystaw sklepowych i kartoniki z cenami przy towarach, metalowe barierki balkonów pokryte plamami rdzy, firany upinane w oknach i kable, które łączą okna z lasem anten na dachach. Rozpływały się w wilgoci dachy i wieże kościołów. Miasto kruszało w podmuchach mokrego wiatru, rozsypywało się jak płocha układanka z mikroskopijnych pikseli, a spod niego coraz wyraźniej przebijał jeszcze słabo widoczny, ale już znajomy, prawie statyczny obraz dna morskiego, kolonii ukwiałów, pulsujących niezauważalnie w takt morskich prądów, i samotnych jeżowców z niebieskoczarnym okiem wlepionym nieruchomo w nie istniejące niebo.

To jest czysta niewinna kraina, miejsce bez myśli, bez człowieka, bez wspomnień. Kraj, gdzie panują proste prawa, których nie trzeba rozumieć, tu czas jest falą, powstaje i znika.

Jego mieszkańcy są nieskończenie bezpieczni.

Wcześnie rano, przed śniadaniem, gdy spakowali już wszystko, zeszli oboje na plażę. Stamtąd ujrzała jakiś ruch przy domku Kisza. Był tam Mike, ten asystent i jeszcze dwóch nieznajomych mężczyzn. Ich motorówka stała przycumowana do mola. Za chwilę młody asystent i obcy mężczyzna wynieśli ciało Kisza i schodzili z nim po ścieżce niżej, gdzie pod palmowym dachem restauracji stały nosze. Taszczyli go, trzymając za pachy i kolana.

Z daleka mogła tylko zobaczyć, że był w tym samym czarnym ubraniu, zapięty pod szyję.

Powoli odwróciła głowę i poszukała wzrokiem chłopca — nie zauważył niczego. Kucał przy swojej kolekcji muszli i wybierał najpiękniejsze, które z powrotem wrzuci do morza.

Podeszła do syna spokojnie, rozluźniona, nagle lekka, prawie szczęśliwa, i usiadła przy nim, zasłaniając ten przykry widok. Rysowała palcem na piasku wzory i tak długo układali na nich muszle w skomplikowane koliste figury, aż Kisz zniknął.

Dwie godziny potem, gdy pakowali się na motorówkę, widzieli, jak przypływ podmywa ich mandale. Muszle, stęsknione, wracały do morza.

Najpierw dobili do stałego lądu, a potem godzinami jechali przez dżunglę. O zmroku zmęczony chłopiec zasnął z głową na jej ramieniu.

Widziała, jak światła busa suną po rozgrzanym asfalcie i odsłaniają półkole ruchomej sceny, która przemieszcza się do przodu, niespokojnie szukając w ciemności swojego aktora. Na obrzeżach miasta zbladła, a potem zginęła na dobre w łunie lotniska.